

litera

Wojewódzka i Miejska Biblioteka Publiczna
GDAŃSK
FILIA
CZYTELNIA NAUKOWA, CZYTELNIĄ CZASOPISM
GDAŃSK, ul. Długa Nr 12

miesięcznik społeczno-kulturalny wybrzeża

rok XI, nr 12 (132)

1D 41265

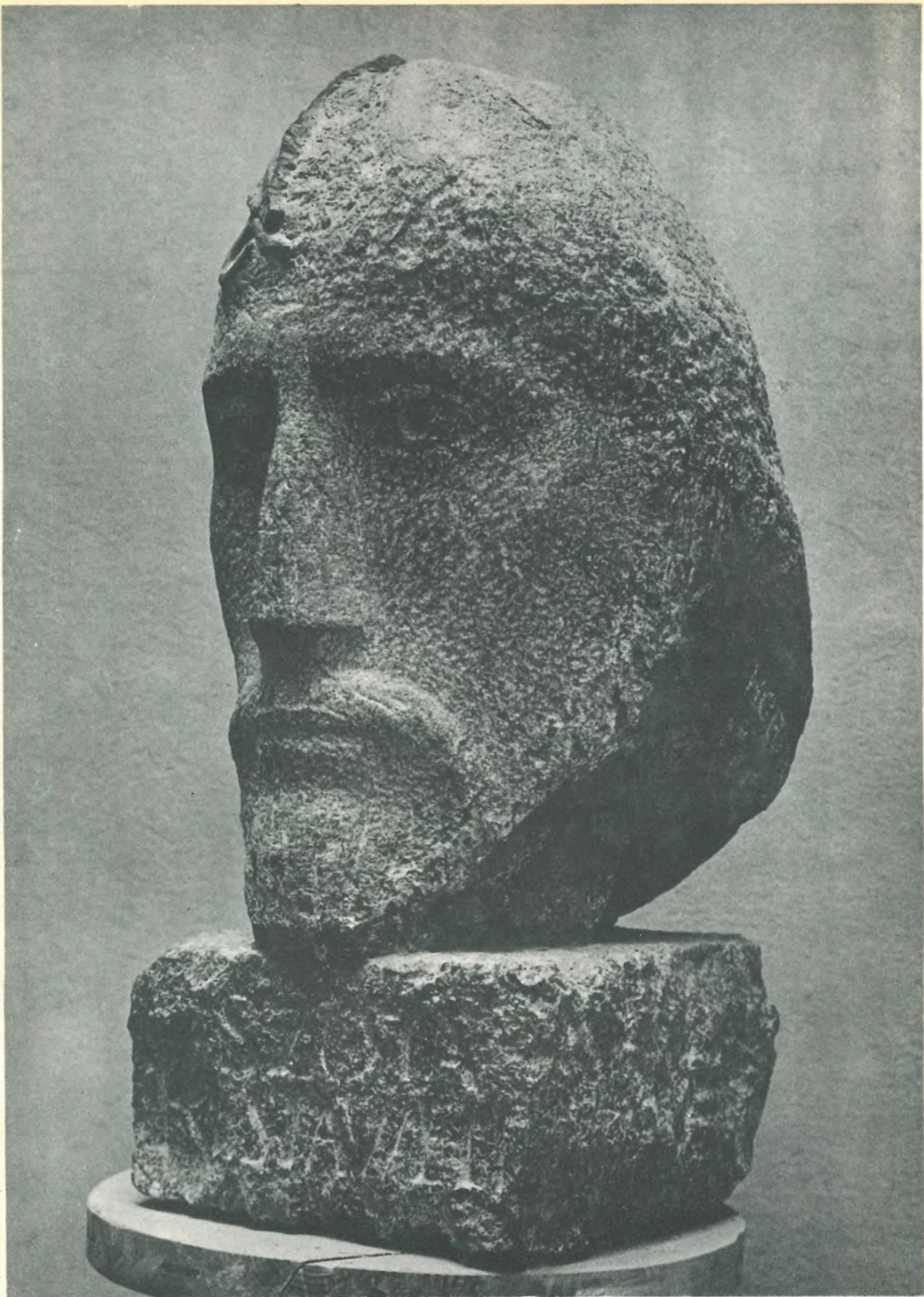
GDAŃSK, grudzień 1972

Cena 5.- zł



Gdańskie targi sztuki — Dwór Artusa

Fot. Krzysztof Kamiński



Stanisław Horno-Popławski: Szota Rustaweli (granit)

SPRAWY I LUDZIE

Stanisław Pestka
PROFESJONALIZM CZY SPOŁECZNIKOSTWO?

Tadeusz Woźniak
KAZIO KUPUJE LAKIERKI

Henryk Stepiak
KARTA PRAW I OBOWIĄZKÓW NAUCZYCIELA

Edmund Cieślak
REFLEKSJE NA MARGINESIE POBYTU
NAUKOWEGO WE FRANCJI

Zenon Ciesielski
UPPSAŁSKA WIEŻA BABEL

Bogdan Maciejewski
W POLU WIDZENIA: HIGIENA PSYCHICZNA
Rozmowa z prof. dr. P. Przewłockim

Stanisław Kubiak
PRZYNCYPIA PODZIAŁU, SOJUSZE
I KOMPROMISY

Ewa Moskalówna
NO I JESTEM DALEJ...

NAUKA

DROGA DO INTEGRACJI NAUK
(Dyskusja w GTN)

Fryderyk Pautsch
GÓREK WSCHODNICH WYJŚCIE NA SZEROKI
ŚWIAT

Andrzej Zbierski
RZEMIOSŁO W GDĄSKU X-XIII WIEKU

LITERATURA

Jan Drzeżdżon
SZKLANE OCZY

Bernard
ZŁUDZENIA I MARZENIA

Władysław Lam
PIES

Bogdan Jemielita
DZIECKO BURZY

Adam Bisztray
NIHIL ALIUD

Anna Pardi
RELACJE • MIŁOŚĆ

Miklos Veress
PODRÓŻ

Kazimierz Sopuch
MECHANIKA SPADANIA

Bohdan Kubicki
TAMTE WINY

Marian Śliwiński
KASZUBSKA EPOPEJA AUGUSTYNA NECLA

Piotr Kuncewicz
MARYNISTYKA DZISIAJ

Stanisława Fleszarowa-Muskat
O ODRZE NAD SZPREWĄ

LEKTURY

Teatr
Ewa Nawrocka
SZARE, SMUTNE „NASZE MIASTO”

Plastyka
Mirosław Komendecki
POSEZONOWE REFLEKSJE

Książki
Miłostawa Bukowska
DEBIUT KSIĄŻKOWY MICHAŁA HERMANA

Bohdan Kubicki
UCHODŹCY

Marian Śliwiński
KRAINA STO PIĄTEJ TAJEMNICY

T.B.
KOMUNIKATY MAZURSKO-WARMIŃSKIE

T.B.
ASTRONOMIA W MIEŚCIE KOPERNIKA

Władysław Zajewski
SŁOWNIK FILOZOFICZNY MATURZYSTY

Marian Biskup
DZIEJE ZAMKU MALBORSKIEGO

Marzena Burczycka
DOROŚLI O MŁODZIEŻY

Władysław Zajewski
NARODZINY NOWOŻYTNEJ HISTORIOGRAFII

ZAPISKI WYDAWNICZE

INFORMACJE © KOMENTARZE © POLEMIKI

Stanisław Pestka

Profesjonalizm czy społecznikostwo?

Nie dajmy się zwieść pozorom: pod pokrywką czy raczej powierzchnią efektowną i stwarzającą wrażenie niesłychanej tężyny, przebiegają prądy o daleko mniejszej sile nateżenia. Czasami jakaś „martwa fala” wybija się na powierzchnię i spycha na mieliznę różnych żeglarzy.

To nie jest wyjątek z jakiegoś wiejskiego reportażu marynistycznego. Wyżej poczyniona obserwacja dotyczy nie zjawisk przyrodniczych, lecz „przestworu” społecznego, równie burzliwego jak ten pierwszy. Działalność społeczno-kulturalna jest bowiem tak szeroka, prawie że nieogarniona, iż mamy prawo nazwać ją przestworem. Obcujemy z nim codziennie i to podświadomie umacnia nas w błogim przekonaniu, że znamy na wskroś, na wylot to wszystko, co wiąże się z ruchem społeczno-kulturalnym. Oczywiście, że znamy to dzięki skądinąd niezawodnym prognozom, wywiedzionym z obserwacji stanu aktualnego. Bywa, iż ulegamy swoistemu oszołomieniu — tyle jest rozmaitych rodzajów działalności, tyle przejawów życia oświatowego, rozrywkowego, artystycznego, tyle kontaktów kulturalnych, że możemy mówić o autentycznym bogactwie.

Twórcą tego bogactwa w dużym stopniu są towarzystwa społeczno-kulturalne, tradycyjna ostoja społecznikostwa. Właściwie aż do naszych czasów nieprzerwanie toczył się nurt kojarzący się ze słowem dilleant, bynajmniej nie w sensie ujemnym. Takie organizacje jak np. Towarzystwo Czytelni Ludowych, Towarzystwo Wiecowe, koła przyjaciół muzeów, chóry, zespoły śpiewacze, towarzystwa o charakterze naukowym, miały złagodzić skutki wrogiej polskiemu żywiołowi polityki zaborców. Miały przechowywać, a przede wszystkim pomnażać substancję kultury narodowej w warunkach kiedy nie było polskiego podmiotu państwowego. Poszczególne towarzystwa, organizacje, instytucje, jednostki światła działały więc aż do 1920 roku (tj. do momentu odzyskania niepodległości, za państwo. Wyrećcały niejako państwo. Owa formuła „wyrećczania” w praktyce obowiązywała ponieważ w 20-leciu międzywojennym, gdyż sanacyj-

ne rządy nie zawsze dostrzegały potrzebę rozwijania wszystkich zdrowych treści kultury, utajonych w regionalnym podglebiu. Toteż „regionalizm jako ruch kulturalny, łączył się z wyraźnym społecznym radykalizmem. Przywrócić — wołał Władysław Orkan na X Zjeździe Związku Podhalan w Szafarach w 1926 roku — własną fizjonomię ziemiom, przez niwelujący „postęp”... zszarzałym... Pchnąć do górnej rywalizacji. Porwać inteligencję, przede wszystkim synów chłopskich z dawnym ziem wyrosłych, aby kontakt zerwany z macierzą — ziemią podjęli”. W tym przypadku (podobnie też podchodził do tej kwestii Stefan Żeromski) chodziło o regenerację narodowej kultury przez jej nasylenie treściami regionalistyczno-folklorystycznymi. Na ogół w inteligentach — apostołach upatrywano realizatorów tego odnowielskiego przełomu.

Ślady tej inteligenckiej orientacji można było jeszcze dostrzec w działalności społeczników po 1945 roku. Niemniej różnice były i są wyraźne. Jakkolwiek nawiązujemy do najświetniejszych tradycji dawnego ruchu społeczno-kulturalnego, to wielkie procesy polityczne i ideologiczne zrobiły swoje. W okresie Polski Ludowej, zwłaszcza po 1956 roku, kiedy ruch społeczny nabrał większej dynamiki, społecznicy nie wyręczają państwa, działają nie za podmiot państwowy, lecz wspólnie z nim. Wynika to niejako z samej natury demokracji socjalistycznej, zainteresowanej w rozszerzaniu marginesu samorządności. Ruch społeczny nie jest jednak jakimś poligonem doświadczalnym samorządności. Mówiąc bardziej patetycznie jest to cenny sojusznik pomagający również kształtować społeczeństwo jutra, stopniowo przejmujące funkcje władzy.

W pierwszych latach po szczęśliwym starcie ruchu społeczno-kulturalnego, gdzieś do połowy lat sześćdziesiątych, radował nas każdy zryw, przypływ aktywności, sesje, odczyty, spotkania, rozwój ruchu amatorskiego, bujny rozwój działalności imprezowej i samokształceniowej. Później coraz to częściej i coraz natęczywiej zaczęła nawiedzać nas refleksja: pewna faza rozwojowa tego

ruchu została zamknięta; poszczególne ośrodki wojewódzkie czy nawet powiatowe wyszły z izolacji, z zamknięcia. Do haseł, które zrobiły wręcz zawrotną karierę należało hasło policentryzmu. Zdeklarowanymi ośrodkami przemian, awansu ekonomicznego i kulturalnego regionu, stały się głównie regionalne i lokalne towarzystwa kulturalne. Budzenie wrażliwości odbiorczej, ratowanie ginącego folkloru, tworzenie ambitnych instytucji artystycznych, zapewnianie możliwości rozwojowych miejscowemu środowisku naukowemu, upowszechnianie sztuki — oto tylko parę przykładów podanych form zaangażowania przeróżnych towarzystw. Nie będzie wcale przesadą, jeśli powiemy, iż Gdańskie Towarzystwo Przyjaciół Sztuki, Zrzeszenie Kaszubsko-Pomorskie, Kujawsko-Pomorskie Towarzystwo Kulturalne, olsztyńskie „Pojezierze”, Szczecińskie Towarzystwo Kultury, Lubuskie Towarzystwo Naukowe, rozmaite towarzystwa miłośników ziemi, wzięły na siebie obowiązek przewodniczenia wyobraźni ogromnie zróżnicowanego odbiorcy. Zdała chyba egzamin lansowana przez towarzystwa „próba rozważenia i zrozumienia twórczości w perspektywie mniejszego kręgu czy podkręgu kulturowego”. Scementowaniu uległy dotąd różne kolektywy społeczników, niebawem, rozwinęła się twórczość amatorska, folklor wyszedł poza opłotki wsi oraz progi muzealne, owocować zaczęły lokalne inicjatywy naukowe, ujawniono talenty, stwarzając im szanse rozwoju. Awans wielu regionów dokonany nie z łaski warszawskiej centrali, lecz w wyniku zwiększenia lokalnej aktywności i mobilności, stał się faktem bezspornym. To już zależy od „psychologicznej geografii” w jakim zakresie wykorzystano potencjał społeczny tkwiący w stowarzyszeniach na rzecz szerszego upowszechniania kultury.

Co więcej, dzięki ruchowi społeczno-kulturalnemu zmieniło się też pojęcie kultura regionalna, która we współczesnym rozumieniu raczej nie oznacza gwary, stroju czy stylu budowli, ale jest działaniem wyzwalającym twórcze ambicje środowisk, widzeniem jego potrzeb w kontekście spraw ogólnonarodowych. W tym samym mniej więcej duchu utrzymana jest wypowiedź znanego teoretyka kultury Marcina Czerwińskiego: „ruch społeczno-kulturalny podlegał w minionym dwudziestopięcioletnim różnym fluktuacjom, które pozwalały jednak wykreślić pewną linię rozwojową. Sądzę, że charakteryzuje go z jednej strony przybliżenie do spontanicznie formułowanych „potrzeb wyjściowych” (tzn. często jeszcze nie do końca ukształtowanych, wskazujących jednak kierunek), a z drugiej zaś znamienne jest to, że zainteresowania własne środowisk „wyrastają z opłotków”, obejmują śmieiej wydarzenia i problemy o znaczeniu ogólnym”.

Inaczej mówiąc zamknął czy może ostrożniej — zamyka się pewien etap w rozwoju ruchu społeczno-kulturalnego. Zdecydowanie przekształca się jego oblicze. Współczesność eliminuje nieublaganie tak drogie jeszcze niektórym rysy dziewiętnastowiecznego społecznikostwa. Charakterystycznego przykładu dostarczają tu chociażby gdańskie kongresy Siłaczek i Judymów. Impreza piękna, ale pomimo prób uwspółcześnienia idei Żeromskiego (formy manifestacji są przestarzałe, lecz zapal i żarliwość społecznika zawsze będą w cenie), czyny i biografie dzisiejszych Siłaczek i Siłaczy nie mieszczą się w judymowskim wzorcu. Stąd poczucie sztuczności, atmosfera sztuczności, pompy, która „etatowcom” niekoniecznie jest potrzebna. Jakieś uwiecznienie laurem jest na pewno konieczne. Pytanie czy kongres stanowi najszcześliwszą formę uhonorowania wysiłków? Nie oznacza to wcale, że powiększam szeregi tych, którzy zwątpili w możliwość podboju terenów działania społecznego. Ba, są tacy co zwątpili w ogóle w celowość, w potrzebę rozwijania ruchu społeczno-kulturalnego. O jego powolnym obumieraniu ma świadczyć to, że wśród młodzieży nie budzi on takiego oddźwięku jak u jej rówieśników sprzed lat choćby dziesięciu! Oczywiście, na przykładach z naj-

bliższego środowiska — GTPS, ZK-P — można dowiedzieć, iż praca społeczna niesamowicie zdrożała. Czyżby wszystkiemu winne było „parszywe dorabianie się”? Trudno polemizować z socjologami, którzy badając podstawy współczesnej polskiej młodzieży, przewidując przyszłe trendy rozwojowe formułują m.in. taki wniosek: należy się liczyć z tym, że przybierać będzie na sile tęsknota młodych, by zadomowić się w „królestwie rzeczy”. Nie należy tego zjawiska rozpatrywać w kategoriach drobnomieszczańskiej konsumpcyjności. Niemniej dotychczasowe struktury i rozwiązania ideowe, jakie proponuje ruch społeczno-kulturalny będą dla zafascynowanych pozytywizmem technicznym niezbyt atrakcyjne. Nie podzielałbym łatwego optymizmu tych, którzy nie uważają, by „rosnący zasięg radia i telewizji z ich własnym programem odczytowym o szerokim wachlarzu tematyki, dostępność samochodu, cywilizacja obrazkowa, perspektywa turystyki otwartej itd., nie stanowiły groźnej konkurencji dla działalności omawianego tutaj typu”. A jednak jeżeli ruch kulturalny, głównie towarzystwa społeczne, nie wypracują odpowiednich „ekwiwalentów”, to wpływ społeczników będzie się wznagał. I tam, gdzie ongiś obserwowano żywe pulsowanie, zapadnie martwota.

W tym momencie wchodzimy na teren pewnego sporu. Nie od dziś zarzuca się towarzystwom społeczno-kulturalnym nieporadność w wychodzeniu naprzeciw aktualnym, społecznym zapotrzebowaniom i pragnieniom. Dla autentycznych działaczy ruchu społeczno-kulturalnego jest to zagadnienie niezwykle palące. Do istoty tego zagadnienia przybliży nas Aleksander Wallis: „spontaniczne dążenia kulturowe poszczególnych zbiorowości i regionów będą się ze sobą ścierać w odmiennych niż dzisiaj układach i sytuacjach... Dzisiejsze postulaty socjalistycznej polityki kulturalnej, takie jak dostępność, powszechność, otwartość czy demokratyczność kultury, będą wymagały reinterpretacji oraz uzupełnienia nowymi sformułowaniami”. „Reinterpretacja” jest nieodłączna, powinniśmy przystosować model ruchu społecznego do ludzi, a nie odwrotnie. Pewnie, że w regionalnych i lokalnych stowarzyszeniach nie zrezygnujemy z popularyzowania wiedzy o najbliższym środowisku, z kulturowaniem folkloru, amatorskich form pracy, tworzenia muzeów regionalnych, upowszechniania plastyki, organizowania wysiłku społecznego wokół zadań inwestycyjnych, prowadzenia prac naukowo-badawczych i edytorskich itp. Byłoby źle gdybyśmy chcieli ograniczyć się jedynie do wpływu i do oczekiwania na owoce działalności ściśle administracyjnej.

Jednakże nasza „strategia pragnienia” tego co chcielibyśmy widzieć musi wynikać z analizy szerszych trendów społecznych. Trzeba po prostu wyjść poza lokalne stowarzyszenia. Spojrzawszy na nie z dystansu, łatwiej dostrzeżemy dlaczego wiele spośród nich faktycznie zagrożonych jest trzema rodzajami schorzeń, którym na imię: instytucjonalizm, elitaryzm, skostnienie. Tę pierwszą zapewne najlepiej znamy. Powiązanie z administracją częstokroć doprowadza do biurokratyzacji i instytucjonalizacji towarzystw. Nie da się zaprzeczyć, Kujawsko-Pomorskie Towarzystwo Kulturalne w Bydgoszczy jest prawdziwym kombinatem produkcji kulturalnej, ale operuje ono przede wszystkim formami administracyjnymi, a nie społecznikowskimi. Skoro decydują administracyjne potencje (KPTK obraca milionami), to nie negując celu istnienia tego ciała niby społecznego, należałoby z kilkuwyrazowego złożenia wytrącić człon najważniejszy: towarzystwo. Bo to już nie towarzystwo czyli zespół bezinteresownie działających ludzi, lecz potężna, dotowana i dotująca machina administracyjna. Podobne tendencje zarysowują się w gdańskim GTPS-ie.

Z konieczności przemodelowania profilu działalności stowarzyszeń zdają sobie najlepiej sprawę ci, którzy dźwigają w nich największe brzemie odpowiedzialności. Ucieczka z organizacyjnych szeregów, czy słaby do-

piływ młodych działaczy powoduje naturalną elitaryzację ruchu społeczno-kulturalnego. Nie wyznajemy zasady, że zbawieniem jest masowy charakter ruchu stowarzyszeń kulturalnych. Nie masowość a kadrowość — jakoś kadry upowszechniającej kulturę gwarantuje spodziewane sukcesy. Niestety, zbyt wąskie i szczupłe grono pomysłodawców i inspiratorów potrafi zabić, lecz nie porwie, nie zapali do swej idei szerokich kręgów społecznych. I oto przy pozorach postępowości nawet rzutkich, towarzystwom społeczno-kulturalnym grozi skostnienie. Nie szedłbym aż tak daleko, ażeby mówić o zakrzepnięciu w działalności społecznikowskiej na pozycjach zeszlórocznego judymostwa. Odbiorcę poszukującego różnorodnego kontaktu ze sztuką odstrasza oferowany przez towarzystwa styl dyletanckiego „wszystkoistycznego” lub jednokierunkowego „wtajemniczenia” w świat kultury. Czy wobec tego iść na łatwiznę i upraszczać?

Chcąc istnieć, muszą one wyciągać wnioski.

Oto na skutek koncentrycznego oddziaływania wielu czynników cywilizacyjno-technicznych, następuje zanikanie więzi społecznych-etnicznych, sąsiedzkich, środowiskowych — wygasanie problemów, które stwarzały klimat sprzyjający ekspansji i rozwojowi stowarzyszeń. W miejsce wygasających tworzą się nowe więzi sąsiedzkie, koleżeńskie, pracownicze, znamienne dla współczesnej urbanistycznej kultury, obejmującej swym zasięgiem i wieś. Tym silniejsza staje się nostalgia za osobistymi pierwiastkami życia i kultury, tak bezlitośnie ścieranych w warunkach bezosobowego kontaktu między ludźmi w warunkach nowoczesnej cywilizacji. Największe szanse rozwoju mają te organizacje, które rozmaitym zagubionym, poszukującym takich czy innych wartości oferują klimat najpewniejszego oparcia. Którę będą działać po trosze na zasadzie telefonu zaufania. Myślę, iż najcenniejszą będzie ta postać samokształcenia, która zagwarantuje jedynie przewodnictwo wysoko wyspecjalizowanych aktywistów towarzystw społeczno-kulturalnych. Nawet najbardziej uległe dźwiganie ciężarów nałożonych przez pedagogikę społeczną z połowy lat pięćdziesiątych 20-go wieku niczego nie zmieni.

Ponieważ powstają nowe więzi społeczne, nowe wartości, trzeba dostosować do nich i strukturę i charakter działalności ruchu społeczno-kulturalnego. A więc nie inteligentkie „apostolstwo”, a fachowe, specjalistyczne przewodnictwo w kulturze, upowszechnianie wiedzy „stosowanej”, potrzebnej jednostce w konkretnej sytuacji życiowej, umiejętność modyfikowanie jej zainteresowań. Kiedy odbiorcy zauważą, że uzyskują rzeczywiste oparcie w ramach danej organizacji, to zmienia swój stosunek do niej. Zmniejsza chęć obojętności wobec działalności społecznej. Ten model społecznikowski, nieco pragmatyczny może nie jest wolny od słabości. Czy nie nadżył dużą rolę odgrywa w tym modelu praktycyzm? Skoro wszakże umożliwia realizację w miarę pełnej osobowości, to nie szczędźmy mu poparcia. Może w tym wyżej opisanym przypadku byłby to ruch bliższy profesjonalizmowi niż społecznikostwu? Nawet w tej postaci niesie on jakieś szanse integracji rozbitych i rozpraszcanych się energii społecznych.

Zgoda na pół instytucjonalne istnienie tego „ruchu” ułatwiłaby wyczelowanie oblicza ruchu społeczno-kulturalnego w pełnym tego słowa znaczeniu społecznego! Działającego w zasadzie bez dotacji, bez cienia biurokracji, nie uzależnionego od administracji, ale nie zamkniętego na pytania i niepokoje współczesności. Działaczom tego ruchu nie można by zaserwować aktu oskarżenia, iż ubierają splendory z tytułu swego judymostwa. Bo i cóż to za społecznikostwo, gdy np. towarzystwa społeczno-kulturalne traktuje się jako wygodną furtkę przez którą płyną do kieszeni chałturszczyków pieniądze z Wydziału Kultury?! Z uwagi na to, że towarzystwa są w iluś tam procentach zinstytucjonalizowane, przeto często też do

głosu dochodzi myśl marginesowa, utylitar-na. A do rzadkości nie należą działacze ob-wieszeni funkcjami społecznymi jak choin-ki świecidełkami.

Nie tak od razu przekształcimy dotychcza-sowy sposób myślenia i... działania w towa-rzystwach społeczno-kulturalnych tradycyj-nej osto społecznikostwa. A może od razu? Wiadomo, że podstawą prawidłowego fun-kcjonowania stowarzyszeń legitymujących się

społecznikiem powinna być czysta bezin-teresowność. Oprócz zinstytucjonalizowanych ośrodków odwołujących się do społecznego działania w kulturze, powinny egzystować towarzystwa opierające skuteczność swej pracy na czystym społecznikostwie. A tako-nych obecnie nie ma. Od starych zafałszo-wań narosłych w toku praktyki uwolniłoby chyba nasz ruch społeczno-kulturalny współ-cześnie prawa o stowarzyszeniach. ■

Tadeusz Woźniak

Kazio kupuje lakierki

Ladnie to nawet wygląda: nad pomost, wysoki około trzech metrów, nadjeżdża ramię wielkiej 12,5-tonowej suwnicy, chwi-łę trwają manipulacje założenia haków na „uszy” i suwnica wyciąga ze stalowej for-my betonowy plaster — ścianę domu; odno-si ją na bok, ustawia w stojadłach, gdzie bie-leje rząd identycznych i podobnych ścian. Suwnica pracuje; w szklanej budce pod da-chem hali młoda, rudowłosa dziewczyna kie-ruje jej ruchami. W tym czasie na pomoście chłopak w buraczkowym kasku uwi-ja się niczym fryga. Zamknął jeden zawór, otwo-rzył kolejny, potem przebiegł na drugą stro-nę stalowej formy i znowu ta sama czynność z zaworami. Trzeba było silnie szarpać me-talowe zatyczki, żeby szczęknęły posłusznie. Wreszcie uporał się z nimi. Krzyknął coś do dwóch mężczyzn, którzy pracowali na drugim końcu pomostu. Jeden z nich, mały, w zielonym kasku, ruszył truchtem w jego kierunku. „Buraczkowy” przycisnął guzik na pulpicie, drugą ręką „przedłużył” dwumetro-wą rurką, dzięki czemu mógł jednocześnie przydusić przycisk na słupie. Rozległo się ostrzegawcze dzwonięcie. „Zielony” stanął przy drugim słupie, przydusił trzeci przycisk. Pomost zadrżał. Potężne łapy hydraulicz-nych pomp docisnęły metalową płytę opróż-nionej komory, a po chwili mocując się o-derwały następną płytę od betonowej ścia-ny. Buchnęła para, rozwiała się szybko i z nowo otworzonej komory można było wycią-gnąć nową ścianę. „Zielony” pobiegł do zajęć,

od których go odwołano. Suwnica już wró-ciła po następny plaster. „Buraczkowy” za-kłada haki, potem kontroluje czy ściana wy-chodzi z formy. Jeżeli nie — daje znak ręką. Rudowłosa obserwuje go, zobaczy znak — zatrzymuje mechanizmy. I żeby „uszy” nie pękły „buraczkowy” wbija przecinak między formę a betonową ścianę, podważa. Może teraz pójdzie. Oddała się kawałek, da-je znak. Poszło. Betonowy blok kołysze się nad formą, paruje, jeszcze gorący. Pozostaje tak przez chwilę, póki kilkoma sprawnymi uderzeniami młotka „buraczkowy” nie wybi-je foremek, w miejscach gdzie przewidziane są otwory. Wypadły foremki. Ściana wędru-je na stojadła. Cały manewr powtarza się precyzyjnie co kilkanaście minut.

Widoki podobne jak w stoczni, kiedy suw-nice podzwaniając jęgliwie taszczą fragmen-ty statku. Także gwar rozbrzmiewający w tych halach podobny do stoczniowych odgło-sów pracy, chociaż nie tak głośny, spokoj-niejszy. Słychać monotony stukot zgrzewa-rek, warkot kilkudziesięciu różnych maszyn i co pewien czas, zagłuszający wszystko jaz-got wibratorów. Ten sam jak w stoczni, o-nieśmielający krajobraz skomplikowanych urządzeń: maszyn, rurociągów, estakad. Ale to nie stocznia. To „Kokoszki” — fabryka domów. Część przedsiębiorstwa o nazwie: Gdański Kombinat Budowy Domów w Ko-koszkach. Tu, w fabryce, produkuje się go-towe elementy: ściany, stropy, bloki wenty-lacyjne, bloki elektryczne, biegi schodowe

itd. Wszystkie elementy potrzebne do budo-wy domów. Produkcję przemysłową fabryka rozpoczęła w styczniu bieżącego roku. Wkrót-ce uruchomiono dwie pierwsze kombinatowe budowy, osiedla mieszkaniowe: Pomorska II (między Sopotem a Oliwą) i w Pruszczo Gdańskim. Jesienią tego roku rozpoczęto trzecią budowę, hotelowiec w Kokoszkach, dla służby ruchu kombinatu.

* * *

Kilkanaście kilometrów za Gdańskiem, po prawej stronie szosy, która dalej biegnie do Żukowa, Kartuz — w piękne krajobrazy Ka-szubskiego Pojezierza, leży wieś Kokoszki. Ani tu pięknie, ani ziemia urodzajna, piaski na zmianę z gliną. Kilka lat temu, zapadła decyzja: w Kokoszkach zostanie zbudowany Kombinat Budowy Domów. Ludzie kręcili głowami z niedowierzaniem: „na tych polach, które wiosenne roztopy zmieniają w grzęza-wiska?” A potem, ludzie budujący kombina-towe obiekty w Kokoszkach, przeklinali siar-czyście.

— Tu było naprawdę błoto — wspomina-ją. — Bywało, nie docieraliśmy do pracy. Autobusy zawracaly z drogi. Niezbýt prze-zorni kierowcy ciężarówek topili wozy po osie. Przezorni wracali do Gdańska. Ludziom opadały ręce, tracili wiarę w swoje siły. Dla-czego tutaj kombinat? Gdzie indziej budo-wałoby się szybciej, łatwiej!

Większość obiektów kombinatu już wy-budowana, gliniaste drogi pokrył asfalt, po-łączył kombinat z szosą. Kto nie wie jak trudno było tutaj dojechać, ani się tego do-myśli. Dzisiaj łatwo, twardy beton jezdni, chodniki. Dalej za tą groblą — grząsko, dla-tego wywozi się tu gruz, odpady budowlane. Z czasem utwardzą ten mielaskawy grunt. A za kilkanaście lat, kiedy plany roz-budowy Gdańska zrealizują się w terenie, być może nikt nie będzie się dziwił dlaczego kombinat zlokalizowano w Kokoszkach.

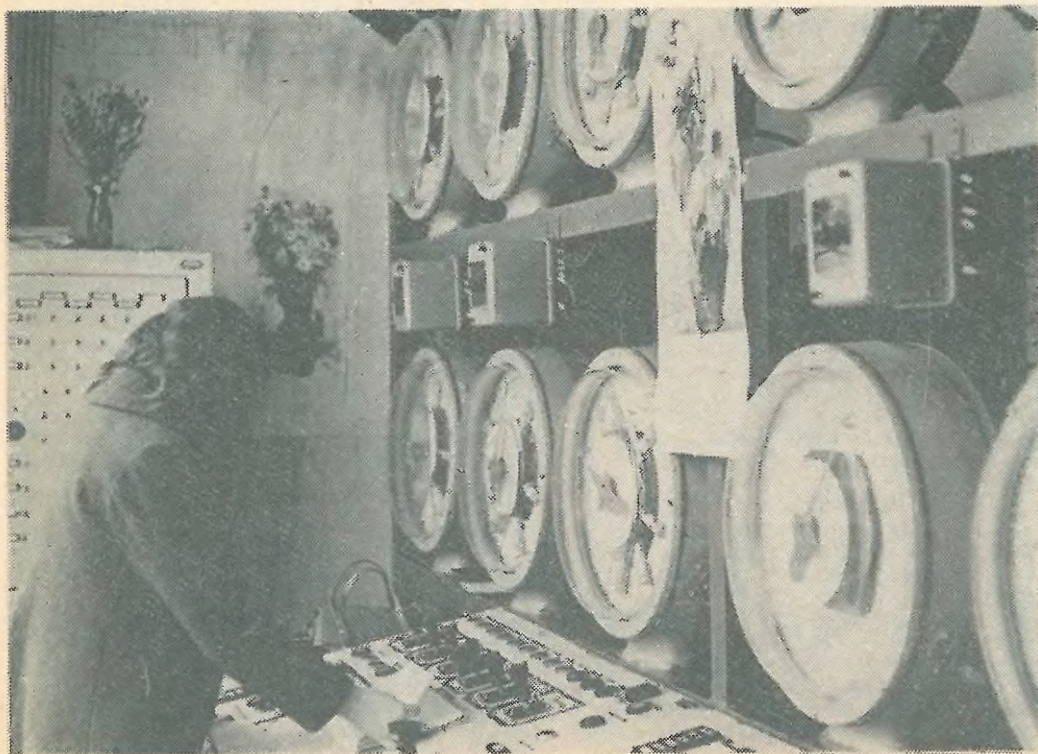
Decyzja o powstaniu Kombinatu Budowy Domów w Kokoszkach wynikała bardziej z bieżących problemów, niż z dalekosieźnych planów perspektywicznych. Sytuacja w bu-downictwie mieszkaniowym zmuszała do szu-kania nowych rozwiązań. Murarz z kielnią, który od czasów starożytnych, przez całe średniowiecze, nadał za postępem w bu-downictwie aż do XX wieku, przestaje się liczyć. Już i budowa z półfabrykatów — szczyt nowoczesności sprzed kilkunastu la-ty — staje się zbyt pracochłonna i nieeko-nomiczna. Teraz gotowe elementy.

Fabrykę, tę dla gdańskich Kokoszek jak i trzy identyczne dla Bydgoszczy, Łodzi i Warszawy, zakupiono w ZSRR. Kompletnie wyposażenie oraz technologię produkcji. Ale trudna sytuacja mieszkaniowa, to nie tylko brak odpowiedniego sprzętu, nowych tech-nologii. To przede wszystkim brak kadry budowniczych. W Warszawie organizowano załogę tylko do nowej fabryki. Produkcją domów z gotowych elementów zajęły się już istniejące przedsiębiorstwa budowlane. W Gdańsku, podobnie jak w Bydgoszczy i Łodzi, przystąpiono do tworzenia nowej, sa-mowystarczającej jednostki — kombinatu bu-dowy domów. No i są dzisiaj: fabryka i kom-binatowe brygady montażowe. Cała załoga kombinatu liczy około 2000 osób, w fabryce pracuje blisko 700 osób, w tym 600 pracow-ników fizycznych.

* * *

A więc jednak znaleźli się fachowcy? Pew-nie przeszli z innych przedsiębiorstw budo-wlanych, trzeba było — to się skompleto-wało załogę, konieczność nakazywała wyko-rzystać szansę, jaką daje nowoczesna fabry-ka i organizacja kombinatu — tak sobie rozmyślam, spekuluję, gdy razem z inż. Alfredem Janosem — kierownikiem zmiany, idziemy przez hale produkcyjne. Mijamy sta-nowiska pracy, nieraz zagadniemy ludzi w umorusanych kombinizonach, tak w stylu: „Jak wam się pracuje?...”

Widzę, że pracują tu prawie wyłącznie lu-



dzie młodzi, bardzo młodzi. Tak szybko zdążyli stać się fachowcami? Kim są ci mistrzowie z nowoczesnej fabryki domów?

— Wielu tych młodych ludzi jeszcze do niedawna pasło krowy — chłodno wyjaśnia inżynier.

— Tak, tak... Większość z nich to mieszkańcy okolicznych wiosek, synowie rolników i chłopów-robotników. Niekoniecznie trzeba to rozumieć dosłownie. Rzecz w tym jednak, że ci ludzie, „prosto z roli” nie obznajomieni z pracą w dużym zakładzie, z przemysłem. Brakowało ludzi do pracy w kombinacie, a tymczasem zbliżał się styczeń — czas uruchomienia produkcji przemysłowej. Zgłosiło się trochę fachowców z odpowiednim przygotowaniem zawodowym, stażem pracy. Przyjmowano ich z otwartymi rękami. To był zaczyn, który miał stworzyć przyszłą załogę. Pionierzy. Zdawano sobie jednak sprawę, że nie na wszystkich z nich można liczyć. Przyszli też i tacy, dla których jedynym celem było wykorzystać okazję, jakie dawał ten zakład: możliwość zdobycia dobrego stanowiska, wysokie zarobki związane z uruchomieniem produkcji, szansę wyjazdu na przeszkolenie do ZSRR. Wśród pionierów zwykle znajdują się bardzo różni. To młodzi. Ale nawet ta fachowa kadra nie była w pełni przygotowana do pracy: w nowej produkcji, opartej na nowych technologiach. Kilkudziesięciu pracowników umysłowych i fizycznych z tego grona wyjechało na trzymiesięczne przeszkolenie do Moskwy i Wilna. Po powrocie oni oraz trzynastu specjalistów radzieckich, odelegowanych do pomocy w uruchomieniu fabryki, szkolili nowo przyjętych do pracy. A przyjmowaliśmy każdego chętnego, który się zgłosił, jeździliśmy agitować po okolicznych wioskach. Jeszcze obecnie brakuje nam ludzi, chociaż najgorsze kłopoty mamy już za sobą.

* * *

Na pomoście awaria. „Buraczkowy” razem z „zielonym” i tym trzecim medytują co robić. Trzy ściany unieruchomione w formie. Wszystkie z oberwanymi uszami. „Uszy” były z cieńszego drutu, niż przewiduje norma. Ktoś nie zadbał, ktoś zlekceważył teorię, albo jej po prostu nie znał. Teraz trzeba się biedzić. A i tak dobrze, gdyby drut pękł w momencie, gdy „buraczkowy” wybija z płyty foremki... br...

Ten pomost, to jedna linia wydziału form bateryjnych — W-3. Równolegle obok siebie stoją trzy takie pomosty, trzy linie. W każdej linii cztery formy, razem dwanaście. Jedna forma w zależności od typu ścian, produkuje jednorazowo 10—24 elementów. Średnio licząc, co 24 minuty opuszcza fabrykę gotowy produkt z W-3; płyta stropowa, któraś ze ścian wewnętrznych lub płyta balkonowa. Z podobną częstotliwością produkuje wydział W-4. Powstają tu bardziej skomplikowane elementy: ściany zewnętrzne — „otynkowane” specjalną fakturą, biegi schodowe, bloki wentylacyjne i elektryczne. Dlatego też produkcja przebiega nieco inaczej. Już nie formy bateryjne, a pojedyncze formy — wózki, poruszające się po szynach. Kilka linii, na każdej kilka wózków, jedne przygotowane do przyjęcia betonu rozłożonego elektrycznymi wózkami, inne już napełnione — różne fazy produkcji.

Formy bateryjne, tu produkcja prezentuje się najnowocześniej, najbardziej odpowiada nazwie — fabryka domów.

Trzech ludzi na pomoście, to brygada Bronisława Kulasa: „buraczkowy” — Ignacy Chmurzyński, „zielony” — Jan Bartelik i ten trzeci — Kulas, starszy mężczyzna, wysoki, kościsty. Pracują na II zmianie, od 14-tej do 22-ej. Powinno ich być pięciu ale dwóch nie przyszło. Rano na tym pomoście pracowała brygada Franciszka Gintera. Pierwsza zmiana zaczyna pracę o godzinie szóstej. Ginter z zawodu jest piekarzem, trzynaście lat pracował w swoim fachu, ostatnio w piekarni na ul. Słowackiego we Wrzeszczu. Jak tylko skończył szkołę podstawową —



(FOT. JERZY HAJDUŁ)

wą — pracował i uczył się. Został czeladnikiem. Przepracował kilka lat, a zarobki wciąż marne — 7,20 na godzinę. Miesięcznie wychodziło około dwóch tysięcy. Co to jest, gdy na utrzymaniu żona, dziecko? Gdy trzeba starać się o mieszkanie? Zdał egzamin mistrzowski, będzie o złotówkę więcej na godzinę — doradzali starsi koledzy. Wielka różnica? — kalkulował Ginter. W październiku ubiegłego roku pożegnał kolegów z piekarni i zgłosił się do pracy w „Kokoszkach”. No i tutaj mniej niż 3000 złotych miesięcznie nie dostawał. A teraz, jako brygadziśta, dostaje 4000 i więcej. Różnie wypada, praca na akord. Można zarobić — inna jest chęć do pracy.

A robota bardzo podobna jak w piekarni, tam formy — tu formy, tam placki — tu placki, tyle że tutaj większe i cięższe placki — żartuje Bolek Bentowski — ale my mu pomagamy.

Bolek przed chwilą siedział w formie, czyścił metalowe płyty. Rozformowali baterię, czyli wyjęli gotowe ściany i należy ją oczyścić z pozostałości. Pneumatycznymi skrobarkami usuwają resztki tynku. Dokładnie, z każdej płyty. Do zamkniętej komory nikt by nie wszedł, kilkanaście centymetrów sze-

roka — odpowiednio do grubości produkowanych ścian. Trzeba wszystkie komory otwierać. Powstaje wówczas szczelina ponad pół metra. Można w niej swobodnie poruszać się.

Dlaczego trzeba nadusić jednocześnie aż trzy przyciski i dlaczego one są tak daleko od siebie, że musi być trzech ludzi, aby uruchomić pompy?

— To tylko przy zamykaniu. A dlaczego, to my panu wytłumaczymy. Otóż tam w otwartej komorze siedzi nasz kolega, Stachu Betka, czyści ją. Czy pan chciałby być w jego skórze, gdyby naciśnięcie jednego guzika, dajmy na to tego na pulpicie, uruchomiło pompy? Ktoś by pomylił guziki..., przypadkowo oparł rękę... Pompy zwierają się szybko, zostaje 15-centymetrowa szczelina... I jakby Stachu wyglądał?... Stachu niezbyt rozmowny, zerka na nas z podłuba.

Brygada obsługuje cztery baterie, przy jednej — w zależności od pracy — znajduje się dwóch, trzech. Skomplikowane zamykanie komór, gwarantuje większe bezpieczeństwo. Nie opatentowanym pomysłem racjonalizatorskim jest posługiwanie się dwumetrowej (mniej więcej) długości rurką, dzięki której może wykonać tę czynność dwóch lu-

dzi. Jest to sposób powszechnie stosowany, chociaż: „gonią za to”.

Oczyszczoną płytę należy nasmarować olejem, żeby beton nie „przyklejał się”. W tym czasie jak Bolek ze Stachem czyszczą „swoją” baterię, Heniek Gillmeister opryskuje następną olejem z automatycznego rozpylacza. Sprężone powietrze zamienia plyn w szary obłoczek. Ale automat zaniemógł. Nie funkcjonuje dopływ oleju. Trzeba zbiornik napęlniać, nosząc olej wiadrami.

— Wczoraj nie było, dzisiaj nie ma — pomstuje Heniek Karczewski, któremu wczoraj, no i dzisiaj (z racji doświadczenia) przypadło nosić olej. Potem w nasmarowane formy wkłada się konstrukcje z drutu: siatki albo wielopłaszczyznowe, produkowane w sąsiedniej hali, skąd dochodzi monotonny stukot zgrzewarek. Dla każdego elementu robi się odpowiedni szkielec — zbrojenie. Ważne, żeby szkielec nie dotykał metalowych płyt formy, nie pozostał odsłonięty w ścianie. Szybko zniszczyłaby go korozja i niebezpieczeństwo gotowe. Samo betonowanie jest już czynnością niesłychanie prostą. Prosta dzięki zmechanizowaniu. Na pomoście za instalowany jest telefon. Mistrz telefonuje do betonowni, która znajduje się w pomieszczeniach o kilka—kilkanaście metrów wyżej, zamawia beton, rodzaj i ilość.

* * *

Beton dzisiaj na pierwszej zmianie „urabiają” dla całej fabryki dwie panienki: Zosia Pasznik i Jola Kosecka, oraz pani Krystyna Pióro. Siedzą w pomieszczeniu zwanym dozownią, przy długim pulpicie, na którym mnóstwo światełek kontrolnych, przełączników itp. urządzeń. Przed nimi dwanaście wielkich zegarów. Dzwoni telefon, jest zamówienie na taką a taką ilość betonu, takiego a takiego rodzaju. Uruchamiają jedną czy dwie betoniarke, których są cztery. I według receptur, które znają na pamięć, sporządzają odpowiedni beton. Wszystkie materiały wysypują się i wlewają automatycznie do betoniarok, po włączeniu odpowiednich przełączników. Pozostaje tylko dozować, nie przejmując się zbyt, bo „tu nie apteka”. Następnie odnotować „zarób” w dzienniku. Mijają trzy minuty i „zarób” jest gotowy. Automatycznie zostaje przetransportowany do zasobnika i dalej, do produkcji...

— Praca bardzo prosta, łatwiejsza niż w biurze — utrzymują panienki — a zarobki lepsze, ponad dwa tysiące. Zosia skończyła technikum budowlane, Jola liceum ogólnokształcące, potem przez trzy semestry studiowała na WSWF-ie w Oliwie. W styczniu przerwała naukę i zaczęła pracować w „Kokoskach”. Musi wstawać o godzinie czwartej trzydzięści, żeby z Sopotu dojechać na czas. Zosia i pani Pióro mieszkają we Wrzeszczu. Dojazd mają trochę dogodniejszy.

Co jakiś czas jedna z dziewcząt biega do betoniarok, a dokładniej do zsyków. To z powodu klapy — zaczyna się. Automatyzację trzeba „poprawić” łomem. Uciążliwe to, ale pocieszają się, że w końcu zostanie zrealizowany pomysł racjonalizatorski Walenziaka. Walter Walenziak, zakładowy automatyk, to racjonalizator dużej klasy — ich zdaniem. Kiedy w fabryce zmieniono jedną z technologii produkcji, Walenziak dostosował do niej automatyzację.

— Zdolny jest — podziwiają go szczerze.

Obie panienki zapalały ochotą do studiów na politechnice, na wydziale budownictwa lądowego.

* * *

— W trzech ludzi to nie robota — żyyma się brygadziasta Kulas. Smentoch jest na zwolnieniu chorobowym, ale dla czego Jana Hince nie ma w pracy? Pewnie kopie kartofle w PGR. Tak to nie może być, albo PGR albo fabryka.

— Ta młoda, a właściwie podwójnie młoda, bo wiekiem i stażem pracy załoga, stopniowo stabilizuje się w zakładzie, są już

wyraźne zmiany — stwierdza kierownik wydziału W-3, Malinowski. Początkowo wielu spośród tych młodych ludzi cechowało nastawienie do pracy w fabryce, jak do sezonowego zajęcia. Byli przyzwyczajeni zmieniać miejsce pracy, nigdzie nie zagrzewali miejsca zbyt długo. Przyszli do fabryki, ponieważ aktualnie nie mogli zarobić pieniędzy w PGR, u rolników. Była wiosna. Pracowali do momentu wypłaty. Dostawali pieniądze i powiadali:

— Kaziu potrzebował — (ruch po gardle) — Kaziu ma.

To było ich powiedzonko — dewiza. Pili bez umiaru. Zapominali o pracy. Większości z nich już nie ma w fabryce, odeszli sami, zostali zwolnieni. Są jeszcze tacy, którzy próbują przechrzyć przedsiębiorstwo. Może uda się usprawiedliwić jeden drugi dzień, a tymczasem wpadnie dodatkowy zarobek. Być może, niektórzy nie chcieliby nawet opuszczać pracy. Ale oni tkwią nadal w tym środowisku rolniczym. Niekiedy czują się zobligowani więzami pokrewieństwa, przyjaźni do pomocy w pracach rolnych, które zwykle wymagają pośpiechu. Karzemy nieobecność, potrącamy premię.

Pomimo wszystko wzrasta poczucie więzi z fabryką. Tworzy się więź środowiskowa. A tym samym zaczynają dominować postawy pozytywne, takie jak chęć zdobycia zawodu, stabilizacji życiowej itd. Ta zbierana ludzka, która się tutaj znalazła, stopniowo przeradza się w załogę fabryki. W przypadku mojego wydziału z uprawnieniami budowlanymi jest jeden brygadziasta, drugi ma bardzo duży staż pracy, a reszta? Dwóch piekarzy i pozostali bez zawodu, ze zdolnościami organizatorskimi. Mistrzów jest trzech: Zygmunt Kropidłowski — doświadczony „budowlaniec”, młoda absolwentka politechniki — mgr inż. Irena Nagórska i Zbigniew Formella — dwudziestoparoletni chłopak, student III roku PG (Wydział Budownictwa Lądowego) dla pracujących. A robotnicy? Cała mozaika życiorysów.

* * *

Mistrz Kropidłowski wskazuje ściany, których nie chciałby mieć w swoim mieszkaniu. Złe wykonane, najczęściej z tzw. „rakiem”. Beton nie związał, kruszy się. Jest kilka takich wśród kilkudziesięciu poddawanych ostatecznej „kosmetyce” — malowaniu, wstawianiu okien, parapetów itp. Czy zostaną wybrukowane, czy też trafią na budowę? Jaki jest procent braków? Kto zwinął: ludzie czy maszyny?

Przy tych wszystkich kłopotach organizacyjnych wydawałoby mi się normalne, że fabryka nie nadąża z produkcją. Tymczasem w magazynach tłok. Budowy kombinatów nie nadążają za fabryką. Gotowe elementy zawalają magazyny, nie ma gdzie ich pomieścić.

— Musimy wstrzymać produkcję fabryki — dowiaduję się — przykładowo wydział W-4 i W-3 od 1—13 lipca nie produkowały.

Niezbyt to optymistyczne, ludzie czekają na mieszkania, mieszkań brak a tutaj przestoje. Ale tam, na kombinatowych budowach, kłopotów i trudności też nie ma. Powoli przedziera się ta nowoczesność przez stare zaniechania, problemy nabrzmiały od lat.

* * *

Poczekalem na drugą zmianę. Poszedłem do fabrycznego bufetu. Tutaj na obiad, na kawę przychodzą ludzie z pierwszej zmiany, inni przed pracą na drugiej zmianie. Nie raz znajdzie się ktoś w kombinacie, prosto od pracy, ale w tych przełomowych godzinach zmian można tu zobaczyć krzyżącą elegancję w ubiorze młodych ludzi, typową dla wsi i małych miasteczek. To „Kaziowie”, którzy przeszli już czas próby, których nie zadowalało „Kaziu ma”, oni awansują.

Za kilka dni w biurcu kombinatu zostanie otwarty klub. Będzie kolorowa telewizja, mówi się o zorganizowaniu młodzieżowego zespołu muzycznego.

Brygada Kulas miała betonować. Już wszystko prawie przygotowane, a tymczasem... Mistrz Formella chodzi z miną pochmurną. Wreszcie wyjaśnia.

— Chyba nic z tego nie będzie, coś się zepsuło w podajniku. Może naprawią. Poczekamy. Myślę sobie o blisko 100 wnioskach racjonalizatorskich, które w tym krótkim okresie działania fabryki zostały zgłoszone. Trzeba tę nowoczesność stale usprawniać, ulepszać.

Mineło pół godziny i podajnik działa. Na ostatnim pomoście brygada Stefana Hince już betonuje. Właściwie to betonuje Jerzy Kowalczyk. Wysoki chłopak, włosy gęste, falujące, sięgające mu do ramion, stoi nad formą. Co pewien czas słycać głuchy łoskot, przez pomost przebiega drżenie. To ładunek betonu wędruje estakadą. Jerzy skierował przewód — grubą rurę — na formę, potem przesuwając ją rozprowadza beton po komorach. Co kilka minut następny ładunek betonu. W przerwach Jerzy włącza wibratory, przyciska guziczek na pulpicie. Gwałtowny dreszcz wstrząsa całą formą. Beton ubija się. Jerzy jest bramkarzem w drużynie piłki nożnej „Koguty”. Niedawno utworzyli drużynę spośród załogi kombinatu. We wrześniu rozegrali pierwszy mecz z „Łącznościowcem”, wygrali 5:2. Budowane już jest boisko dla drużyn sportowych kombinatu.

Po godzinie czasu forma już zabetonowana. Wszystkie komory wypełnione betonem. Teraz trzeba wykonać telefon do „pusku” — sterowni naparzalni — niech włączy dopływ pary. Co druga płyta formy jest jednocześnie grzejnikiem. Po kilku godzinach naparzenia, ściany stwardnieją. Jutro rano pierwsza zmiana wyjmie z tej formy gotowe ściany.

Henryk Stępiak

Karta Praw i Obowiązków Nauczyciela

Refleksje

Bieżący rok szkolny przyniósł nowe emocje wielotysięcznej rzeszy nauczycieli. W lipcu bieżącego roku minister oświaty i wychowania wydał zarządzenie (Dz.Ur. Min. Ośw. i Wych. nr 2 z 24 VII 1972 r. poz. 10—12) w sprawie przepisów wykonawczych dotyczących praw, obowiązków i uposażenia nauczycieli, z którym zapoznano ogół nauczycieli na licznych konferencjach i posiedzeniach. Przy tej okazji przekazano nauczycielom szeroki instruktaż w formie zarządzenia na temat przygotowania i organizacji pracy dydaktyczno-wychowawczej w szkole. Na konferencjach, jak zazwyczaj bywa, na ogół wszystko było jasne. Prawdziwa dyskusja zaczęła się w szkołach i to nie na posiedzeniach rad pedagogicznych, gdyż tam nie ma na to czasu wobec konieczności przekazania wszystkich informacji z konferencji wyższego szczebla, konieczności zatwierdzenia planów pracy i omówienia innych spraw organizacyjnych.

Może to i prawidłowo, bo zarządzenia i zalecenia zostały wydane do wykonania, a nie do dyskusji. Dyskusja trwa więc na przerwach międzylekcyjnych, na spotkaniach towarzyskich, przy każdej okazji. Dyskusji tej towarzyszy niepokój wielu nauczycieli o to, że wielką sprawę — podniesienie poziomu pracy szkół, którego efektem ma być wyższy poziom wiedzy i kultury uczniów — zagubi

się w potoku biurokratycznych i nie prze-myślanych do końca zarządzeń. Bo jakiemu celowi ma służyć np. zarządzenie w sprawie przygotowania planów dydaktyczno-wychowawczych w... zeszytach, zamiast jak dotychczas w dziennikach lekcyjnych (?) Na czym ma polegać w tym wypadku — nowo-czesność w zarządzaniu i kierowaniu proce-sem dydaktyczno-wychowawczym?

Nauczyciele pracujący w szkolnictwie w latach 1950—1955 pamiętają na pewno te czasy, jak to kierownik, czy dyrektor szko-ły miał obowiązek nie wpuścić nauczyciela na lekcję, jeśli ten zapomniiał zabrać z do-mu... zeszyt z przygotowaniem do lekcji, w którym musiał być opracowany na cały o-kres tzw. „szczegółowy rozkład materiału” z wykazaniem tematu lekcji, sposobu reali-zacji (czy miał to być wykład, czy pogadan-ka itp.), celami dydaktyczno-wychowawczy-mi, pomocami naukowymi, terminami odby-cia lekcji i uwagami o realizacji. Oprócz te-go obowiązywał wówczas jeszcze rozkład ra-mowy, który wpisywało się do dziennika lek-cyjnego. Zarządzenie to obowiązywało kilka lat i jako nieprzystające w procesie naucza-nia i bardzo uciążliwe dla nauczycieli zo-stało w 1955 r. uchylone w ramach tzw. „od-ciążenia nauczycieli”.

Trudno w to uwierzyć, że dzisiaj, po 20 latach, w okresie natężenia walki z biuro-kracją, władze oświatowe sięgają do starych i — powiedzmy szczerze — wystarczająco ośmieszonych sposobów podnoszenia poziomu pracy szkół.

Niektórzy dyrektorzy szkół nie chcą pozo-stawać w tyle i wydają dalsze biurokratycz-ne zarządzenia w sprawie... usprawnienia procesu dydaktyczno-wychowawczego; jed-na z wychowawczyń szkoły podstawowej w Gdańsku pokazała mi dziewięć planów i różnych załączników, które musiała w ter-minie do 10 września opracować i wkleić do dziennika lekcyjnego (dziennik trzeba by-ło na nowo oprawić u introligatora na koszt klasy). Aby nie być gołosłownym, przytoczę tytuły tych planów: 1) program pracy wy-chowawczej, 2) plan godzin wychowaw-czych, 3) skład samorządu klasowego i plan działania, 4) skład trójki klasowej i plan działania, 5) uwagi o klasie, 6) uwagi o uc-zniach, 7) stan czytelnictwa w klasie, 8) u-dział rodziców w zebraniach, 9) przynależ-ność w klasie do organizacji szkolnych i kół-łek zainteresowań. Ta sama nauczycielka o-piekuje się samorządem uczniowskim, któ-ry też musi mieć plan działania no i wspo-mniany wyżej plan dydaktyczno-wychowaw-czy (opracowany w zeszycie), w zakresie nauczanego przedmiotu, do poszczególnych klas.

Myliłby się ten, kto by przypuszczał, że są to może tylko zarządzenia. Otóż nie. Wła-dze oświatowe są konsekwentne. W czasie inspekcji szkolnej wizytator dokładnie pla-ny sprawdzi, zwróci uwagę, że ten i ów cel wychowawczy jest niewłaściwy, a tamten załącznik jest zbyt pobieżny, bądź nieczytel-nie opracowany. Wizytatorowi już nie star-czy czasu na zwizytowanie i omówienie lek-cji, bądź też na dyskusję z dyrektorem czy nauczycielem np. na temat ostatnio opubli-kowanych prac z zakresu pedagogiki, czy organizacji pracy, czy też na temat kłopo-tów nauczycieli związanych z samokształc-eniem. „Nie starcza czasu” — powiedziane grzecznościowo, gdyż rozmowy takiej z in-nego powodu wizytator unika. Łatwiej jest bowiem wizytatorowi, czy dyrektorowi, dy-skutować z nauczycielem na temat poszcze-gólnych planów i odpowiednich rubryk, ani-żeli na tematy wymagające rzetelnej wiedzy i dobrej praktyki. Więc i jeden i drugi dy-skutują na tematy łatwiejsze, ale komu taka dyskusja jest potrzebna i co ona ma wspól-nego z podniesieniem poziomu pracy szko-ły?

A oto inny przykład zamiłowania do biu-rokracji w naszych szkołach; dyrektor jed-nej ze szkół gdańskich na zakończenie roku szkolnego zażądał od uczących w tej szkole nauczycieli pisemnych sprawozdań z pracy w ciągu roku szkolnego, w których należało

uwzględnić realizację programu nauczania, wykorzystanie pomocy naukowych, pracę wy-chowawczą, pozalekcyjną i społeczną. Po-dobno takie było zalecenie Wydziału Oświa-ty (?). W dyskusji dyrektor nie dał się prze-konać o absurdalności zarządzenia twier-dząc, że „jeśli nauczyciel będzie musiał zło-żyć pisemne sprawozdanie, to na przyszły rok weźmie się lepiej do pracy”. Więc nau-czyciele tej szkoły pisali na przerwach mię-dzylekcyjnych, niektórzy na lekcjach, pole-cając uczniom wykonanie „cichej pracy”, a bardziej opieszali robili to już na radzie pe-dagogicznej podsumowującej rok szkolny. Dlaczego ów dyrektor wydał czy powtórzył za Wydziałem Oświaty tak absurdalne za-rządzenie? Najprawdopodobniej zajęty spraw-dzaniem tych wszystkich planów i pisanem ciągłych sprawozdań i informacji nie miał czasu w ciągu roku skontrolować swoją za-łogę, w jakim stopniu wykonuje ona ustalo-ne zadania.

Jeśli już mowa o wysiłku administracji szkolnej w zakresie usprawnienia pracy szkoły, to wypada kilka zdań poświęcić przy-gotowaniom do rozpoczęcia roku szkolnego. Od kilku lat w szkołach gdańskich (głównie ogólnokształcących) czynności związane z przygotowaniem nowego roku szkolnego, a więc zatrudnienie nowych nauczycieli w szkołach, konferencje instruktażowe dla nauczycieli i dyrektorów — załatwia się w o-statnich dniach sierpnia. Powoduje to w wie-lu szkołach niesamowity bałagan, wynikają-cy z braku kilku nauczycieli; już w pierw-szych dniach funkcjonowania szkoły, za-miast rzetelnej i dobrze przygotowanej pra-cy, młodzież przeżywa nieład i dezorganiza-cję, a dyrektorzy przygotowują z dnia na dzień plan zajęć. W tym samym czasie moż-na obserwować prawdziwą okupację Wy-działu Oświaty przez poszukujących pracy nauczycieli, jak gdyby nie można było tego załatwić w czerwcu, aby dyrektor szkoły już na konferencji podsumowującej miniony rok szkolny mógł przydzielić zakres czynności wszystkim nauczycielom, mającym pracować w tej szkole w przyszłym roku.

Trudno obarczać odpowiedzialnością za ak-tualny stan pracujących tam nauczycieli — pracują jak umieją. Dotychczasowe warun-ki pracy w wielu wydziałach oświaty (prze-syt biurokracji, zupełny brak kompetencji), powodowały, że mogli w nich pracować ci, którzy chcieli, a nie ci, którzy powinni tam pracować. Stąd też i odpowiedni poziom tej pracy.

Wspomniane wyżej zarządzenie w sprawie przepisów wykonawczych, dotyczących praw, obowiązków i uposażenia nauczycieli wpro-wadza pięciostopniową skalę oceny nauczy-cieli: wyróżniającą, bardzo dobrą, dobrą, nie-zadawalającą i niedostateczną. Ocenę wy-różniającą otrzymuje nauczyciel, który za-sługuje na dobrą ocenę w swej pracy dy-daktyczno-wychowawczej, a ponadto odzna-cza się wysoką aktywnością w pracy wycho-wawczej i organizacyjnej szkoły, poszukiwa-niem i stosowaniem nowoczesnych metod nauczania, prowadzeniem eksperymentów pe-dagogicznych i upowszechnianiem ich wy-ników, umiejętnym wykorzystaniem wszel-kich możliwości usprawnienia własnej pracy dydaktyczno-wychowawczej.

Na ocenę bardzo dobrą zasługuje nauczy-ciel, który osiąga dobre wyniki nauczania i wychowania w powierzonym sobie zespole uczniów, swoją indywidualnością pedagogic-zną i pracą nad własnym doskonaleniem od-działywuje w sposób wyraźny na podnosze-nie ogólnego poziomu nauczania i wycho-wania w szkole, umie stwarzać odpowiedni klimat i wprowadza innowacje pedagogic-zne w szkole, oddziaływuje wynikami swo-jej pracy na kształtowanie pozytywnych po-staw społecznych środowiska szkolnego i bierze aktywny udział w jego pracach, do-konuje samodzielnych opracowań problemów pedagogicznych i publikuje je za pomocą środków masowego przekazu.

Wreszcie ocenę dobrą otrzymuje nauczy-ciel, który osiąga w swoim przedmiocie wy-żej niż przeciętne wyniki nauczania, tworzy z uczniów samorządny, wyrobiony społecz-

nie i kulturalnie kolektyw, umiejętnie i sa-modzielnie organizuje pracę wychowawczą w powierzonym mu zespole uczniów, wdra-ża uczniów do samodzielnej pracy, zapew-nia własną inicjatywą należyte wyposażenie pracowni szkolnych, organizuje działalność pozaszkolnych czynników współdziałających i wykorzystuje ją w procesie socjalistyczne-go wychowania, doskonalą własny warsztat pracy, skutecznie doradza swoim uczniom i wychowankom wybór kierunku dalszej nau-ki i pracy.

Ocenę niezadawalającą otrzymuje nauczy-ciel, który w realizacji programów naucza-nia i wychowania oraz w innej działalności pedagogicznej osiąga zaledwie przeciętne re-zultaty, nie odpowiadające wymaganiom o-kreślonym wyżej dla oceny dobrej. Dodać należy, że dwukrotne otrzymanie niezadowa-lającej lub niedostatecznej oceny spowoduje rozwiązanie stosunku pracy z nauczycie-lem.

Zarówno skala ocen jak i zawarte w niej kryteria nasuwają dwie zasadnicze uwagi:

1) Wymagania są poważnie zawyżone w stosunku do aktualnych możliwości. Dotych-czasowa polityka w zakresie uposażenia nauczycieli powodowała odpływ z tego zawo-du wartościowych kadr. Bliższa obserwacja sytuacji w szkolnictwie ogólnokształcącym i zawodowym pozwala wyróżnić trzy zasadni-cze grupy nauczycieli, na pewno wewnętrznie zróżnicowane.

Pierwsza grupa, to nauczyciele zasługują-cy w myśl wyżej wymienionych kryteriów na ocenę dobrą, znaczna część z tej grupy byłaby w stanie w odpowiednich warunkach uzyskać ocenę bardzo dobrą czy nawet wy-różniającą. Przy odpowiednich warunkach, bo np. gdzie nauczyciel może publikować wyniki swojej pracy, jeśli by nawet był w stanie to zrobić? Druga grupa, znaczna ilo-sciowo, to ci, których pracę można ocenić jako pozytywną, nauczyciele ci starają się wywiązywać ze swoich obowiązków, mają dobre chęci, chociaż nie zawsze im to wy-chodzi. Wreszcie trzecią grupę tworzą nau-czyciele, którzy — jak to się zwykle mówi — rozminęli się z powołaniem. Przez lata całe zadowalają się tym, czego z trudem nauczo-no ich w szkole, denerwuje ich każdy pro-blem roztrząsany na radzie pedagogicznej, każda impreza szkolna, na której trzeba zo-stać z młodzieżą, dla świętego spokoju za-wsze skłonni są wystawić trójkę, czy nawet lepszy stopień. Poważne kłopoty sprawia im przestrzeganie dyscypliny pracy.

Przyszłość tej ostatniej grupy jest przesą-dzona na jej niekorzyść. Grupa ta mogłaby odejść z korzyścią dla szkoły już dziś. Ale w świetle ustalonych kryteriów, na zwolnie-nie z zawodu skazana jest też druga grupa nauczycieli, osiągających tylko pozytywne wyniki w swej pracy. I tu rodzą się wątpli-wości: dlaczego z pozytywwną oceną można ukończyć szkołę, studia, obronić pracę doktorską, a nie można pracować w zawo-dzie nauczycielskim? Kto zastąpi te dwie przeważające grupy? Czy może kryteria wy-magań zostaną tylko na papierze?

2) Następna uwaga dotyczy motywów, ce-lów osiągania przez nauczycieli oceny wy-różniającej i bardzo dobrej. Kryteria tych ocen wymagają od nauczycieli m. in. rzetel-nej pracy samokształceniowej, co związane jest z dużym wysiłkiem umysłowym i po-święceniem znacznej części czasu wolnego, przeznaczonego na wypoczynek i dla rodzi-ny. A w jakim celu nauczyciel ma ponosić taki wysiłek i wyrzeczenia, skoro na 1-go otrzyma takie same pobory, jak ten z oceną dobrą, wszak do otrzymania dodatku spe-cjalnego wystarczyła właśnie ocena dobra?

I tu widoczna jest niekonsekwencja usta-wodawcy — automatyczny awans zawodowy na podstawie tylko usługi lat, tak zwana „urawniłowka”, zamiast wprowadzenia stop-ni zawodowych honorowanych wyższymi stawkami, które każdy zdolny i pracowity nauczyciel mógłby zdobywać powiedzmy za pośrednictwem tych ocen, składając jakieś dodatkowe jeszcze egzaminy. W tym punkcie ustawa jest typowym przykładem równania

do przeciętności, a to zagraża przecież postępowi.

I jeśli już mowa o samej ustawie (Ustawa o prawach i obowiązkach nauczyciela z dn. 27.IV.1972 r.), to nadmienić wypada, że poważne wątpliwości budzi również sformułowanie art. 5 pkt 1, który mówi o powoływaniu dyrektorów szkół i ich zastępców na okres pięciu lat z możliwością ponownego powołania na dalsze okresy pięcioletnie. Wprowadza to atmosferę tymczasowości i niepewności, stwarza administracji możliwości prowadzenia dowolnej polityki kadrowej, nie zawsze korzystnej dla szkoły. Dotychczasowa ustawa nie zabraniała odwołać ze stanowiska dyrektora, który nie wywiązywał się z powierzonych mu obowiązków, ale broniła solidnego dyrektora, który mając poczucie dobrze spełnionego obowiązku i i własnej wartości, nie musiał zabiegać o względy i przypodobanie się władzy. Dzisiaj taki dyrektor też nie będzie odwołany, ale i nie musi zostać dyrektorem na dalsze pięć lat, gdyby nawet interes szkoły tego wymagał. A jeśli już chodzi o rotację kadr na stanowiskach, bo to zapewne było celem ustawodawcy, to należy przypomnieć, że społeczeństwu nie o taką rotację chodziło. W szkolnictwie może bardziej niż w innych zawodach, potrzebna jest stabilizacja, spokój i ład.

I na zakończenie wyjaśnienia domaga się jeszcze sprawa dotycząca wymiaru godzin pracy. Art. 32 ustawy określa tygodniowy wymiar godzin nauczania w szkołach podstawowych na 26, w liceach ogólnokształcących — 22, a oprócz tego nauczyciel w ramach przysługującego mu uposażenia zasadniczego zobowiązany jest do pełnienia funkcji wychowawcy klasy, prowadzenia za-

jęć organizacyjno-wychowawczych (pozaekcyjnych), takich jak opieka nad organizacją młodzieżową, pracownią, kołem zainteresowań, poza tym w wypadkach koniecznych, spowodowanych absencją w pracy nauczycieli — do doraźnego zastępowania nieobecnych w pracy nauczycieli w wymiarze nie przekraczającym 2 godz. tygodniowo. Rozdziału tych zajęć między nauczycieli dokonuje dyrektor szkoły, przestrzegając zasady równomiernego obciążenia nauczycieli tymi zajęciami. W praktyce szkolnej jest tak, że wychowawstwo przydziela się najlepszym nauczycielom (i słusznie), opiekę nad organizacjami młodzieżowymi można powierzyć tylko dobrym nauczycielom i pedagogom, kołem zainteresowania może pokierować dobrze tylko dobry nauczyciel, wybitny specjalista z danego przedmiotu; wreszcie dobry, solidny nauczyciel rzadko choruje, więc jemu też przypadnie zastępowanie chorych kolegów. A wyżej powiedzieliśmy, że w szkołach nie pracują tylko dobrzy nauczyciele. Na pierwszego każdego miesiąca wszyscy jednak otrzymają taką samą zapłatę.

Dodać jeszcze wypada, że przytoczone uwagi krytyczne, dotyczące wykonawczej strony Karty Praw i Obowiązków Nauczyciela, nie pomniejszają w niczym wartości tego dokumentu o przełomowym znaczeniu dla szkolnictwa w Polsce. Życie nakłoni do wprowadzenia pewnych zmian, wydania nowych zarządzeń. Najważniejsze jest to, aby przy wprowadzaniu jej w życie nie prześcigać się w wyszukiwaniu pomysłów w zakresie „unowocześnienia” pracy szkoły. Chodzi przecież o wykonanie dobrej roboty, której zasady można znaleźć w dostępnej polskiej literaturze, a przykłady w wielu solidnie pracujących szkołach.

Edmund Cieślak

Refleksje na marginesie pobytu naukowego we Francji

Przypuszczam, że czytelnik może mi postawić pytanie, co upoważnia mnie do podzielenia się z nim refleksjami na temat Francji i jej środowiska naukowego. Dobrze wiemy, że aby poznać chociażby częściowo dany kraj i społeczeństwo, trzeba pobyt w nim dłużej. W przeciwnym wypadku można znaleźć się w sytuacji turysty, który w czasie kilkudniowego pobytu w Paryżu obraca się w zaczerpniętym kręgu określonych ulic, placów i budowli, które wprawdzie trzeba obejrzeć, bo niewątpliwie są to najpiękniejsze fragmenty miasta, ale dają one jednostronne i bardzo powierzchowne, a nawet niekiedy mylące pojęcie o stolicy Francji i — w co chętnie wierzą Francuzi — świata.

Otóż wychodząc naprzeciw spodziewanemu pytaniu czytelników, śpieszę wyjaśnić, że miałem liczne i różnorodne kontakty z Francją. Żyłem we Francji tuż po wojnie jako biedny student. Biedny byłem nie tylko ja, ale i cały ten kraj, chociaż nieporównywalnie mniej zniszczony niż Polska. Pamiętam kartki żywnościowe, chleb wypiekany z domieszką maki kukurydzianej i dla tego bardzo żółty oraz względne pustki na szosach francuskich, którymi w tym czasie można było zwiedzać ten piękny kraj również rowerem — tak jak ja to robiłem. Mogłem obserwować naocznie w czasie późniejszych pobytów, najczęściej 2—4-miesięcz-

nych, w latach 1956, 59, 64, 67, 71 drogę Francji do jej dzisiejszej dynamiki rozwoju przemysłowego i wysokiej stopy życiowej. Początkowo jeździłem tam na badania historyczne jako stypendysta, czy stażysta, co z uwagi na skromne środki materialne warunkowało określony tryb życia i kontakty ze społeczeństwem. Ostatnio natomiast przebywałem w Paryżu przez okres siedmiu miesięcy jako zaproszony wykładowca w ramach wymiany Wydziału I PAN i Instytutu Historii PAN z VI Sekcją Ecole Pratique des Hautes Etudes. Pozwoliło mi to poznać inne kręgi społeczeństwa i rozszerzyć kontakty, a przede wszystkim lepiej zorientować się w systemie funkcjonowania różnych instytucji naukowych Francji.

Czytelnika może zdziwić sama nazwa: Ecole Pratique des Hautes Etudes (Szkoła Praktyczna Wyższych Studiów) przy Sorbonie.*) My w Polsce przyzwyczajeni jesteśmy do jednolitego schematu organizacyjnego szkolnictwa wyższego. We Francji było i jest inaczej. Tak np. król francuski Franciszek I chcąc przezwyciężyć ówczesną skostniałość Sorbony, powołał do życia w r. 1530 Collège de France, gdzie nie ma formalnie przyjętych studentów, indeksów i dyplomów, a wykłady mają charakter otwarty, publiczny. Zaobserwowałem nawet, że na wykłady Collège przychodzi niektórzy emerytowani intelektualiści nie tylko po to, aby posłuchać

interesującego wykładu, ale również aby trochę posiedzieć, a nawet zdrzemnąć się w ciepłej sali jesienią czy zimą.

Powierzenie katedry w Collège de France stanowi ogromne wyróżnienie dla naukowca francuskiego. Wykłady profesorów Collège de France przyciągają licznych słuchaczy, w tym wielu obcokrajowców, chociaż poza czystą wiedzą podawaną z francuską błyskotliwością i dowcipem, przepięknym językiem (mówię o wykładach z zakresu humanistyki), poza okazją do poznania oryginalnych pomysłów, idei i tez nie dają niczego w sensie formalnym — żadnego dyplomu, zaświadczenia, czy czegoś w tym rodzaju.

Francuzi chociaż z jednej strony są tradycjonalistami, lubią ciągłość raz powołanych do życia instytucji, nie ulegają łatwo reformom, w tym również na odcinku szkolnictwa wyższego i organizacji nauki, z drugiej jednak strony są indywidualistami i realistami. Potrafili kiedyś, potrafią i dzisiaj, pod presją wymogów życia lub pod wpływem wybitnych indywidualności w gronie uczonych zgodzić się na odstępstwa od istniejącego schematu organizacyjnego nauki. Tak np. w r. 1868 powołali do życia Ecole Pratique des Hautes Etudes, w której projektowano położyć silny nacisk nie tylko na wiedzę teoretyczną, ale w równej mierze na ćwiczenia praktyczne, rozszerzając tę wiedzę. O przyjęciu na słuchacza Ecole decyduje jedynie pomyślnie zakończenie krótkiego stażu w tej uczelni (do trzech miesięcy) dla wykazania się odpowiednimi zdolnościami i zasobem wiedzy, a poza tym nie wchodzi w grę żadne warunki wieku, narodowości czy posiadania stopnia uniwersyteckiego. Naukę w Ecole kończy się przygotowaniem i obroną małej tezy i uzyskaniem dyplomu. Część słuchaczy Ecole ma już za sobą studia uniwersyteckie; tutaj przygotowuje niższy doktorat, tzw. *doctorat du troisième cycle*. Jak wyraźnie przewidują dekrety dotyczące Ecole, można powierzać prowadzenie w niej okresowo zajęć również uczonym obcej narodowości. Na działalności naukowej Ecole w zakresie dyscyplin humanistycznych niezatarte piętno wycisnęły osobowości dwóch, już nieżyjących wybitnych historyków: Lucien Febvre i Marc Bloch (rozstrzelanego przez hitlerowców).

Przed kilkunastu laty inny wybitny historyk francuski, wywodzący się z tego samego kręgu postępowych historyków francuskich, z tzw. szkoły „Annales” (czasopismo historyczne, w którym publikują oni swoje prace), Fernand Braudel, doprowadził do stworzenia w Paryżu Centrum Nauk o Człowieku (Maison des Sciences de l'Homme), które mieści się w nowo wybudowanym, nowoczesnym gmachu przy bulwarze Raspail 54.

Inna z cech charakterystycznych Ecole Pratique polega na odmiennych formach i kryteriach powoływania profesorów, a raczej kierowników studiów (*directeurs d'études*), które to stanowisko stanowi najwyższą funkcję naukowo-dydaktyczną w Ecole. Przy powołaniu na to stanowisko nie obowiązują kryteria uniwersyteckie, to znaczy posiadanie stopnia doktorskiego. *Directeur d'études* wybiera zgromadzenie złożone ze wszystkich dotychczasowych kierowników studiów danej sekcji Ecole — np. szósta sekcja, która mnie wybrała, obejmuje takie dyscypliny jak: historia, socjologia, psychologia, geografia, demografia, antropologia społeczna i inne. O powołaniu decyduje dorobek naukowy kandydata, a nie stopień doktora, chociaż wielu *directeurs d'études* stopień ten posiada. Wybór zatwierdza minister edukacji narodowej.

Na czele poszczególnych sekcji stoją przewodniczący wybierani przez zgromadzenie *directeurs d'études*. Uczestniczyłem jako pełnoprawny członek w takim wyborze. Uderzył mnie pewien zwyczaj zupełnie nam obcy. Otóż kandydat na przewodniczącego sekcji sam zgłasza na piśmie swoją kandydaturę i list jego otrzymują w odpisie wszyscy członkowie zgromadzenia. Na posiedzeniu wyborczym wygłasza on przemówienie, w którym kreśli ogólny program swych za-

mierzeń i dopiero po tym odbywa się tajne głosowanie. Sposób postępowania, jak na nasze stosunki może szokujący — od razu by powiedziano, że kandydat pcha się na stanowisko — ale chyba bardziej zdrowy, jasno stawiający sprawę i zobowiązujący dla wybranego. Nie będzie się tłumaczył, że zmuszono go do objęcia stanowiska, że nie chciał go itp. Podkreślić należy, że stanowisko przewodniczącego nie należy do łatwych. Sekcja szósta, skupiająca nauki humanistyczne, posiada około ośmiu tysięcy słuchaczy. Bardzo często są to studenci już po właściwych studiach — po *licence* — przygotowujący pracę dyplomową dla uzyskania dyplomu studiów wyższych (*diplôme d'études supérieures*), czy doktoratu niższego rzędu, tzw. *doctorat du troisième cycle*.

Wśród słuchaczy Ecole spotyka się wielu obcokrajowców. Do obowiązków przewodniczącego sekcji należy też kierowanie rozległą i dość obfitą działalnością wydawniczą. Sekcja publikuje bowiem całe serie różnego rodzaju prac naukowych, napisanych przez swoich — i nie tylko swoich — pracowników. Do ważnych zadań przewodniczącego sekcji należy także zabieganie o dodatkowe fundusze. Przydzielane z budżetu państwowego okazują się niewystarczające, między innymi z powodu wzrostu cen przy utrzymaniu dotacji państwowej na tym samym poziomie nominalnym od kilku lat.

Pomiędzy szóstą sekcją a innymi ośrodkami uniwersyteckimi istnieją liczne więzy współpracy w zakresie wspólnych badań, publikacji czy powierzania profesorom uniwersyteckim stanowisk *directeurs d'études*. Warto od razu nadmienić, że profesor we Francji może zajmować dwie posady, ale w drugim miejscu pracy otrzymuje jedynie symboliczną zapłatę. Pomimo form współpracy istnieją pewne niechęci między pracownikami uniwersytetów a Ecole Pratique des Hautes Etudes. Przyczyny tego są różne. Poza wyżej wspomnianymi nieformalnymi kryteriami awansu, profesorowie w Ecole (*directeurs d'études*) zobowiązani są jedynie do dwóch godzin (zegarowych) zajęć dydaktycznych, na uniwersytecie — teoretycznie — do trzech. Jednakże ci ostatni w znacznie większym stopniu obciążeni są zebraniem, posiedzeniami i innymi zajęciami organizacyjno-naukowymi oraz dydaktycznymi.

Pozornie wydawać by się mogło, że na profesorze-humaniście we Francji nie ciąży zbyt wiele obowiązków dydaktycznych, ale to w dużej mierze pozory. Przede wszystkim ani na uniwersytecie, ani w Ecole nie ma wykładów kursowych, które można by latami powtarzać, a które mają dać studentowi podręcznikowy zasób wiedzy potrzebny do egzaminu. Profesor musi przede wszystkim dzielić się ze słuchaczami wynikami swoich badań naukowych i dyskutować. Jemu wyłącznie pozostawia się decyzję, jakie proporcje ustali między jedną a drugą formą współpracy ze słuchaczami. Znałem historyków, którzy w ogóle nie prowadzili żadnego wykładu systematycznego. Koncentrowali się wyłącznie na dyskusji ze słuchaczami, oczywiście dyskusji w dużej mierze kierowanej, dla której podstawę stanowiły przyniesione dokumenty, wyniki czy refleksje powstałe w trakcie aktualnie przez profesora przeprowadzanych badań naukowych; punktem wyjścia do dyskusji były też najnowsze publikacje z danej dziedziny. Ta forma współpracy ze słuchaczami, wymagająca od profesora olbrzymiej erudycji, nie zawsze zdaje egzamin. Jeden z profesorów, w ten właśnie sposób prowadzący zajęcia, zwierzył mi się, że sami studenci prosili go, aby prowadził w następnym roku akademickim systematyczny wykład. Najlepszym wyjściem i najczęściej stosowanym okazała się forma pośrednia: godzinny wykład profesora połączony z godzinna dyskusja ze słuchaczami. Oczywiście z udziałem w dyskusji studentów nie jest zawsze najlepiej i czasami zamiast się ona w monolog profesora, który w tych warunkach musi mieć w zanadrzu zapasowy wykład, a nawet zapasowe wykłady na różne tematy, które mogą sygnalizować słuchacz. Trzeba dodać, że nie ma żąd-

nych zajęć obowiązkowych dla słuchaczy Ecole. Chodzą oni na te wykłady-seminaria, które uznają za atrakcyjne z uwagi na swe własne prace, czy też z uwagi na osobowość profesora i — dodajmy — jego wpływy i znaczenie (zasiadanie w ważnych komisjach, piastowane funkcje, dysponowanie stypendiami, stanowiskami asystentów itp.). Oczywiście słuchacze dobrze rozumieją potrzebę i konieczność chodzenia na zajęcia promotorów ich prac dyplomowych, czy też doktoratów „trzeciego cyklu”.

Blaski i cienie pracy na uniwersytetach rozkładają się nieco inaczej. Przede wszystkim droga humanisty do stanowiska profesorskiego na uniwersytecie nie należy do łatwych i krótkich. Oto normalny jej przebieg: studia ukończone *licence*, pisanie pracy dla otrzymania dyplomu studiów wyższych (odpowiednik naszego magisterium),



PROF. DR EDMUND CIEŚLAK

obrona doktoratu niższego rzędu (tzw. *troisième cycle*), opracowanie małej i następnie wielkiej tezy, jej obrona dla uzyskania stopnia doktorskiego, co powoduje wpisanie na listę kandydatów na stanowiska profesorskie i ubieganie się o nie z chwilą zwolnienia lub utworzenia nowego stanowiska. Oczywiście w tym okresie trzeba z czegoś żyć i najczęściej utrzymywać rodzinę. Szczególnie trudnym wydaje się otrzymać asystenturę, ale to tylko na kilka lat. Zresztą asystent ma, jak na stosunki francuskie, dużo, bo pięć godzin zajęć dydaktycznych tygodniowo. W praktyce często obciąża się go większą ilością zajęć. Stabilizację daje dopiero obrona doktoratu „trzeciego cyklu” (stanowisko wykładowcy-adiunkta). W tych warunkach większość kandydatów na profesorów przechodzi przez dłuższy staż pracy zarobkowej w liceach, ale w związku z tym spada na nich dodatkowy ciężar: aby wykładać w liceach, trzeba złożyć państwowy egzamin konkursowy z danej dyscypliny (*agrégation*); egzamin konkursowy jest trudny, gdyż co roku wyznacza się limit tych, którzy mogą go zdać.

W sumie, biorąc pod uwagę wszystkie okoliczności, trudno się dziwić, że przygotowywanie rozprawy doktorskiej we Francji trwa co najmniej kilkanaście lat. Niełatwo łączyć pracę zarobkową z badaniami naukowymi, badaniami o szerokim zasięgu. Rozprawy doktorskie z zakresu humanistyki od dawna wykazywały we Francji tendencje do zwiększania swej objętości. Często liczą ponad tysiąc stron maszynopisu, nierzadko zbliżają się do dwu, lub je przekraczają. Do r. 1968

obowiązywało wydawanie ich drukiem. W bogatej Francji nie tylko nie płaci się autorem za niskonakładowe publikacje naukowe, ale nie tak łatwo znaleźć instytucję, która ich druk sfinansuje. Zdarzało się, iż sam zainteresowany pokrywał część kosztów druku i znam taki wypadek, kiedy chodziło o niebagatelną sumę 20 tysięcy franków dla pokrycia części kosztów druku. Wniosek, że sytuacja taka stanowiła dla wielu nieprzekraczalną barierę, nasuwa się sam przez się. Przeszkodę tę zniesiono w r. 1968, wystarczy teraz opublikowanie rozprawy doktorskiej techniką małej poligrafii.

Dotykamy tutaj problemu odmiennie u normowanego, niż w Polsce. We Francji nie płaci się za publikacje naukowe książkowe, czy też za artykuły i recenzje ogłaszane w czasopiśmie naukowych. Autor otrzymuje wynagrodzenie jedynie wówczas, kiedy książka jest rentowna dla wydawcy, co ma miejsce najczęściej przy wydawnictwach popularnonaukowych i podręcznikach. Nie otrzymuje jednak tak jak u nas ustalonej sumy za arkusz wydawniczy (20—22 strony maszynopisu), lecz określony procent ceny sprzedanych książek. W sumie więc na odcinku wynagradzania za publikacje naukowe humanista francuski znajduje się w gorszej sytuacji, niż jego polski kolega, ale nie można tego rozpatrywać w oderwaniu od płac. Niezależnie od sposobu przeliczeń, profesor francuski otrzymuje kilkakrotnie wyższe uposażenie od profesora polskiego. Nawet we francuskiej siatce płac, zdecydowanie faworyzującej ludzi z wyższym wykształceniem, profesor należy do dobrze wynagradzanych, chociaż ich żony (często pracujące) nie byłyby kobietami, gdyby nie narzekały — czego sam byłem świadkiem — na niewystarczającą wysokość pensji ich małżonków. O tyle mają one rację, że zyski tak licznych we Francji ludzi interesu najczęściej biją na głowę zarobki ludzi pracy, nawet wysoko wynagradzanych.

Grube tomy francuskich też doktorskich z zakresu humanistyki na ogół zalegały półki bibliotek i trafiały do rąk jedynie nielicznych zainteresowanych specjalistów. W ostatnich latach i w tym zakresie dokonano ciekawego przełomu. Znana paryska firma wydawnicza Flammarion od pewnego czasu rozpoczęła wydawanie w dużych nakładach (5—20 tysięcy), w skróconej formie książek przygotowanych jako rozprawy doktorskie. Na 300—400 stronach maszynopisu sam autor ponownie przedstawia swoje badania, tok rozumowania i dowodzenia, opracowane problemy i wnioski, tym razem jednak bez erudycyjnego aparatu przypisów i nadmiernych wywodów specjalistycznych. Najważniejsze osiągnięcia naukowe wychodzą zatem poza wąskie grono specjalistów i trafiają do szerokiego kręgu miłośników historii i studentów. W tej formie wydano np. pracę Heersa o Genui w XV w., Le Roy Ladurie o wieśniactwach Langwedocji i szereg innych. Jak mnie zapewniano, eksperyment się powiódł i jest kontynuowany.

Dzieląc się z czytelnikami refleksjami związanymi z pobytom we Francji, warto wspomnieć o prowadzonych w Paryżu interesujących badaniach marynistycznych. Kieruje nimi profesor Michel Mollat. Jest to człowiek o nieprzeciętnych umiejętnościach organizowania prac zespołowych, co nie zawsze jest rzeczą łatwą. Kieruje od lat Międzynarodową Komisją Historii Morskiej, która co kilka lat organizuje międzynarodowe kongresy poświęcone określonemu problemowi historii morskiej świata i następnie publikuje prace przedstawione na tych kongresach. Na licznymin seminarium, kierowanym przez prof. Mollat, częstymi gośćmi są profesorowie obcokrajowcy — rzadziej w roli słuchaczy, najczęściej w roli prelegentów. Stwarzają to doskonałą okazję do naprawdę międzynarodowej wymiany myśli i informacji o prowadzonych badaniach.

Jedno z przedsięwzięć kierowanych przez prof. Mollat może budzić tu w Gdańsku szczególne zainteresowanie — reedycja wydanego jeszcze w r. 1848 przez Augustin Jal Słownika morskiego (*Glossaire Nautique*). W

słowniku tym, przygotowywanym w poszerzonym wydaniu, podaje się nie tylko hasła i ich objaśnienia w języku francuskim, ale również ich odpowiedniki w co najmniej kilkunastu językach świata, w tym również w polskim. Wymagało to zapewnienia sobie współpracy specjalistów z tych wszystkich krajów. Strona polska spóźniła się z włączeniem do tej współpracy i w konsekwencji w pierwszym wydaniu zeszytu (litera A) odpowiedniki polskie można znaleźć dosyć rzadko. Obecnie, po nawiązaniu kontaktu redakcji słownika ze środowiskiem gdańskim, konkretnie z germanistą i językoznawcą prof. Bernardem Janikiem, który przejął na siebie główny ciężar pracy przy moim skromnym współudziale, ilość odpowiedników polskich w następnym zeszycie wzrosła kilkunastokrotnie. Ciekawe i efektywne są również pewne formy zbierania materiału słownikowego przez zespół paryski. Uczestniczyłem w kilku jego posiedzeniach. Nadzwyczaj podobała mi się współpraca naukowców z praktykami. Obok bowiem naukowców, w zespole redakcyjnym zasiadali emerytowani, a także czynni dowódcy okrętów i kapitanowie statków. Podziwiałem zapal i zaangażowanie starszych, emerytowanych kapitanów, którzy wykazywali nie tylko praktyczną, nabytą w czasie pływania wiedzę, ale również rozległą orientację — jeśli tak można powiedzieć — książkową (znajomość słowników specjalistycznych, tekstów rozporządzeń, praw, także tekstów literackich itp.). Przy hasłach budzących wątpliwości sami deklarowali gotowość przeprowadzenia poszukiwań w bibliotekach i z zobowiązań tych się wywiązywali. Nie wątpię, że praca ta dawała im wiele zadowolenia. Te metody współpracy naukowców z praktykami, jako bardzo owocne, z całą pewnością godne są naśladowania.

Na zakończenie warto chyba powiedzieć kilka słów o polonikach. Nie chodzi mi o pomniki, ani pamiątki po sławnych Polakach, którzy przebywali w Paryżu, czy we Francji, lecz o rzecz najcenniejszą dla historyka, o dokumenty dotyczące historii naszego kraju, czy też naszego miasta. Główne archiwa paryskie — Archiwum Narodowe i Archiwum Ministerstwa Spraw Zagranicznych — posiadają tych dokumentów ogromne bogactwo. Trudno bliżej charakteryzować zawartość setek — a może więcej — woluminów rękopisów odnoszących się do stosunków państwowych między Francją a Polską na przestrzeni wieków. Właściwie do każdej epoki naszych dziejów znaleźć tam możemy obfitość dokumentów, często takich, które u nas uległy zniszczeniu. Na ich podstawie można bliżej zbadać wiele spraw, o których ogólnikowo wiemy tylko, że miały miejsce. Oto przykład dotyczący dziejów Polski i równocześnie bardzo blisko dziejów Gdańska. Wiemy, że Francja popierała elekcję Stanisława Leszczyńskiego w r. 1733 i — kiedy on schronił się do Gdańska — wysłała tutaj drogą morską pomoc zbrojną. W archiwach paryskich znalazłem prawie pełną dokumentację dotyczącą demonstracji zbrojnej eskadry francuskiej dowodzonej przez hrabiego de La Luzerne w r. 1733, która dla zabezpieczenia i poparcia elekcji Leszczyńskiego popłynęła w kierunku Bałtyku (dotarła tylko do Kopenhagi). Jeszcze bogatsze materiały znalazłem na temat drugiej wyprawy francuskiej, tym razem z r. 1734 z pomocą zbrojną dla oblężonego Gdańska. Na podstawie dokumentów, takich jak korespondencja między ministrem marynarki a komisarzami marynarki w poszczególnych portach francuskich, raporty dowódcy eskadry Barailha, dziennik okrętowy jednego ze statków biorącego udział w wyprawie do Gdańska, wysuwane i przyznane warunki kapitulacji wojsk francuskich na Westerplatte, zabiegi o ich repatriację itp., będzie można przedstawić organizację i przebieg pomocy zbrojnej przesłanej drogą morską przez Francję Stanisławowi Leszczyńskiemu i oblężonemu Gdańskowi.

Inny typ źródeł — około 80 tomów raportów rezydentów francuskich w Gdańsku

z XVIII w. i okresu napoleońskiego oraz korespondencji dyplomatycznej związanej z działalnością tej placówki — stanowi przebogata zbiornicę wiadomości o końcowym etapie wojny północnej (lata 1715—1721), wojny siedmioletniej (1756—1763), o wydarzeniach wewnętrznych w Gdańsku, zwłaszcza walkach politycznych i społecznych w połowie XVIII w., o konfederacji barskiej, o obronie Gdańska przed zaborem pruskim między pierwszym a drugim rozbiorem Polski, o handlu morskim Gdańska, o blokadzie kontynentalnej w okresie napoleońskim i o wielu innych wydarzeniach międzynaro-

dowych, ogólnopolskich i regionalnych — gdańskich.

Te wybrane i nieliczne przykłady świadczą niewątpliwie o tym, że pobyt we Francji, zwłaszcza w Paryżu, umożliwia historykowi polskiemu przeprowadzenie odkrywczych badań naukowych. Stwarza on również okazję dla poznania odrębności organizacji i warunków pracy humanistów francuskich.

*) Warto nadmienić, że w wyniku reform po 1968 r. dawny jeden uniwersytet paryski — Sorbona, rozparcelowano na kilkanaście (zdaje się czternaście) niezależnych uniwersytetów.

Zenon Ciesielski

Uppsalska wieża Babel

Impresje szwedzkie

Tytuł nie jest zbyt trafny. W czasie wznoszenia biblijnej wieży Babel Bóg pomieszał języki budowniczym, aby ukarać ich za pychę i uniemożliwić porozumienie. Do Uppsali od jedenastu lat zjeżdżają w końcu lipca ludzie z całego świata, aby uczyć się języka szwedzkiego, który ich łączy na czas pobytu w prastarym szwedzkim mieście. Akademisk Feriekurs i svenska språket (Akademicki wakacyjny kurs języka szwedzkiego) — bo o nim mowa — jest organizowany przez Instytut Szwedzki do Spraw Współpracy Kulturalnej z Zagranicą, a prowadzony przez uniwersytet w Uppsali. A jednak porównanie z wieżą Babel narzucało się przy obserwacji uczestników kursu:

niziutkiej i pulchnej, stale uśmiechniętej Australijki Alison Brenan wraz z sennie zamysłoną Czeszką Verą Fantovą, żywo gestykulującego Węgra Istvana Tótfalusi obok spokojnej, jasnowłosej Inkeri Veijalainen z fińskiego Tampere, czy niskiego Wietnamczyka Lai Nguyen Thoung, stojącego obok tegiej moskwićzanki Ljubov Milewskaji. Ten różnonarodowy tłum zapelniał przez trzy tygodnie gmach uppsalskiego Philologicum, a na seminariach krzyżowały i ścierały się różne poglądy. W dyskusjach dochodziło niekiedy do spórów spowodowanych odmiennymi poglądami wywodzących się z różnic narodowych, politycznych, społecznych. Lecz w chwilę później oponenci zwracali do sie-



DAG HAMMARSKJÖLDBIBLIOTEKET W UPPSALI

bie podniesioną, otwartą dłoń, co w parze z szwedzkim „hej” było wyrazem szczególnej wzajemnej sympatii. Wędnak jednak porównanie z wieżą Babel zawodzi?

W ponad osiemdziesięcioosobowym różnorodnym tłumie gubiła się szóstka Polaków, solidarnie jednak spotykająca się na wspólnych posiłkach. Uczestnicy kursu nie byli zresztą jedynymi Polakami w Uppsali. Znane jest w kraju nazwisko dyrektora Instytutu Sławiastycznego tutejszego uniwersytetu, prof. Józefa Trypućki. A przecież pracują tu również inni uczeni polskiego pochodzenia; język polski można usłyszeć, wprawdzie niezbyt często, w autobusach i na ulicach, w restauracjach, czy w teatrze.

Wspominając o Polakach w Uppsali nie można się zresztą ograniczyć do teraźniejszości. W tutejszej katedrze, największej budowli sakralnej na Północy, znajduje się grobowiec żony króla Jana III Wazy, Katarzyny Jagiellonki, która tak znaczną rolę odegrała w rozwoju kultury renesansowej w Szwecji.

W mieście tym zresztą historia szczególnie przeplata się ze współczesnością. Pobliska Gamla Uppsala (Stara Uppsala) z grobowcami legendarnych królów z dynastii Ynglingów z VI w., olbrzymi, stary zamek Wazów z XVI w., Carolina Rediviva — bogata w zabytki piśmiennicze biblioteka uniwersytecka — oto wyznaczniki minionych wieków. A jednocześnie jest to prężny, największy we współczesnej Szwecji ośrodek naukowy i — co jest mniej znane — miasto przemysłowe z fabryką rowerów, wyrobów tekstylnych i farmaceutycznych, żeby tylko wymienić największe zakłady.

Przeszłość i teraźniejszość znajdują odbicie w architekturze miasta. Stara część Uppsali po prawej stronie rzeki Fyrisen zachowuje swój zabytkowy charakter. Za rzeką, tuż za granicą dawnej dzielnicy handlowej, burzy się XIX-wieczne i starsze domy, by zastąpić je nowoczesnymi, wzniesionymi ze szkła i aluminium gmachami. Handlowy ciąg miasta, Kungs Ångs gatan, niemalże nie różni się architektonicznie — poza rozmiarami oczywiście — od słynnej sztokholmskiej arterii handlowej Sveavägen. Nie wszyscy zresztą Szwedzi pochwalają tę modernizację Uppsali. Spotkałem się z wieloma głosami twierdzącymi, że stylowy charakter miasta traci wskutek tej inwazji nowoczesności.

Przeszłość i teraźniejszość kształtują dzisiejszy charakter Uppsali. Wędrówki po tutejszym ośrodku, to niemalże lekcja dziejów kultury i nauki Szwecji i nie tylko Szwecji. Jest to przecież miasto Celsjusza i Linneusza, a także Dag Hammarskjölda. Tragicznie zmarłego w 1961 r. sekretarza generalnego ONZ przypomina tu nie tylko cmentarny grobowiec, lecz i ulica jego imienia oraz — szczególnie — Dag Hammarskjöld Center, poważny ośrodek naukowy specjalizujący się w problematyce krajów afrykańskich oraz Dag Hammarskjöldbibliotekę gromadzącą publikacje na temat Organizacji Narodów Zjednoczonych we wszystkich językach świata.

Uppsala jest przede wszystkim miastem uniwersyteckim i ośrodkiem naukowym. 24-tysięczna rzesza studencka (ponad 20% ogółu mieszkańców) nadaje miastu szczególny charakter. Tutejszy uniwersytet należy do najstarszych (założony w 1477 r.) i największych w całej Skandynawii. Przez całe wieki odgrywał ogromną rolę w życiu umysłowym i kulturalnym Północy. Obecnie w niektórych dziedzinach, jak np. fizyka kwantowa, zaliczany jest do najpoważniejszych ośrodków na świecie.

Miniona i obecna pozycja miasta ukształtowała coś w rodzaju patriotyzmu lokalnego. W czasie kursu na każdym kroku zwracano nam uwagę na osiągnięcia i znaczenie uniwersytetu. Koncertujący w ramach pożegnalnego wieczoru męski kwartet wokalny nie omieszczał wykonać pod adresem pochodzących ze Sztokholmu wykładowców żartobliwej piosenki, mówiącej o wyższości uppsalskich nad mieszkańcami pobliskiej stolicy Szwecji.

W czasie mego pobytu w tym kraju wiele czasu spędziłem w Sztokholmie. Zwiedzałem pełną zabytków tamtejszą Starówkę — Stan mellan Broarna (Miasto między mostami). Z tłumem turystów oglądałem zmianę warty przed zamkiem królewskim. Wysłuchiwałem komentarzy na temat żołnierzy w granatowych mundurach z białymi pasami i hełmami, spod których opadały na kolnierze długie włosy, przedmiot wielkiej dyskusji prasowej sprzed paru lat. Tramwajem wodnym płynąłem do Djurgården, by spędzać czas w bogatym w imprezy skansenie.

Pewnego razu na opustoszałej w sobotnie popołudnie Kungsgatan zostałem zaczepiony przez pijaną dziewczynę i obrzucony ordynarnymi wyzwiskami. Nadjeżdżający samochód policyjny wybrał mnie z opresji. Sprawność szwedzkiej policji mogłem również zaobserwować w stacji metra przy Högtorget, skupisku wykolejeńców życiowych i różnych mętów. Konstatacja przy pomocy specjalnie wytresowanych psów oczyszczali to miejsce z narkomanów. Kiedyś na sztokholmskim Sergelgatan byłem świadkiem dwóch demonstracji politycznych: liczniej, choć spokojniejszej, prawicowej, proamerykańskiej i oddalonej o kilkanaście metrów bardziej głośniejszej lewicowej, czy raczej lewackiej. Asystowali temu z wyrażnie znużonymi minami dwaj policjanci z rewolwerami i długimi pałkami przy pasach i z antenami aparatów radiowych sterującymi zza pleców.

W Uppsali spotykałem stróżów porządku publicznego znacznie rzadziej. Niekiedy trafił się samochód policyjny. Pieszego policjanta widziałem chyba tylko raz — późnym wieczorem w pasażu nowoczesnego domu handlowego. Wyglądem i wiekiem przypominał naszych stróżów sprzed domów towarowych i jedynie groźny wileczur miał dawać mu respektu.

W polu widzenia: higiena psychiczna

Rozmowa z przewodniczącym Zarządu Głównego Polskiego Towarzystwa Higieny Psychiczej płk. dr. Przemysławem Przewłockim

— *Polskie Towarzystwo Higieny Psychiczej jest jednym z ogniw ogólnosiwiatowego ruchu higieny psychicznej. Kiedy ten ruch narodził się, kiedy ujawnił się na gruncie polskim? Proszę również o definicję pojęcia „higiena psychiczna”.*

— Zaczniemy od definicji. Otóż higiena psychiczna jest dziedziną — naukową i praktyczną — dla której zdrowie psychiczne jest zasadniczym przedmiotem badań oraz zabiegów...

— *Co to znaczy — zdrowie psychiczne?*

— Zdrowie psychiczne może być rozumiane jako zdolność jednostki do harmonijnego współżycia z ludźmi oraz do konstruktywnego współdziałania z otoczeniem społecznym i fizycznym, bądź udziału w pracy nad ich przekształceniem. Taką definicję zdrowia psychicznego ustaliła ogólnosiwiatowa grupa rzeczoznawców higieny psychicznej podczas kongresu w Stuttgarcie, w 1959 r. Podstawowym kryterium zdrowia psychicznego jest zdolność do prawidłowego rozwoju w kierunku coraz wyższej hierarchii celów, aż do poziomu osobowości moralnej i społecznej. Ruch higieny psychicznej został zapoczątkowany w Stanach Zjed-

Sztokholm jest pięknym miastem. Zabytki i nowoczesna architektura, urzekające położenie nad wciskającymi się wszędzie wodami zatoki, rozmach wielkiej metropolii miejskiej składają się na niepowtarzalną całość. A jednak wędrówki i pobyt w nim męczą. Z ulgą wracałem do spokojnej, tonącej w zieleni, sprzyjającej pracy i koncentracji Uppsali. Czyżby więc w czasie 6-tygodniowego pobytu mogłem zarazić się tutejszym lokalnym patriotyzmem?

Pisząc o Uppsali nieodparcie nasuwa się porównanie z Krakowem. To także pełna pamiątek i zabytków historycznych dawna stolica ze słynnym uniwersyteciem, a groby królewskie w katedrze to podobieństwo podkreślają.

Na powitalnym lunchu rektor uniwersytetu uppsalskiego, prof. Torgny Segerstedt powiedział, że uczestników kursu uważa za przyszłych ambasadorów spraw szwedzkich w świecie. W powiedzeniu tym tkwiła nie tylko kurtuazyjna uprzejmość wobec przybyłych do Uppsali cudzoziemców. Szwedzi przywiązują dużą wagę do rozpowszechniania wiedzy o swym kraju za granicą. W siedzibie Svenska Institutet przy Hamngatan w Sztokholmie, wielkim nowoczesnym gmachu zwanym Sveriges Huset (Dom Szwedzki), od godzin rannych kotłuje się międzynarodowy tłum. Pracownicy instytutu znajdują czas dla każdego. Służą informacjami, wręczają materiały, zadają pytania. Są dobrze zorientowani w sytuacji w poszczególnych krajach, wykazując m.in. niezłą znajomość poczyną polskich, w tym także gdańskich. Kiedy wręczałem dla biblioteki instytutu moją książkę o stosunkach kulturalnych skandynawsko-polskich, przyjęli wydanie jej z zadowoleniem. Wydaje mi się, że można by się uczyć od Szwedów umiejętności propagowania swego języka i kultury za granicą.

noczonych i wiąże się z nazwiskiem Clifforda Beersa — człowieka, który sam przeszedł ciężką chorobę psychiczną, a również Adolfa Meyera — lekarza, który go wyleczył. W 1908 r. ukazała się fascynująca książka Beersa; „Umysł, który sam siebie odnalazł”, i ten rok jest przyjmowany jako początek światowego ruchu higieny psychicznej — ruchu w istocie społecznego. Zaś Adolf Meyer uchodzi za twórcę „przedmiotu” higieny psychicznej jako kierunku naukowego. Kierunkowi temu Meyer nadał nazwę zaczerpniętą z terminologii medycznej. Książka Beersa wywołała wstrząs w świecie medycyny psychiatrycznej, a także — w społeczeństwie, które przywykło „trochę” inaczej traktować ludzi dotkniętych schorzeniami umysłu i świadomości... Ludzi z drugiej strony Rubikonu... Uświadomiono sobie, iż każdy z członków — zdrowych członków! — społeczeństwa może ulec chorobie psychicznej. Podjęto pierwsze wysiłki na rzecz humanizacji leczenia, następnie przystąpiono do szerzenia idei higieny psychicznej, tężyzny psychicznej, rozwijania zdolności twórczych tkwiących w człowieku, pielęgnowania ludzkich emocji, aspiracji, marzeń. Ruch higieny psychicznej przestał zajmować się wyłącznie

ludźmi chorymi i wymagającymi rehabilitacji — położono nacisk na kształtowanie takiego sposobu życia jednostki ludzkiej, który zapewni jej możliwość racjonalnego i pożytecznego bytu. Pożytecznego dla ogółu i dla niej samej. Innymi słowy: chodziło o dopomożenie jednostce w odnalezieniu swego miejsca w życiu i społeczeństwie, i to miejsca wybranego trafnie, które pozwoli jej zrozumieć, co to jest sens czy radość życia. Odnalezienie tego sensu, zaprowadzenie pewnego ładu psychicznego zapobiega bowiem anomaliiom, skrzywieniom, dewiacjom i frustracjom, które nam doskwierają...

— Znaleźliśmy się, panie doktorze, na tropach filozoficznych. Czy pan — jako specjalista i działacz społeczny zarazem — posiada własną koncepcję życia? Życia szczerześliwego?

— Człowiek powinien odczuwać radość istnienia, a również — posiadać prawo do szczęścia. Istota szczęścia? Leży ona, moim zdaniem, w ludzkiej aktywności, w twórczym działaniu, w możliwości spełniania własnych zainteresowań i zamiłowań. Wrócimy jeszcze do tej kwestii... Pytał pan o genezę polskiego ruchu higieny psychicznej. Otóż ruch ten ma u nas bardzo dobre tradycje. Idee niesienia pomocy opieki specjalnej dorosłym i dzieciom o niepełnej sprawności psychicznej, rozwijały się w Polsce co najmniej od XVIII stulecia, ale dopiero w latach dwudziestych naszego wieku przybrały one konkretne formy. Działalność wielu instytucji i towarzystw, aczkolwiek nie podejmowana pod hasłem higieny psychicznej, mogłaby dzisiaj być zaliczona do tego zakresu. I tak: Towarzystwo Opieki nad Nerwowo i Psychicznie Chorymi, Towarzystwo Badań nad Dziećmi, Towarzystwo „Trzeźwość”, Towarzystwo Eugeniczne, Towarzystwo Przyjaciół Dzieci... W działalności tych pożytecznych placówek ujawniały się i nasze, dzisiejsze, cele. Faktycznym twórcą higieny psychicznej w Polsce był profesor Kazimierz Dąbrowski, psycholog i psychiatra, znakomity uczony, niezwykle człowiek; nadał on ruchowi od samego zarania niesłychanie wysoką rangę, podkreślając zasadniczy wpływ higieny psychicznej na prawidłowy rozwój życia społecznego. W 1930 r. polska delegacja, z prof. Dąbrowskim na czele, wyjechała do Waszyngtonu na I Międzynarodowy Kongres Higieny Psychiczej. Z tą datą łączymy też początek higieny psychicznej w naszym kraju. W 1933 r. przy Państwowej Radzie Zdrowia utworzono Sekcję Higieny Psychiczej, zaś w 1935 r. powstała Liga Higieny Psychiczej. Obok Warszawy, działalność psychohigieniczną skoncentrowała się w Kościanie, wokół osoby prof. Oskara Bielawskiego, wydawcy kwartalnika „Higiena Psychiczna”. W tymże 1935 r. powołano do życia Instytut Higieny Psychiczej, o którego reaktywowanie zabiegamy od wielu lat. Niestety, bezskutecznie... Po wojnie, w 1948 r. zorganizowano Polskie Towarzystwo Higieny Psychiczej, które z czasem przybrało formę ruchu naukowo-społecznego. Lata pięćdziesiąte nie wyróżniły się w naszych dziejach niczym szczególnym. Zlikwidowano instytut, odeszli od nas ostatni słuchacze nieczynnej już wówczas Wyższej Szkoły Higieny Psychiczej w Warszawie, zawieszono stosowanie jakichkolwiek testów psychologicznych, a rola psychologa — przemianowanego na „asystenta psychiatrycznego” — sprowadzona została do obserwacji pacjentów i wykonywania prac pomocniczych... Ruch higieny psychicznej praktycznie zmarł. W 1958 r. reaktywowano towarzystwo, zaś po kolejnych perypetiach zaopiekowała się nami Polska Akademia Nauk; do pracy powrócili niegdyś bardzo czynni: prof. prof. Maria Grzywańska-Kaczyńska, Marcin Kacprzak, Stanisław Cwynar i inni. W styczniu 1971 r. PAN powierzyła zorganizowanie Zakładu Higieny Psychiczej naszym działaczom, specjalistom. W Warszawie powołano na początek zespół psychohigieny szkolnej. Ale zakładu do tej pory nie ma, nie ma też instytutu. A tylko

taka placówka mogłaby się zająć szeroko rozumianą problematyką psychohigieniczną nie w oparciu o metody chałupnicze. Jest to niezmiernie skomplikowana dziedzina wiedzy — bez stałej współpracy naukowej wielu specjalistów nie ruszy się z miejsca. Ale porzućmy gorzkie żale...

— Wszelako ludzie zainteresowani sprawą, będący przy tym znakomitymi fachowcami, są wam życzliwi, nie stronią od was. Czy mam rację?

— Tak. Polskie Towarzystwo Higieny Psychiczej ma charakter interdyscyplinarny i działa na zasadzie współpracy ludzi różnych specjalności i profesji. Są pośród nich lekarze, nauczyciele, socjologowie, prawnicy, ekonomiści, działacze społeczni, dziennikarze, no i oczywiście — psychologowie i psychiatrzy. Ludzie ci należą (i działają) do swoich towarzystw i stowarzyszeń, ale są też związani z naszym towarzystwem, ponieważ dostrzegają głęboką rację jego istnienia.

— Zatem słów parę o treściach działania towarzystwa...

— Działalność nasza skupia się głównie na zagadnieniach psychohigieny dziecka, nerwicy i psychoneurotycznych, ujemnego oddziaływania bodźców społecznych, rozwoju osobowości, metod psychoterapii dzieci i młodzieży oraz psychohigieny pracy. Oczywiście, to nie wszystko. Interesuje nas ponadto kwestia rehabilitacji (resocjalizacji) byłych pacjentów zakładów psychiatrycznych, okazujemy pomoc osobom o lżejszych dewiacjach — nerwicomom, wiele uwagi poświęcamy sprawie zapobiegania samobójstwu, resocjalizacji młodzieży wykołowanej oraz osób, które opuściły zakłady karne, wreszcie — interesuje nas psychohigiena życia rodzinnego, psychohigiena środowisk leczniczych...

— Bardzo rozległe obszary smutnych zjawisk społecznych...

— O tak! Prowadzimy też badania nad psychohigieną wieku podeszłego. W społeczeństwach starożytnych, a obecnie — wśród społeczności prymitywnych — człowiek stary jest skarbnicą mądrości życiowej wiedzy i żyjącą tradycją plemienia. Zaś w krajach cywilizowanych?... Starzy ludzie to zbędne rekwizyty, z jakiejś odległości, dawno przebrzmiałej sztuki, których nikt nie ceni, nie szanuje, nie słucha, co najwyżej — życzy się im rychłego zejścia ze sceny życia. To jest sytuacja nienormalna! Jedną z wielu... Podstawą działalności kół i oddziałów towarzystwa są systematyczne zebrania naukowe członków, konferencje na temat poszczególnych dziedzin higieny psychicznej. Sekcje problemowe z kolei prowadzą akcję odczytową, badawczą i popularyzatorską. Koncentrujemy się tylko na wybranym dziale higieny psychicznej, określonym nazwą danej sekcji.

— Jakież to sekcje?

— Sekcji jest pięć: Psychohigieny Pracy, Psychohigieny Rodziny, Psychohigieny Dzieci i Młodzieży, Psychoterapii Dzieci i Młodzieży, Psychoprofilaktyki Przestępczości. Nie sposób mówić tu o poczynaniach poszczególnych sekcji, powiedzmy tylko, iż wszystkie one wynikają z celów Polskiego Towarzystwa Higieny Psychiczej, które — jak głosi nasz statut — winno troszczyć się o podnoszenie poziomu zdrowia psychicznego i moralnego jednostek i społeczeństwa w warunkach ustroju socjalistycznego, podejmować zabiegi, prowadzące do wychowania człowieka twórczego, pełnego, „otwartego”, szczerześliwego — człowieka dostosowanego do współczesnych form życia społecznego i ożywionego uczuciem braterstwa wobec innych ludzi i narodów...

— Panie doktorze, czy taki człowiek jest możliwy?! Ostatnia konferencja naukowa

towarzystwa była poświęcona kapitalnej sprawie: wychowania twórczych osobowości jako warunku ekspansji rozwojowej społeczeństwa. I otóż było to bardzo interesujące spotkanie ludzi mądrych i żarliwych, ale ich wystąpienia były kontrowersyjne, dyskusyjne, nie przyniosły wniosków rozstrzygających...

— ...bo przynieść nie mogły! Nie ma gotowych recept. Są ledwie domysły, przypuszczenia, poszukiwania, osady. Ale musimy o tym mówić pełnym głosem. Formowanie postawy życiowej, która odznaczać się będzie aktywnością, wykorzystywaniem drzemającej w nas inwencji, uczuciowości i wyobraźni — jest nakazem chwili. Współczesne społeczeństwo skłania jego członków do zajmowania postaw wybitnie konsumpcyjnych, odbiorczych. I dalej — człowiek wchłania w siebie przerażającą ilość najrozmaitszych informacji, nad którymi przestaje panować. Nie jest już zdolny do ich osądu. Nie jest w stanie zastanowić się nad ich wartością. Rejestrujemy wszystko, ale przestaje nas to wzruszać; nie panujemy emocjonalnie nad gigantycznym zbiorem informacji. A zatem — trzeba pielegnować uczucia, rozwijać w sobie kulturę emocjonalną. Od naszych emocji zależą także nasze zdolności i dyspozycje twórcze. Intelpekt i tzw. rozsądek nie zastąpią emocji! Człowiek dorosły, uwikłany w skomplikowane sytuacje życiowe, z trudem poddaje się „oczyszczającym” zabiegom wychowawczym, ale te zabiegi są możliwe w stosunku do ludzi młodych. Czy współczesna szkoła, również skażona „informacyjnością”, zajmuje się — i w jakim stopniu? — kształtowaniem postawy poszukującej, rozwijaniem samodzielności myślenia? Tworzenie rzeczy własnych, twórczych odbywa się w sposób samoistny, ponieważ jest jedną z kardynalnych potrzeb psychicznych człowieka. Ale znacznie większe efekty daje świadome przyczynianie się do kształtowania postaw twórczych...

— Człowiek twórczy jest pożyteczniejszy dla społeczeństwa, bardziej mu przydatny...

— Nie w tym rzecz, proszę pana. W każdym razie — nie tylko w tym; chcę podkreślić, iż formowaniu postaw, na których nam zależy, przyświecają nie tylko cele społeczne. Pamiętamy o jednostce! Ona przede wszystkim musi znać i akceptować własne miejsce w życiu, i tak postępować, aby uzyskać satysfakcję z faktu, że jest: żyje, myśli, czuje, wzrusza się... I otóż właśnie psychikę dziecięcą można uchronić od konsumpcyjnej postawy wobec życia. Wspominałem o kulturze emocjonalnej, którą, niestety, współczesna pedagogika — i nie tylko pedagogika — miewa w pogardzie. Człowiek umiera naprawdę wówczas, gdy zamiera w nim uczuciowość, zwłaszcza uczuciowość wyższego rzędu. O czym myśleć? O godności ludzkiej, o stosunku człowieka do zagadnień etycznych — do tego, co go podnosi i co go poniża... Człowiek tworzy, trawi go pasja, gdy jest zaangażowany. Emocje są regulatorami naszych zachowań.

— Chciałbym raz jeszcze powrócić do ostatniej konferencji. Mówiono podczas niej o tym, że nasza cywilizacja staje się coraz bardziej prymitywna psychicznie — żeby nie powiedzieć „ducho” — i coraz bardziej wyrafinowana technicznie. Twórcze myślenie jest obecnie w wysokiej cenie. Ale do czego ono właściwie zmierza? Można zań otrzaskać Nobla, można znaleźć się na innej planecie... I co z tego? To wszystko są środki. Są?... Przecież — jak słusznie zauważył prof. Rudniański — te środki najczęściej stają się celem. Więc nie o takie cele chodzi. A o jakie?

— Na to pytanie odpowiedzieć musi drugi rodzaj twórczego myślenia, który obecnie należy do kwestii bagatelizowanych i lekceważonych. Trzeba wskazywać naczelne kryteria wartości, w oparciu o które można stawiać cele godne człowieka. Tego rodzaju twórczość wykracza poza zakres wąsko pojmowanej nauki. Wkracza w dziedzinę filozofii, etyki. To jedno z najtrudniejszych

pytań: jak żyć, jak postępować godnie i w sposób prawy? Ja mam nadzieję, iż potrafimy przekroczyć barierę cywilizacji prymitywnej i doraźne cele (władza, majątek, życie „radosne”, acz bezmyślne...), i wskazać drogi wyjścia z grożącego wszystkim ludziom niebezpieczeństwa. Niebezpieczeństwa stania się rzeczami.

— Czy Towarzystwo Higieny Psychicznej jest w stanie zapobiec tym procesom? Co możecie w tym względzie zrobić?

— Możemy angażować opinię publiczną, inspirować i stymulować ruch umysłowy, ale bez poparcia z zewnątrz, bez poparcia ludzi, którzy dziś jeszcze od nas stroną — nie zrealizujemy żadnego z naszych zamierzeń. Mówimy: człowiek twórczy, osobowość twórcza... Jakż to człowiek? Przypomnijmy: to człowiek o elastycznym i krytycznym umyśle, zdolny do przetwarzania informacji z myślą o tworzeniu nowego, a zatem: człowiek-mówator, ale mówator o wysokiej kulturze duchowej, o głębokiej uczuciowości i — nade wszystko — obdarzony kapitalną umiejętnością — umiejętnością autoedukacji. Człowiek winien tworzyć przedmioty, to oczywiste, ale winien też umieć tworzyć siebie, kreować własną osobowość.

— Jak pracować nad sobą?

— O, to temat jak ocean. Ale krótko odpowiem: wyrobić w sobie krytycyzm, nie traktować siebie w sposób narcystyczny. To trudna sztuka — bardzo wszak jesteśmy do siebie przywiązani, prawda? Człowiek musi akceptować własną osobowość; gdy to czyni, jest szczęśliwy, albo prawie szczęśliwy. Ale w tej akceptacji nie może być miejsca na błogi zachwyt nad sobą! Właśnie z takich postaw biorą się filistrzy, chuligani, antyludzie... Trzeba umieć wprowadzać wciąż korektury do własnego portretu psychicznego. Czy panu to odpowiada?

— Tak. To jest trudna umiejętność, ale możliwa do osiągnięcia.

— Trudna i bolesna niekiedy, jak bolesne są pytania o sens życia, istnienia etc. Każdy z nas musi jednak do tych pytań dojść i znaleźć odpowiedź — świadomą afirmację życia. Wbrew klęskom, przeciwnościom. Wbrew cywilizacji, postępowi... Inaczej nasz żywot przeobrazi się w bezładny, żywiołowy, „spontaniczny” kontakt z życiem. Od kolebki po grób wciąż mamy coś do skorygowania w sobie. Innej drogi nie ma. Ciągłe mówię o autoedukacji społecznej, bo wiem i w świecie przestępczym następuje samodoskonalenie się. I jeszcze jedno: bardzo nas, członków towarzystwa, cieszy okoliczność, iż taki dziś mamy klimat, że możemy pytać o sens, jakość i radość życia bez obawy, że przylepi się nam etykietkę ludzi o skłonnościach... mistyczno-teologicznych, albo — w najlepszym razie — ludzi zadających kłopotliwe pytania. Poczucie sensu życia — żeby jeszcze przez chwilę pozostać przy sprawach najwyższej rangi — jest człowiekowi potrzebne do jego światopoglądu, umiejscowienia się w świecie. Żyjemy w środowisku biologicznym, społecznym i psychicznym. Wszystkie one są równie ważne, żadnego nie wolno zaniedbać.

— Czy macie posłuch w narodzie? Wasze zamierzenia? Myślę o zamierzeniach Towarzystwa Higieny Psychicznej.

— Trudne pytanie. Nawet pięćdziesiąt najmądrzejszych zjazdów, artykułów w specjalistycznej prasie i konferencji niczego — prócz sprawozdawczości — nie załatwi. Mamy np. dość bliskie kontakty z Ministerstwem Sprawiedliwości. Wspólnie badamy rozwój postaw społecznych, wspólnie szukamy środków zaradczych. Opinie stowarzyszonych lekarzy, pedagogów, prawników są uważnie wysłuchiwanie. Wszelako potrzebne są, mówiąc generalnie, fundamentalne, specjalistyczne badania naukowe; działaniem społecznym, choćby najzbarliwszym, nie uzyska się powszechnej težyny psychicznej. A o nią nam chodzi przede wszystkim. Problemów, związanych z postępowem cywilizacyjnym przybywa. Ten postępek czyni spustoszenia w psychice jednostek i społeczeństw. W miarę skromnych sił i środ-

ków staramy się zapobiegać tym niepokojącym procesom. Szukamy sojuszników i mecenasów — życzliwych, mądrych, hojnych. Interes jest wspólny, wspólne jest też zagrożenie. Higiena psychiczna — to szansa każdego z nas. Szansa i nadzieja. I konieczność. Zaś najbliższe przedsięwzięcie, to badania i propaganda psychoprofilaktyki życia rodzinnego.

Rozmawiał: BOGDAN MACIEJEWSKI

Stanisław Kubiak

Pryncypia podziału sojusze i kompromisy

Akceptacja niektórych stwierdzeń marksizmu-leninizmu okazuje się niekiedy werbalna. Praktyka czasami przeczy deklaracjom aprobaty. Dzieje się tak z teorią o klasowym charakterze rzeczywistości społecznej, zwłaszcza z tezą o przodującej i rewolucyjnej roli klasy robotniczej.

Klasa robotnicza jest twórcą i wytworem przemysłu. Rozwój przemysłu stwarza szansę poprawy warunków pracy i życia robotników, umożliwia poprawę trudnego ich położenia. Dla innych klas postęp techniczny, technologiczny nie musi być tak niewątpliwą sprawą. Są one bowiem w lepszym położeniu, w przeciwieństwie do klasy robotniczej, która nie ma nic do stracenia. W warunkach budowy socjalizmu klasa robotnicza może wprowadzić wiele stracić, ale ma jednak najwięcej do zyskania. Od sprawiedliwości społecznej dzieli ją największy dystans. Walcząc o zdobycze dla siebie, robotnicy nie mogą niczego trwałego zyskać kosztem innych. Likwidacja robotniczych uposażeń ma zawsze dobroczynny wpływ na sytuację innych niepałozynicznych klas i warstw. Nie sprawdza się jednak twierdzenie odwrotne. Sojusznicy niekiedy widzą w związkach z klasą robotniczą i w jej przewodnictwie przelotne, taktyczne interesy. Gdy dzięki klasie robotniczej osiągną wyznaczone cele, korzystają nieraz z okazji, by przejść do dominacji.

Drobnomieszczaństwo, mimo swej chwiejności, decyduje się niekiedy na sojusz z klasą robotniczą, drobnymi posiadaczami są krepowani przez wielką burżuazję. Ale natychmiast po rewolucji socjalistycznej, po upaństwowieniu wielkiej własności, drobnymi posiadaczami dają do zajęcia tego — jak sądzą — wolnego wakatu. Układy sił klasowych przesądzają teraz, w jakim stopniu możliwe jest takie wspieranie się na pozycje wielkiej burżuazji. Zbyt daleko idąca ewolucja w kapitalizowaniu stosunków społecznych z czasem zapowiada radykalną kontrakcję robotników, coraz liczniejszych i lepiej zorganizowanych, w miarę uprzemysławiania gospodarki.

W państwie budującym socjalizm generalnie nie ma warunków sprzyjających kapitalizowaniu życia społecznego i gospodarczego. Państwo narzuca bowiem surowe ograniczenia sektorowi prywatnemu. Jest on jednak niezbędny. I to wystarczy, by dopuszczał się ekonomicznego wymuszania ustępstw na jego korzyść. Dalej toczy się walka — kto kogo. To „współzawodnictwo” między układami prywatnymi, a państwowo-spółdzielczymi jest znamiennym, nieraz niedoce-

nionym leitmotivem życia w państwach budujących socjalizm. Niedocenienie lub nawet zweeksławienie tego problemu na boczne tory wyraża się m. in. w pomniejszaniu znaczenia sektora prywatnego, np. przez posługiwanie się formalno-prawnymi kryteriami własności. Własność państwowo-spółdzielcza nie jest własnością prywatną, ale jest też ledwie potencjalnie własnością socjalistyczną. Staje się nią dopiero w miarę przezwyciężania dwoistej roli pracowników. Znajdują się oni bowiem i w pozycji współgospodarzy i siły najemnej. Często pozycja współgospodarska jest tylko tytułem, uprawnieniem. Im mniejsza jest rola samorządu robotniczego — tym większa okazuje się nieefektywność ekonomiczna pracy przedsiębiorstw i częstsze przypadki klikowości i korupcji. W związku z tym dysponowanie władzą zdaje się być w tych wypadkach równoznaczne z dysponowaniem drobną własnością.

W ramach przedsiębiorstw państwowych mogą zresztą pojawić się w pełni legalne formy sektora prywatnego i to w szerszym zakresie. Zwłaszcza na styku gospodarki z rynkiem dolarowym. Uzasadnione np. wypłacanie marynarsom tak zwanych dodatków dewizowych sprawia, że z tytułu zatrudnienia stają się oni dysponentami kapitału handlowego. 90 proc. dochodów pochodzących z dodatku dewizowego służy rozwijającej się prywatnej wymianie handlowej. Siła sektora prywatnego i półprywatnego jest w rezultacie większa, niż wynika to ze statystyki. Tutaj też trzeba szukać źródeł wielu istotnych sprzeczności. Między sektorami prywatno-kapitalistycznymi, a socjalistycznymi — oczywiście — istnieją liczne interesy wspólne, ale co najmniej równie liczne interesy rozbieżne. Robotnicze, klasowe interesy skłaniałyby m. in. do czujnego strzeżenia, rozsądnego optimum w tym układzie sił społecznych. Niezbędne byłoby systematyczne badanie, rozpoznawanie sił faktycznie i potencjalnie drobno-kapitalistycznych oraz świadome kierowanie ich potencjałem. Nie zaś działanie w sposób doraźny i siłą rzeczy ślepy, pod przymusem perturbacji np. rynkowych czy zaopatrzeniowych. Interesy reprezentantów sektora prywatnego tymczasem dyktują praktykę osłaniania swych nawet legalnych interesów, przemilczanie lub negowanie występujących tu przeciwieństw, zastępowanie ich ogólnopatriotycznymi frazesami.

W tym tle dopiero zrozumiałe staje się pewne zjawisko o charakterze ideologicznym i politycznym polegające na próbach zastępowania marksistowskiej interpretacji działania sił społecznych rozmaitymi eklektycznymi koncepcjami analizy, wartościowania rzeczywistości. Wspólnym ich mianownikiem jest negowanie bądź milczące ignorowanie zasady, iż „klasa robotnicza jest główną siłą socjalizmu”.

Szczególnie żywe są tu pewne koncepcje zastępcze, de facto degradujące środowiska robotnicze. W miejscu kryterium wartościowania, w zależności od położenia społecznego, pojawiają się tak uproszczone, dowolnie stosowane i generalizujące miary wyznaczania roli grup i warstw wedle stosunku do pracy, majątności i wykształcenia. Trzy te, co najmniej cechy położenia warstw i klas, pojmowane są jako koronne źródła postępowości, konserwatywności lub reakcyjności. Społeczeństwo bywa dzielone według osobliwie pojętego stosunku do pracy. Z jednej strony mamy więc ludzi leniwych, grupy i warstwy leniwe, a nawet całe narody. Afrykańczykom i Hindusom przypisywana jest gnuśność, Amerykanom zaś niespożyta pracowitość. W myśl tej reguły dzielone są też rozmaite środowiska lokalne, całe zło przypisywane jest nieróbstwu kolesiów i gnuśności chochołów. W związku z tym, najważniejszym zadaniem staje się szukanie recepty na nie chcących dobrze pracować. Tę ich psychologiczną właściwość — zdaniem wielu — należy leczyć głównie przez wprowadzenie żelaznej (?) dyscypliny i zarazem bezrobia.



(FOT. A. J. PROKOFIEW)

Wydawałoby się, że majątność nie może już być w ogóle miarą wartościowości. Posiadanie — całkiem niespodziewanie — staje się jednak narzędziem nobilitacji. Dokonuje się w tym celu utożsamiania pracowitości z majątnością, przy milczącym założeniu, że urzeczywistniona została już zasada każdemu według pracy. W rezultacie zasługi np. rolnika nie są charakteryzowane za pośrednictwem tego, co robi. Główną miarą zasług staje się stan majątkowy. Posiadanie samochodu, traktora, zestawu maszyn rolniczych, stada krów, dużej trzody chlewnej, stodoły i willi stanowi rekomendację obywatelskiej postawy i wyraz cnót moralnych. Tak zostaje ściśle skopiowany i przeniesiony na nasz grunt program amerykańskiego pragmatyzmu franklinowskiego. Cnotą według niego jest mieć, ulega mu niekiedy nawet wymiar sprawiedliwości. Wprowadzona przed laty zasada zwalniania aresztowanych za kaucję — czyni z zasobności portfela okoliczność łagodzącą. Nadużycie praw pracodawcy państwowego wobec pracowników wchodzi często w zakres zainteresowania prokuratury i sąsiednie, ale wyzysk w agencji jest zaś już sprawą z powództwa cywilnego itd.

Między pracowitością, a majątnością może oczywiście istnieć związek przyczynowo-skutkowy, podobnie jak między kwalifikacjami, a pozycją zajmowaną w hierarchii służbowej. Trzeba też zabiegać, aby ten związek

istniał, ale zbożne życzenia nie sposób uważać za fakty i za spełnioną teorię.

Stosunkowo najbardziej jawną i pospolitą miarą określania postępowości jest wyznaczanie jej według kryterium wykształcenia. Wykształcenie staje się tu dowodem nowoczesności. Społeczeństwo można teraz łatwo podzielić na oświeconych i ciemniaków, na wspaniałych menadżerów i masy albo tzw. „ręce do pracy”. Wszystkie niepowodzenia łatwo zgonić zaś na karb głupoty. Postępowość jest w tym ujęciu wprost proporcjonalna do stopnia wykształcenia. Niepokój jednego z profesorów wywołał np. fakt, że w wyborach uczestniczyło u nas 8 milionów osób z nieukończoną szkołą podstawową, można więc — napisać elegancko — przypuszczać, że jedna trzecia wyborców, to jakby analfabeci polityczni. Stąd już tylko kroczyć do postulatu wprowadzenia wyborczego cenzusu wykształcenia. Tym bardziej, że operacja utożsamiania pracowitości z osiągniętym wykształceniem gdzieś tam została zalegalizowana, przy całkowitym zignorowaniu faktów.

Nie kwestionuję bynajmniej roli powszechnego wykształcenia. Wykształcenie jednak samo w sobie jest kategorią pustą. Wielcy uczeni mogą równie dobrze być konserwatystami jak i reakcjoniastami. Wykształcenie jest bowiem narzędziem społecznym, a nie samodzielną siłą. Pojmowane w sposób o-

gólny, nieklasowy, sprzyja nie tyle interesom klas postępowych, co warstwom wykształconym. Służy uzasadnieniu prawa pewnych grup do traktowania ich na zasadzie wielkiej wyjątkowości. To zaś nie ma już nic wspólnego z postępem społecznym.

Warunkiem dokonania rewolucji naukowo-technicznej jest ograniczanie różnicowań w poziomie życia i wykształcenia obywateli. Przy nadmiernym rozwarstwieniu — wybitne osiągnięcia naukowe pozostają na papierze, nie są przetwarzane i urzeczywistniane w praktyce. Ale oto z wykształconą wirtuozerią można żonglować i dowodzić właśnie czegoś wręcz przeciwnego. Z tej szansy niektórzy korzystają skwapliwie. Powiadają więc, ściślej piszą, że w interesie rozwoju kraju trzeba zwiększyć różnicowania społeczne, aby tę rzekomą konieczność zaś zrealizować — trzeba zmniejszyć swobody obywatelskie. Aby z kolei obywatele nie szemrali — stwierdza wybitny publicysta — dajmy im w zamian większą wolność wyboru dań w jadłospisie.

Jest to oczywiście dalece niewystarczająca, tylko pobieżna charakterystyka niektórych teoretycznych usiłujących zastąpić klasowe punkty odniesienia. Są one przebogate, mają w zanadrzu cały arsenał osobliwych, łatwych pojęć oceniających politykę jako „głupią” albo „mądrą”, „racjonalną” lub „nieracjonalną”, „rozmąną” lub „nierozmąną”.

Zaś takie pojęcia — narzędzia jak „sposób produkcji”, „siły wytwórcze”, „wyzysk”, „burżuazja”, „proletariat”, „drobnomieszczaństwo”, „literacy przedstawiciele klas”, „dyktatura proletariatu” — uchodzą za niewartościowe i nieestetyczne. W parze z tym idzie głoszenie tezy o zmierzchu ideologii, szkodliwości polemiki z teorią konwergencji. W końcu społeczeństwa zostają podzielone na przedindustrialne, wczesnoindustrialne, industrialne, postindustrialne i tak za jednym zamachem zostają zniesione feudalizm, kapitalizm i imperializm.

Odrzucenie marksistowskiej teorii klas i walki klasowej oczywiście nie musi być jeszcze świadectwem ani konserwatywności, ani reakcyjności. Ale świadczy o istnieniu złożonej, pełnej sprzeczności struktury społeczno-ekonomicznej i klasowo-warstwowej, nierzadko — oczywiście — koniecznej, choć niesprawiedliwej. Jest to tej struktury odbicie. Zasygnalizowane zaś pęknięcia ideologiczne zdają się być szczególnie spokrewnione z istnieniem silnej klasy drobnomieszczańskiej. Wyrażający poglądy drobnomieszczańskie, rzecz jasna niekoniecznie muszą od razu być drobnymi posiadaczami ani w ogóle, ani w tradycyjnym i formalnym znaczeniu tego pojęcia.

Zgoda na stworzenie pewnych warunków egzystencji ekonomicznej dla drobnomieszczaństwa i zawarty z tego tytułu sojusz gospodarczy nieraz mylnie bywa uznawany za kompromis ideologiczny i polityczny. Taki kompromis w ogóle nie może wchodzić w rachubę, pociąga bowiem za sobą zaniechanie, osłabienie działań ideologicznych. Stwarza podłoże dla nowych, nieuzasadnionych koncesji ekonomicznych wobec prywaty, w sektorze prywatnym i państwowym. Osłabia kontrolę społeczną ułatwiając niektórym warstwom i klasom zdobywanie pozycji uprzywilejowanej, wyjątkowej. Wreszcie rodzi nową ideologię sprzeczną z ideologią klasy robotniczej.

Kompromisy ideologiczne przy sojuszach ekonomicznych ostatecznie okazują się zamazywaniem konfliktów, które hamują posuwanie się naprzód i otwierają pole działania dla przeciwników socjalizmu. W całym naszym działaniu — stwierdził VI Zjazd PZPR — należy zawsze kierować się zasadą, że klasa robotnicza jest główną siłą socjalizmu, a stała z nią więź warunkiem pomyślnego rozwoju...

Ewa Moskalówna

No i jestem dalej...

Witold Kledzik mieszka w Gdańsku już 44 lata. Odznaczony jest Medalem 10-lecia Niepodległości (1928), Brązowym Krzyżem Zasługi (1935), Medalem za Długoletnią Służbę (1938), Srebrnym Krzyżem za Zasługi (1938), Srebrnym Krzyżem Zasługi z Mieczami (1944), Medalem Zwycięstwa i Wolności (1946), Krzyżem Kawalerskim Orderu Odrodzenia Polski (1957), Odznaką „Za zasługi dla Gdańska” (1962), Odznaką Przewodzącego Kolejarza (1963), Odznaką Tyśiąclecia Państwa Polskiego (1965), Złotą Odznaką PTTK (1965), Medalem 500-lecia Gdańska (1967), Odznaką „Zasłużonym Ziemi Gdańskiej” (1969), Odznaką „Zasłużony Działacz Turystyki” (1969)... Koleje tego życia świadczą nie tylko o cechach indywidualnych, takich jak patriotyzm, siła woli, odwaga, wytrwałość, ale są także przyczynkiem do losów Polaków; do naszej historii najnowszej.

Urodził się w Berlinie 17.X.1906 r. Mówi



o sobie, że jest wychowankiem „Sokoła Berlińskiego”. Środowisko niemieckiej Polonii było nie tylko bardzo patriotyczne, ale i doskonale zorganizowane. W Berlinie mieszkało 180.000 zorganizowanych Polaków. Posiadali własny bank, boisko sportowe, wydawali „Dziennik Berliński”. „Sokół” wychowywał młodzież w duchu patriotycznym. Z dala od kraju kultywowano tradycje wszystkiego co polskie. Przede wszystkim myślano o młodym pokoleniu. Organizowano tajne nauczanie, gimnastykę, ćwiczenia wojskowe, a nawet tajne lekcje religii. Stowarzyszenie Polek „Gwiazda” pomyślało nawet o zapewnieniu polskim dzieciom tradycji — polskiej pierwszej komunii. To wychowanie patriotyczne, konsekwentnie przeprowadzane w sercu Berlina, nie chcące zrezygnować z niczego, co kojarzy się z polską tradycją — przyniosło wyniki.

Mój rozmówca podkreśla nieraz: „Do polskiej szkoły nie miałem szczęścia chodzić”. A przecież polszczyzna jego była nie-naganna. Budziła podziw, gdy jako 14-letni chłopiec wraz z rodzicami wrócił do Polski. Mówi o tym: „przyjechalismy, gdy wybuchła Polska”. W roku 1928, już jako pracownik kolei i oficer rezerwy lotnictwa, znalazł się w Gdańsku, gdzie pracował jego ojciec. Od tego roku pracuje w gmachu Dyrekcji Kolejowej. Bierze czynny udział w życiu gdańskiej Polonii. Należał, jak dziś oblicza, do około 17 organizacji, zajmował się nawet teatrem amatorskim, działał w Towarzystwie Miłośników Sceny. Zajmował się też amatorsko fotografią, uwieczniając uroczyste wydarzenia z życia gdańskiej Polonii. Pozwoliło mu to zgromadzić 350 unikalnych zdjęć, dziś już mających charakter dokumentu historycznego. Fotografuje te tygodnie przed wojną wysłał do Torunia w zapłomowanym worku pocztą kolejową. We wsi Łysomice przeetrwały (w stodole) wojnę. Obecnie zdeponowane są w Bibliotece Gdańskiej Polskiej Akademii Nauk.

Jednocześnie już wtedy zaczyna po Gdańsku, mieście, które wybrał, oprowadzać wycieczki. O uroku Gdańska przedwojennego

opowiada bardzo sugestywnie, z ogromną swadą. Niezawodna pamięć podsuwa szczegóły: ulice, ich wygląd, usytuowanie sklepów, winiarnie. Słuchając go można sobie wyobrazić miasto bogate, tętniące życiem, bez trosk, pełne cudzoziemców. Liczne kawiarnie, knajpki, restauracja Kubickiego z nie pozbawioną pikanterii atrakcją — damską orkiestrą w marynarskich mundurach... Niestety, to tylko jeden nurt życia Wolnego Miasta Gdańska. Tutaj narastała atmosfera zagrożenia, wrogości wobec Polaków. Witold Kledzik był przewodnikiem i pilotem Macierzy Szkolnej; z jej ramienia oprowadzał po Gdańsku polskie wycieczki. Akty agresji wobec dzieci polskich nasilały się, wobec polskiego języka na ulicach padały kamienie. Coraz częściej trzeba było się ograniczać do zwiedzania wnętrza.

Witold Kledzik w opracowaniu „Polscy kolejarze w Wolnym Mieście Gdańsku” pisze: „Prowadzona pierwotnie metodami cywilizowanymi walka z polskością przerodziła się w końcu u Niemców gdańskich w dziką i krwawą nienawiść. Szykany, pobicia i aresztowania mężczyzn, kobiet, harcerzy, a nawet dzieci szkolnych i z ochronek polskich były na porządku dziennym. Polak żyjący w Gdańsku na każdym kroku musiał nadstawiać swoją skórę, na każdym kroku znosił ból, obelgi, szykany polityczne i gospodarcze. Kolejarze gdańscy — Polacy mimo tego nosili wysoko sztandar polskości i kiedy nadchodził ciężki i krwawy egzamin w dniu wybuchu II wojny światowej, przelali swoją krew wytrwawszy do ostatka na swoich posterunkach służbowych. Zbliżał się wrzesień 1939 r. Gdańsk staje się podobny do wulkanu mającego lada chwila wybuchnąć... Sfanatyzowani Niemcy wypowiadali mieszkanie rodzinom polskim, pozbawiali Polaków pracy, tłukli szyby w mieszkaniach, zamykali polskie sklepy, plugawili drzwi mieszkań... Już przed wybuchem wojny hitlerowcy sporządzili spis wszystkich znanych Polaków w Gdańsku. W ostatnich dniach przed wybuchem wojny mieszkania wszystkich wybitniejszych Polaków były pilnowane

ne i obserwowane przez policję gdańską, SS i SA.

Ażeby uniknąć kontroli polskich władz nad przygotowaniami wojennymi Gdańska, już na kilka miesięcy przed wybuchem wojny zbudowano most pontonowy na Wiśle pod Serowem. Przez most ten odbywały się transporty broni i materiałów wojennych. Młodzieży niemieckiej nie dawano zatrudnienia w Gdańsku, lecz wysyłano ją w głąb Niemiec do formacji wojskowych. Zostali tam skierowani wszyscy absolwenci szkół średnich w Gdańsku, którzy w 1939 r. złożyli maturę. Wrócili po odbyciu przeszkolenia wojskowego do Gdańska, dając początek organizacji SS, Heimwehr — późniejszej tzw. dywizji gdańskiej.

Gdy 1 września 1939 r. o godz. 4.45 padły pierwsze strzały z pancernika niemieckiego „Schleswig Holstein” na Westerplatte, to równocześnie kolby hitlerowskie załomotały w drzwi mieszkań Polaków. Rozpoczęło się wyniszczanie elementu polskiego w Gdańsku... Częstokroć aresztowano ojców wraz z nieletnimi synami. Pędzono ich do osławionej Viktoriaschule, gdzie przyjmowano ich obelgami i biciem, w wielu wypadkach aż do śmierci.

Witold Kledzik również zapłacił drogo za miłość do miasta, które wybrał. Jego żona została zabita w piątym dniu trwania wojny. Aż siedem kul wymierzono w młodą kobietę w siódmym miesiącu ciąży z dwu i półletnim dzieckiem na ręku. Chłopiec ocalał, został tylko ranny. O tej tragedii na razie mąż i ojciec nie wiedział. Był zatrudniony w Wojskowym Dowództwie Kolejowym do chwili wkroczenia Niemców. Wojna zastała go w Gdyni. Niemcy Gdynię zajęli 14 września. 15 września, rozpoznany na ulicy przez gestapowca z Gdańska, zostaje aresztowany. Wraz z innymi Polakami — a było ich przeszło trzy tysiące — zostaje osadzony w kinie „Goplana” na skwerze Kościuszki. Po godzinie ucieka. A przecież poszukiwany był listami gończymi. W ucieczce pomogła mu świetna znajomość niemieckiego, a także przytomność umysłu — własna i brata.

Scena, która zdecydowała o życiu Witolda Kledzika, rozegrała się szybko. W tłumie Polaków Witold Kledzik i jego brat stali obok siebie. Przesłuchujący Niemiec kieruje pytanie do brata: — Kto to jest Witold Kledzik?

— Mój brat —

— Co się z nim dzieje? —

— Zginął na Oksywii —

Niemiec automatycznie wykreśla nazwisko. Dzięki temu Witold Kledzik do końca wojny nie był poszukiwany listami gończymi. Brat jego również uciekł, ale zginął rozstrzelany wkrótce potem. Witold Kledzik ukrywał się do 3 października u swego brata stryjecznego, Stefana, na skwerze Kościuszki 24. Stefan Kledzik mimo 3 lat spędzonych w Oświęcimiu, przeżył. Ale słowa „zginął w obozie koncentracyjnym”, „został rozstrzelany” w opowieści Witolda Kledzika powtarzają się jak litania.

Z Gdyni na rowerze ucieka do Lublina. Całą okupację przeżył na Lubelszczyźnie, pracuje na kolei: najpierw w Nałęczowie, potem w Lublinie. Jednocześnie działa w ruchu oporu. Urałował życie wielu ludziom. Natychmiast po wyzwoleniu wraca do Gdańska. 16.IV.1945 roku powraca do pracy w gmachu Dyrekcji Kolejowej. Będzie tam pracował aż do przejścia na emeryturę — do 31.V.1967 r. Kiedy wrócił, zastał gmach Dyrekcji Kolejowej do połowy wypalony. Trzeba było organizować życie i pracę na nowo. Stopniowo życie wracało do normy. Witold Kledzik organizuje Ośrodek Szkolenia Kolejowego na Stogach. Tuż po wojnie założył nową rodzinę: ma 5 synów i 1 córkę. Przetrawił daleki jest od patetycznych słów. Opowiadając o swoim powrocie do polskiego Gdańska, o spokojnym — wreszcie! — życiu, mówi tylko: „No i jestem dalej...” Od roku 1950 znów zajmuje się przewodnictwem. Uchodzi za najstarszego przedwojennego przewodnika. W zeszłym roku oprowadzał 84 wycieczki zagraniczne, bo tymi

Złudzenia i marzenia

Sądzę prawie tak samo jak Urszula Kozioł (felieton w „Odrze”), że zbyt „artystryczny” przekład dzieła literackiego wzbudza podejrzenie, że nie jest on autentyczny. Ze tłumacz wyniósł oryginał ponad jego poziom, nadając mu wyższy sens artystyczny. Często porównywałem oryginał z przekładem i stąd moje przeświadczenie. Potocznie mówi się o „polskiej szkole przekładu”, co oczywiście niewiele tłumaczy. Na ile bowiem szkoła ta jest wierna swym oryginałom? Myślę, że podstawowym obowiązkiem każdego tłumacza — to wierność oryginałowi, nawet jeśli by polski czytelnik miał wynieść z lektury nie dość silne wrażenie, czy uczucie niedosytu. Może polskim tłumaczom chodzi o to, by uzasadnić swój trud, że w ten sposób wyraźniej zasugerują wydawnictwu i czytelnikowi swój gust, wybór, swoje fascynacje tekstem. Nierzadko ulegają oni zresztą złudzeniom. Język oryginału dzieła literackiego sugeruje często znacznie więcej, jest bardziej pojemny od języka przekładu, bardziej przylega do idei utworu. Ba, niektórych dzieł literackich nie da się w ogóle przełożyć na inne języki. Karl Dedecius uchodzi, i słusznie, za tłumacza kongenialnego. Jego zaśluga, szczególnie dla współczesnej poezji polskiej, są niezaprzeczalne. Znajomość polskiego języka jest u tego tłumacza tak głęboka, że przekłady jego są nie tylko wierne, ale i przylegają do ducha języka niemieckiego. (Takim kongenialnym przykładem tłumaczenia jest np. wiersz Juliana Tuwima w którym „straszne mieszkania” Dedecius wymienił na „straszne zamczyska” (schreckliche Burgen), co pozwalało zastosować etymologiczny asonans „Burg — Bürger” (zamek — mieszczuch). A jednak nie wszystkie wiersze ze współczesnej poezji polskiej zostały przez Dedeciusa przełożone. Na przykład cała „lingwistyczna” szkoła polskiej poezji jest po prostu na niemiecki nieprzetłumaczalna. Poezja Białoszewskiego w antologiach Dedeciusa jest tylko wtedy reprezentowana, jeżeli liryka ta obraca się w sferze pojęć, obrazów. Tam, gdzie tworzy neologizmy językowe pozostaje w mateczniku polskiego słowa.

Dedecius jako tłumacz doświadczony nie ma złudzeń, że wyrazi wszystko w swoim ojczystym języku. Do tego doświadczenia doszedł głęboką znajomością obu języków, w których „pracuje” — niemieckiego i polskiego. Wielu polskich tłumaczy „poprawia” dzieło oryginału, ponieważ zna język polski w jego wszystkich odcieniach i odniesieniach, a język oryginału, choć dobrze opanowany, pozostaje zawsze językiem obcym — z kultury, ducha, z myślenia... Stąd przekłady wielu polskich tłumaczy zostają mimo woli wzbogacone o niuanse i subtelności, których czasem nie ma w oryginale.

Wybór książki przez tłumacza wynika przeważnie z fascynacji, żeby nie powiedzieć z miłości do niej. Dalsze obcowanie

dlugopisem

z literaturą danego pisarza pozwala tłumaczowi powiedzieć o autorze: „to jest mój pisarz”, tak jakby ta literatura powstała dopiero pod jego piórem, jakby ujrzała ją światło dzienne dopiero teraz, w kraju tłumacza. I jest w tym złudzeniu spora doza prawdy. Książka żyje w tym kraju właśnie za jego sprawą.

Uczestniczyłem niedawno w rozmowach literackich poświęconych literaturze jugosłowiańskiej. Literatura ta, coraz lepiej znana polskiemu czytelnikowi, ma już swoich „etatowych” tłumaczy, do których należą np. Danuta Ćirić-Straszyńska i Magdalena Petryńska. Tłumacz jest dla każdego pisarza osobą niezmiernie ważną. Wszak powierza mu swoje najlepsze dziecko — książkę swoich najgłębszych przemyśleń i odczuć, nierzadko intymnych. Obopólna znajomość swoich osobowości pozwala ugruntować wzajemne zaufanie do wierności przekładu również w sensie jego poetyki i treści. Nie przeczę, że obserwując rozmowy pisarzy jugosłowiańskich ze „swoimi” tłumaczami polskimi, mimo woli odczuwałem zazdrość. W swoim rodzinnym kraju pisarz skazany jest jedynie na krytyka, który z racji swego warsztatu pracy ma zwykle do dzieła pisarza stosunek sceptyczny. Tłumacz natomiast jest zwykle zafascynowany książką czy twórczością „swego” autora, określa siebie w tym samym napięciu duchowym, w jakim autor swoje dzieło tworzy. Jest subiektywny. To uczucie w wysokim stopniu zaspokaja próżność pisarza, który przecież marzy o sławie. Tłumacz mówiący o przechodzącym pisarzu — „to mój pisarz”, zgadza się na jego niepokoję twórcze, na jego ideologię, na jego manierę literacką. Każdy pisarz będący w jakimś sensie egocentrykiem chodzi więc w glorii afirmacji tłumacza. Życzliwy stosunek do swej twórczości odbiera jak hołd dla swego talentu.

Marzeniem każdego pisarza, to odczytanie jego książki w jego własnym kraju. Powodzenie u czytelnika, choć zwykle złudne i przemijające, daje mu poczucie pożyteczności społecznej, spełnienia misji kształtowania wyobraźni. Krytyka się boi, bo on go demaskuje, obnaża, choć wypełnia pustkę dokoła jego dzieła sądem. Ale tylko tłumacz, jako człowiek wykształcony, dokonujący wyboru świadomego i nieprzymuszonego, może stać się tym probierzem szczerym i prawdziwym. Tłumacz bowiem jako pierwszy i wrażliwy odbiorca staje się dla niego soczewką skupiającą w przenikliwym promieniu innego, obcego mu języka, to o czym marzy pisarz — sąd subiektywny. I choć w końcu najważniejszy jest ostatecznie sąd czytelnika w danym kraju, pisarz wierzyć będzie przede wszystkim tłumaczowi. Najbardziej krytyczne słowo wypowiedziane przez tłumacza jest bowiem zarazem najbardziej czułe i delikatne.

BERNARD

przeważnie, z racji znajomości niemieckiego się zajmuje. To on oprowadza wycieczki niemieckie; tego lata oprowadził ich 101, jesienią obsługiwał Tydzień Kilonii.

Nie, nie spał swoich wspomnień. „Nie lubię pisać o sobie” — mówi. Powołują się na niego Wańkowicz, Pertek, Szwentner. On sam, jedyny w Polsce, opracował zbrodnicze szymankowską („Przegląd Zachodni” 1957, nr 4,5) w artykule „Dzień 1 września 1939 r. na trasie Tczew—Malbork”. Pisał do prasy zagranicznej o okupacji w Polsce, opracował dla własnych potrzeb monografię kolejnictwa w Gdańsku. Czeką na wydanie przewodnik „Opactwo Cystersów w Oliwie”.

Na początku października wybierał się do Opola na uroczystości 50-lecia Związku Polaków w Niemczech. Opowiadając o swoim życiu, o niebezpieczeństwie, jakie zgotowali mu obcy i o bolesnych nieraz doświadczeniach, jakich doznał od swoich Witold Kledzik mówi: „Wychowałem się na obczyźnie. Tesknilem do tej Polski...”

Polska była dla tego pokolenia Polaków, którzy musieli za swoje poczucie narodowe drogo zapłacić, ideałem i sensem życia, marzeniem i nadzieją. Mówi: „Wszelkie błędy popełniali ludzie, nie Polska. Różnice poglądów nie mają znaczenia. Najważniejsze, to być Polakiem”.



Prof. dr R. Szewalski



Prof. dr M. Dembicki



Prof. dr M. Gamski



Prof. dr M. Myśliwiec



Prof. dr K. Podolski



Prof. dr M. Żydowo



Doc. dr B. Augustowski



Doc. dr M. Pelczar



Dr A. Zbierski



Mgr B. Janik

50 lat Gdańskiego Towarzystwa Naukowego

Droga do integracji nauk

GDAŃSKIE TOWARZYSTWO NAUKOWE OBCHODZI JUBILEUSZ 50-LECIA SWOJEJ DZIAŁALNOŚCI. DZIAŁALNOŚCI IMPONUJĄCEJ, WYRAŹNIE ZAZNACZONEJ W HISTORII NAUKI POLSKIEJ I ŚWIATOWEJ. JUBILEUSZ GTN STWORZYŁ OKAZJĘ DO PRZEPROWADZENIA W GRONIE CZŁONKÓW ZARZĄDU TOWARZYSTWA DYSKUSJI, KTÓREJ WYZNACZNIKIEM BYŁY PERSPEKTYWY DZIAŁALNOŚCI NA TLE OGÓLNEGO ROZWOJU NAUKI. W DYSKUSJI UCZESTNICZYLI: PREZES GTN PROF. DR INŻ. ROBERT SZEWAŁSKI I CZŁONKOWIE ZARZĄDU ORAZ PRZEWODNICZĄCY WYDZIAŁÓW: PROF. DR INŻ. EUGENIUSZ DEMBICKI, PROF. DR MED. MIECZYŚLAW GAMSKI, PROF. DR INŻ. MIECZYŚLAW MYŚLIWIEC, PROF. DR KAZIMIERZ PODOLSKI, PROF. DR MED. MARIUSZ ŻYDOWO, DOC. DR BOLESŁAW AUGUSTOWSKI, DOC. DR MARIAN PELCZAR, DR ANDRZEJ ZBIERSKI, MGR BERNARD JANIK. REDAKCJĘ REPREZENTOWAŁ TADEUSZ BOLDUAN.

TADEUSZ BOLDUAN: Pięćdziesięcioletni dorobek Gdańskiego Towarzystwa Naukowego jest na pewno imponujący — tego nie trzeba specjalnie podkreślać w tym gronie — zresztą przedstawiliśmy go w zarysie w „Literach”, w artykułach dra Henryka Stępnia-ka. Jubileusz sprzyja bilansowaniu działalności, przede wszystkim jednak — tak sądzę — powinien sprzyjać refleksji: co dalej? Jeżeli Panowie, reprezentujący Zarząd Gdańskiego Towarzystwa Naukowego, zgodzą się na taki temat dyskusji i zrezygnują z rozpatrywania przebytej drogi w minionym pięćdziesięcioleciu, będziemy mogli skupić się na sprawach związanych z profilem Towarzystwa, z jego dalszymi dążeniami do rozwiązywania najistotniejszych problemów naukowych. Gdańskie Towarzystwo Naukowe jest typowym towarzystwem pracowników nauki i reprezentuje ten tradycyjny model, charakterystyczny prawie dla wszystkich tego typu towarzystw naukowych w Polsce. Znaczy to, że do głównych form je-

go działania zaliczyć trzeba odczyty połączone z dyskusjami, referowanie nowych wyników badań, sesje naukowe i całą działalność wydawniczą, wyróżniającą się zresztą publikowaniem przeważnie wycinkowych monografii i przyczynków. Osobne miejsce w działalności GTN zajmuje upowszechnianie wiedzy, ale upowszechnianie na tym najwyższym, akademickim poziomie. Wydaje mi się zarazem, że działalność GTN jest bardzo hermetyczna i może nawet zbyt mocno zasklepiona we własnych ramach organizacyjnych. Interesujące byłoby też chyba rozwiązanie takiego problemu: Gdańsk staje się coraz większym ośrodkiem akademickim, w którym również humanistyka nabierze z czasem odpowiedniego znaczenia, a zatem — jakie miejsce jest i będzie w tym dużym zespole naukowym naszego Towarzystwa; czy będzie ono przedłużeniem działalności instytutów uczelnianych i resortowych, a więc uzupełnieniem ich działalności, czy też spełniać będzie w pewnym stopniu zadania

integrujące różne dyscypliny nauki. Można wprawdzie powiedzieć, że rola integracyjna towarzystwa wypływa z jego wielowydłowego charakteru, jednak struktura organizacyjna nie zawsze jest równoznaczna z działaniem. Na przykładzie wydawnictw odnoszę wrażenie, że GTN pozostaje ośrodkiem wypełniającym luki uczelniane. Rozumiem to w ten sposób, że w instytutach uczelnianych prowadzi się badania, natomiast ich rezultaty po części publikuje GTN. Nie mówię o tym w formie zarzutu lecz w przekonaniu, że Panowie wyłożą swoje racje w naszej dyskusji o perspektywach Gdańskiego Towarzystwa Naukowego.

ROBERT SZEWAŁSKI: Chciałbym najpierw kilka słów poświęcić przeszłości, wspomnieć jednego z tych wspaniałych ludzi, którzy przed pięćdziesięciu laty zapoczątkowali działalność Towarzystwa. Pisano o nich w „Literach”, ale nie dość mocno została podkreślona postać niedawno zmarłego doc. dra Marcina Dragana, dyrektora Wojewódzkiego Archiwum Państwowego w Gdańsku, który przewodził Towarzystwu od 1926 roku — z przerwą wojenną — do jego reorganizacji w roku 1956. Jego zasługi są ogromne; on zapoczątkował i redagował „Rocznik Gdański”, on był duszą wszystkich ważniejszych poczynąń, m. in. również i stacji naukowej, którą chlubiło się przedwojenne gdańskie Towarzystwo. Po wojnie jako jeden z pierwszych stanął do pracy i uruchomił szereg kapitalnych wydawnictw, jak „Archiwum Wybickiego” i „Acta Poloniae maritima”. Towarzystwo z głęboką wdzięcznością wspomina swojego długoletniego prezesa. Przechodząc do spraw przyszłości — poruszanych przez pana redaktora — do modelu naszego Towarzystwa, chciałbym stwierdzić, że aktualnie przeżywamy okres historyczny, którego burzliwość można by określić mianem wysokiej fali. Fala ta grzebie pod sobą bezpowrotnie formy przeżyte i treści, a niekiedy zdaje się podważać zręby naszej cywilizacji. Ewolucja nauki i techniki doprowadziła do nowych horyzontów ludzkiego poznania i wiedzy, do zdobywania przez człowieka nowych, prawie nieograniczonych możliwości działania. Pogoń za tymi możli-

wościami — mam na myśli np. energię jądrową czy biologię molekularną — jest źródłem fascynacji nie tylko społeczeństwa, ale i samego środowiska naukowego. Z drugiej jednak strony doprowadza ona do groźnego niszczenia środowiska naturalnego człowieka, zjawiska dziś już trudnego do zahamowania, choć ćwierć wieku temu ledwie zauważanego. Człowiek posłużył się techniką, aby — jak to zauważono gdzieś indziej — demontować przyrodę. I przez to wyzwolił nowe energie, których niekiedy nie jest już w stanie opanować. Dynamika procesów technicznych, a w ślad za nimi ekonomicznych i społecznych, wyłamuje się spod kontroli, rozsada uświęcone tradycją instytucje i urzędy. Stąd rzecz niezwykle istotna: konieczność uruchomienia mechanizmów, które by pozwoliły nakierowywać rozwój nauki w pożądanym kierunku. W tym zdaje się tkwić nowe wielkie zadanie społecznego nurtu nauki, ucieleśnione w ogólnych regionalnych towarzystwach naukowych, pomyślanych — według określenia Sekretarza naukowego PAN — jako przedłużenie działalności Akademii w poszczególnych regionach kraju. Ogólnie można powiedzieć, że ta działalność dotyczy sfery moralnej świadomości człowieka, a zwłaszcza ludzi nauki — świadomości, która w jakościowym skoku rozwojowym powinna dorównać rozwojowi współczesnej techniki. A zatem równoległe z rozwojem nauki trzeba pracować nad kształtowaniem osobowości pracowników nauki, trzeba coraz lepiej przygotowywać ich do samodzielnego rozwoju nauki i do adaptacji osiągnięć nauki światowej, drogą nieustannego kształcenia trzeba pomnażać ich szereg, a przede wszystkim poszerzać ich horyzonty. W tym tkwi właśnie rola towarzystw naukowych i stąd rodzą się dla nich nowe zadania, które wykraczają daleko poza sferę działalności szkół wyższych i instytutów badawczych.

Do identycznych wniosków prowadzi też rozważanie o ochronie środowiska naturalnego człowieka. W obliczu ograniczonych zasobów przyrody naszego globu, tempo rozwoju przemysłowego musi prowadzić nieuchronnie do kryzysu i to bynajmniej nie w dalekiej, nie dającej się określić przyszłości. Względ na naturalne środowisko człowieka musi więc odąd stanowić istotny moment w podejmowaniu decyzji gospodarczo-technicznych. Żadna, nawet najdoskonalsza droga postępu w dziedzinie nauki i techniki nie może być realizowana, jeżeli zagraża temu środowisku. A zatem zmieniają się kryteria, które rozstrzygają o dalszym, wszechstronnie pojętym rozwoju społecznym, na których opiera się dotychczasowy kierunek kształcenia obywateli i kierunek praktyki zawodowej. Jedynym powiedzmy niezniszczalnym surowcem w dalszym rozwoju społecznym i przemysłowym kraju, który się nie zużywa, jest inteligencja człowieka. Na niej trzeba będzie więcej budować, niż kiedykolwiek do tej pory.

Raz jeszcze wypada podkreślić konieczność formułowania społecznych opinii naukowych i powodowania społecznej kontroli planów rozwojowych, jako nowego wielkiego zadania stojącego przed towarzystwami naukowymi. Ludzie nauki szukają uczestnictwa w społecznym działaniu, w realizacji zdobyczy nauki i techniki. Wypowiadając się na temat działalności naukowej, jej poziomu, oryginalności i przydatności społecznej, tworzą opinię naukową — ważny głos zbiorowości ludzi nauki, z pełnym uzasadnieniem rozpatrujących krytycznie działalność naukową środowiska i poszczególnych jego przedstawicieli. Brak takiej opinii, przede wszystkim z powodu niedoceniania na wielu szczeblach naszego życia społecznego walorów i niezbędności dyskusji naukowych, prowadzić musi do wypaczeń, do działalności pseudo-naukowej, do jakiegoś prymatu miernot, a w każdym razie do osłabienia, przyhamowania, a nawet do likwidacji warsztatów rzetelnej pracy naukowej. Towarzystwa naukowe mają stanowić wielkie forum dyskusji naukowej. To jest ich kapitalne zadanie. W tej działalności winna się kształtować i za-

cieśniać współpraca z wyższymi uczelniami, z instytutami badawczymi i specjalistycznymi towarzystwami naukowymi. Jednym słowem — z całym światem nauki zainteresowanym przecież w jednakowym stopniu w prawidłowym kształtowaniu się opinii naukowej. Powinniśmy się uzupełniać i współpracować. Rozległe i trudne zadania regionalnych towarzystw naukowych można sprowadzić do kilku podstawowych kierunków, o których zresztą pan redaktor wspominał; powinno się m. in. wszechstronnie wiązać naukę z rozwojem społecznym, gospodarczym, kulturalnym kraju, a szczególnie regionu objętego działalnością towarzystwa; rozwijać inicjatywy w celu zapewnienia nauce — w jej działalności badawczej, w nauczaniu — właściwych form organizacyjnych, właściwych metod pracy i właściwego uczestnictwa, a także postępującego współdziałania różnych kierunków nauki, w nich zaś różnych dyscyplin jako wyrazu niezbędnej integracji nauki. I wreszcie przyciągać oraz przysposabiać do twórczej pracy naukowej młodą kadrę polskich pracowników nauki. Środków działania w realizacji wymienionych tu niektórych zadań jest dużo, są to odczyty ogólne, zebrania wydziałowe i dyskusje, odczyty popularyzujące naukę w całym środowisku regionu gdańskiego i wszechstronna działalność wydawnicza, w tym głównie wydawanie dzieł o poważnym znaczeniu naukowym, związanych przede wszystkim z regionem. Następnie organizacja kompleksowych badań naukowych, które wymagają — poprzez powołane komisje i zespoły — współpracy różnych dyscyplin nauki, np. opracowywanie problematyki ochrony środowiska naturalnego, czy szeroko pojętej problematyki rozwoju regionu w zakresie kultury i gospodarki; pogłębiona działalność szkoleniowa w środowisku pracowników nauki i specjalistów, przede wszystkim w oparciu o program wszechniczy PAN, organizacja konkursów naukowych, pielęgnowanie tradycji nauki polskiej, troska o stały rozwój regionalnego środowiska naukowego, organizowanie i opracowywanie na życzenie władz opinii naukowych, łączność i współpraca towarzystwa jako reprezentanta środowiska naukowego regionu z kołami akademickimi, z pionem instytutowym PAN i resortów gospodarczych oraz z wszystkimi w regionie towarzystwami naukowymi o charakterze specjalistycznym. Głębszego omówienia wymagałaby działalność wydawnicza. Pragnę jeszcze zauważyć, że aktualnie zaszły w Towarzystwie istotne zmiany: przeszliśmy w gestię Polskiej Akademii Nauk, co nie jest tylko sprawą finansowania nas przez PAN, lecz — zgodnie z zapowiedzią Sekretarza naukowego PAN — będzie to organiczne włączenie naszego i innych towarzystw regionalnych w samą strukturę PAN, jako przedłużenie jej działalności w regionie. Druga sprawa, to budynek, który niedawno otrzymaliśmy; stwarza on naszemu Towarzystwu możliwości szerszego działania.

ANDRZEJ ZBIERSKI: W nawiązaniu do wypowiedzi Pana Prezesa Profesora Szevalskego o wydawnictwach chęć poinformować, że z wydawnictw ciągłych doprowadzimy w tym roku do wydania tylko zeszytu 1 tomu 31 „Rocznika Gdańskiego”. Może jeszcze z poślizgu uda nam się wydać tom XVI „Acta Biologica et Medica”...

MARIUSZ ŻYDOWO: Autorzy „Acta Biologica et Medica” otrzymali z wydawnictwa Ossolineum pisemne zawiadomienie, że ze względu na brak funduszy, wiążący się ze zmianą finansowania Towarzystwa — przejściem z gestii Wojewódzkiej Rady Narodowej do Polskiej Akademii Nauk — prace nad tomem XVII na razie nie będą kontynuowane. Ten fakt w dyskusji o przyszłości Towarzystwa nie brzmiał zbyt optymistycznie, stwarza jednak okazję do przeciwdziałania wytworzonej sytuacji. Nie mogę się zgodzić z niektórymi sformułowaniami pana redaktora na temat działalności Towarzystwa; to co Towarzystwo

robiło, robi, do czego dąży — nie nazwałbym zasklepianiem się w środowisku ludzi zajmujących się profesjonalnie nauką, ponieważ współczesna nauka uprawiana w uczelniach, instytutach uczelnianych i resortowych zmierza coraz bardziej ku dezintegracji, to znaczy specjalizacje mocno się zawężają, poza tym dezintegrują się same uczelnie. Z dawnych uniwersytetów, które były tym *universitas* obejmującym niemal wszystko, wydzieliły się uczelnie medyczne, techniczne, rolnicze i inne. Uniwersytet pozostał jako coś szczątkowego. Nasze gdańskie środowisko wyróżnia się tą specyfiką, że posiada bogate tradycje uczelni uprawiających nauki stosowane, a to dlatego, że nie było tutaj nigdy uniwersytetu. Akademia Medyczna czy Politechnika nie powstały więc na gruncie uniwersyteckim, to znaczy nie wydzieliły się z niego, lecz ukształtowały się z dyscyplin już podzielonych. Jedno z głównych zadań GTN widziałbym w integracyjnej działalności tych dezintegrujących się specjalności w uczelniach i instytutach, ale działalności prowadzonej w środowisku ludzi profesjonalnie zajmujących się nauką. A tych jest coraz więcej na świecie. To oczywiście nie oznacza, że GTN nie miałoby wychodzić poza krąg ludzi zawodowo zajmujących się nauką, ale chyba zadaniem GTN nie jest popularyzacja nauki w takim sensie, w jakim uprawia ją Towarzystwo Wiedzy Powszechnej, czy inne towarzystwa powołane do tego celu. Natomiast zadaniem GTN — i to ważnym zadaniem — jest upowszechnianie nauki.

ROBERT SZEWAŁSKI: Zagadnienie integracji nauki, o którym mówił prof. Żydowo, jest niesłychanie ważne, powiedziałbym nawet, że jest ono podstawowym zadaniem towarzystw naukowych. To, że szkoły wyższe rozbiły się na dziedziny specjalistyczne, spowodowało pewne zahamowanie ich wpływu ideowego na życie człowieka, które kształtuje się dziś pod wpływem niezwykle szybko rozwijającej się techniki. Technika kroczy swoją drogą, wpływa wtórnie na rozwój innych nauk, natomiast nie wykorzystuje tej integracji, która wynika z podejmowania wspólnych prac, wspólnych dyskusji, z przyswajania sobie postępów różnych nauk. To zadanie, wykraczające poza obowiązki wyższych uczelni i instytutów, jest niewątpliwie czołowym zadaniem towarzystw naukowych w przyszłości. Sądę — to jest, być może, zdanie odosobnione — że podobnie jak to się dzieje w niektórych innych krajach, dojdzie i u nas do odbudowy tego *universitas*, w którym będą reprezentowane wszystkie tradycyjne i nowe wydziały nauk. Wtedy nauka będzie mogła lepiej niż dotychczas wpływać na kształtowanie się postaw ludzi, na ogólny rozwój społeczeństwa.

TADEUSZ BOLDUAN: Padło tutaj wiele uwag na temat integracji nauk, może byłoby celowe zastanowić się szerzej, jak ta integracja odbija się w działalności Gdańskiego Towarzystwa Naukowego, względnie jak ją sobie Panowie Profesorowie wyobrażają w przyszłości...

BOLESŁAW AUGUSTOWSKI: Przebieg dyskusji wskazuje na jej teoretyczny charakter, a przecież integracja nauki znajduje pełne potwierdzenie w działalności naszego Towarzystwa. Przykładem tego była zorganizowana przy współudziale GTN sesja naukowa na temat ochrony środowiska naturalnego. Materiały na sesję przygotowali pracownicy naukowcy Uniwersytetu Gdańskiego, Akademii Medycznej, Politechniki Gdańskiej i instytutów resortowych. Drugim przykładem jest odbyte dzisiaj posiedzenie Komisji Nauk o Ziemi Wydziału III, na którym omówiliśmy dość szczegółowo monografię Żuław Wiślanych, która będzie obejmować wszystkie zagadnienia geograficzno-przyrodnicze, ludnościowe i gospodarcze, z uwzględnieniem oceny gospodarki żuławskiej i wyznaczeniem programowych perspektyw roz-

wojowych tego regionu. W pracy nad monografią zespołą się pracownicy wyższych uczelni i instytutów naukowych. Widzę potrzebę i nawet konieczność opracowania podobnych monografii dla innych regionów Pomorza Gdańskiego. Poza tym podjęliśmy w Towarzystwie opracowanie prognozy Polski na morzu w roku 2000. W tym przypadku wszystkie wydziały podjęły prace w zakresie swojej specjalizacji.

ROBERT SZEWAŁSKI: Tak, to są przykłady tych zamierzeń, które myślimy sobie w Towarzystwie postawili. Każdy pracownik nauki jest specjalistą, pracuje w obrębie wąskiej specjalności, ale problemy życia, wymagające rozwiązań, są problemami kompleksowymi, możliwymi do rozwiązania jedynie przy współpracy przedstawicieli różnych kierunków nauki. Ci specjaliści, uczestniczący w rozwiązywaniu takich kompleksowych problemów, mają możliwość zdyskontowania dla dobra społeczeństwa swojej wiedzy i zarazem poszerzania swoich horyzontów...

ANDRZEJ ZBIERSKI: Gdańskie Towarzystwo Naukowe posiada bogate tradycje w zakresie integracji myśli i wyników naukowych, konfrontowanych ze sobą na płaszczyźnie różnych dyscyplin nauki. Z tych tradycji korzystamy właśnie współcześnie, w okresie postępowania wielkiej dezintegracji myśli naukowej. Celem naszym jest integracja tej myśli, co zresztą wynika z samej struktury organizacyjnej GTN. Dlaczego? Dlatego, że członkowie poszczególnych wydziałów reprezentują nie tylko różne instytucje naukowe, ale i ludzi znajdujących się poza tymi instytucjami. Przykładem może być ks. dr Bernard Sychta, autor 6-tomowego „Słownika gwar kaszubskich”, który przecież nie pracuje w żadnej państwowej instytucji naukowej, ale dał nam dzieło stanowiące chyba największe osiągnięcie wydawnictw humanistycznych GTN. W ramach komisji podejmujemy prace szczegółowe, analityczne, a więc tutaj następuje integracja ludzi reprezentujących różne uczelnie i instytuty oraz różne dyscypliny naukowe. Przykład Wydziału III, jego inicjatywa opracowania monografii Żuław, wskazuje na możliwości integracji międzywydziałowej. Inna działalność integracyjna, to odczyty z ogólnym problemem naukowym, prezentowane całemu naszemu środowisku naukowemu. Tych spraw ostatecznie nie podjęły na razie uczelnie i instytuty resortowe, natomiast tę szansę miało GTN i w nowej kadencji skutecznie ją realizuje. Nie bez znaczenia jest też fakt, że spotykając się w zarządzie czy w wydziałach z różnymi płaszczyznami myśli naukowej, wzbogacamy siebie, stajemy przed dylematem wyboru takich rozwiązań, które są najbardziej właściwe dla kierowania dalszą działalnością Towarzystwa. Potrzebne są te elementy myśli naukowej, wymiany poglądów sprzyjające rozwijaniu dysputy naukowej. Zdajemy sobie sprawę, że np. w instytutach naukowo-badawczych, gdzie mamy ścisły program badawczy, możliwość dysputy naukowej jest nieraz ograniczona ze względów praktycznych, merytorycznych czy też organizacyjnych. Natomiast GTN ma szansę skupienia w małych zespołach fachowych, w komitetach redakcyjnych lub w podejmowaniu konkretnych zadań, ludzi różnych specjalności. Można więc powiedzieć, że towarzystwa naukowe, szczególnie w naszym polskim środowisku, mają i nadal będą miały ważną rolę do spełnienia właśnie w zakresie integracji, w kształceniu młodych adeptów nauki i stwarzaniu im klimatu naukowego. Pan redaktor wspominał o pracach przyzycinkarskich... Te prace przygotowały przecież uniwersytecką kadre naukową, zwłaszcza humanistyczną. Wielu doktorów i docentów publikowało swoje prace w GTN, co nie jest bez znaczenia. Pozornie mogą to się wydawać prace przyzycinkarskie, ale one złożyły się również na obecną działalność humanistyczną Uniwersytetu Gdańskiego.

MIECZYSLAW GAMSKE: Wypowiedź prof. Szewałskiego była wyczerpująca i trudno coś do niej dodać. Również na apel pana redaktora, aby mówić o konkretnych formach działalności, omówiono działalność wydawniczą i program integracji, który miałby być realizowany poprzez spójnie powoływane komisje, międzywydziałową wymianę informacji między specjalistami itp. Mimo głosów wątpliwości, opowiadałbym się za rozszerzeniem działalności zewnętrznej, wykształceniem się np. tradycji powszechnych wykładów uniwersyteckich w okresie jesienno-zimowym, organizowanych przez Towarzystwo, niezależnie od Towarzystwa Wiedzy Powszechnej.

Wracając do działalności naukowej, postuluję możliwość dysponowania przez Towarzystwo funduszami stypendialnymi, przeznaczonymi na realizację badań ukierunkowanych, sterowanych i integrowanych przez Towarzystwo. Bez konkretnej pomocy finansowej dla realizacji poszczególnych zadań trudno będzie osiągnąć zamierzone cele. Wprawdzie mamy już w tym zakresie pewne inicjatywy — Polska Akademia Nauk przeznacza odpowiednie kwoty na zagadnienia roku 2000 — myślę jednak, że będzie pożyteczne uzyskanie jeszcze innych źródeł wspomagających naszą działalność naukową.

MIECZYSLAW MYŚLIWIEC: Bardzo dobrze się stało, że pan redaktor podjął ten motyw integracji nauki, jako jeden z tematów naszej dzisiejszej rozmowy. Sporo już na ten temat powiedzieliśmy, myślę jednak, że w tym gronie nie musimy się specjalnie przekonywać o ważności tego problemu. Niewiele jednak powiedzieliśmy o tym, jakie warunki muszą być spełnione, żeby ta integracja mogła właściwie przebiegać. Uważam, że program działalności, jak każda rozumna działalność ludzka, musi podlegać pewnym prawom wynikającym z zasad prakseologii, tzn. musi istnieć idea skoncentrowana w celu działania. W oparciu o tę ideę powinien być opracowany długofalowy program działania, zoptymalizowany i dopiero na tle tego programu trzeba oszacować niezbędne do jego realizacji środki, w pierwszym rzędzie finansowe, kadrowe i wszelkie inne materialne. Jeżeli mówiono tutaj o działalności integracyjnej, m. in. na przykładzie realizacji programu Polska 2000, to nie dlatego, żeby pokazać jakąś marginesową działalność Towarzystwa, lecz żeby podkreślić, jak wielką wagę przywiązujemy do tych spraw, którymi zajmowanie się w szerszym zakresie wymaga po prostu dysponowania odpowiednimi środkami. Stąd też niejednokrotnie zastanawiamy się nad tym, jakie środki Towarzystwo powinno zdobyć, żeby tę międzydiscyplinarną działalność integracyjną prowadzić w szerokim zakresie. Można by tu skorzystać z doświadczeń zagranicznych, szczególnie francuskich, gdzie działalność społecznego pionu nauki — może nieco w innym ujęciu — jest szeroko uprawiana. To są towarzystwa naukowe, które zajmują się nie tylko prezentowaniem poglądów, ich wymianą, dyskutowaniem wyników badań naukowych, ale przede wszystkim badaniami. Podejmują one właśnie tematy międzydiscyplinarne, takie tematy, którymi nie mogą się zajmować wyspecjalizowane szkoły wyższe i instytuty, a więc z pogranicza różnych dyscyplin. Rzecz polega na tym, że towarzystwo w określonym ośrodku regionalnym podpisuje porozumienie z działającymi tam placówkami naukowymi — z uniwersytetami, instytutami prywatnymi, przedsiębiorstwami uprawiającymi badania naukowe — w wyniku którego te instytucje udostępniają — oczywiście na warunkach odpłatności — swoje laboratoria, natomiast towarzystwo zrzeszające specjalistów różnych branż, w oparciu o te środki materialne i zlecenie instytucji podejmuje się rozwiązania określonych zagadnień. Myślę, że to jest przykład, nad którym warto się głęboko zastanowić w naszych konkretnych warunkach. Myślę, że istnieje cały szereg zagadnień, na których rozwiązanie To-

warzystwo mogłoby uzyskać poważne środki z państwowego programu badań. Rzecz w tym, żeby Towarzystwo chciało podjąć tego rodzaju działalność, żeby mogło zawrzeć porozumienia z Uniwersytetem Gdańskim, Akademią Medyczną, Politechniką Gdańską w celu rozwiązywania międzydiscyplinarnych zagadnień, których jest bardzo dużo... Stale sobie wyobrażam współpracę medyków i techników, biologów i socjologów, psychologów i techników... Widzę po prostu realną szansę działalności integracyjnej w oparciu o te doświadczenia francuskie, o których mówiłem. W naszym Towarzystwie będziemy musieli wziąć te sprawy pod uwagę w przyszłości. I to jest chyba odpowiedź na pytanie pana redaktora, jak sobie wyobrażamy działalność integracyjną.

KAZIMIERZ PODOSKI: Zgadzam się w pełni z tym kierunkiem działalności integracyjnej, jednak każda działalność musi mieć realne podstawy finansowe. Kłopoty z tym mają również inne towarzystwa, chociaż np. na Śląsku prowadzą one nadal intensywną działalność wydawniczą. W bieżącym roku wydają one około 30 pozycji książkowych, natomiast u nas nastąpił w tej dziedzinie regres. Sprawa wydawnictw będzie jeszcze wielokrotnie przedmiotem dyskusji w Towarzystwie, bo to jest niezwykle ważny problem. Pamiętajmy, że to pozorne przyzycinkarstwo jest podstawą późniejszych syntez, które w regionie gdańskim przecież podejmujemy. Oczywiście z pewnych pozycji wydawniczych będziemy musieli w przyszłości zrezygnować, chociaż — w zakresie wydawnictw — widzę przyszłość we współdziałaniu komisji z komitetami Polskiej Akademii Nauk. Z komitetów PAN można uzyskać fundusze na opublikowanie niektórych prac, jak to już miało miejsce np. w przypadku „Słownika gwar kaszubskich” Bernarda Sychty, czy prac Huberta Górnowicza. W Towarzystwie musimy preferować pozycje o szerszym znaczeniu, jak np. „Acta Poloniae maritima”, „Archiwum Wybickiego”, czy słownik morski. Naszą troską powinny być otoczone wydawnictwa poszczególnych wydziałów i „Rocznik Gdański”, który ma właściwie charakter ogólnowydziałowy. Krótko jeszcze chciałbym poruszyć sprawę popularyzacji nauki. Za daleko w tej dziedzinie nie powinniśmy pójść, ale pewne próby czynimy, organizując stałe punkty Towarzystwa, w których wygłaszane są różne odczyty. Można w przyszłości pomyśleć o współpracy z Towarzystwem Wiedzy Powszechnej, które w swej akcji odczytowej wykorzystuje członków GTN. Zgadzam się z prof. Żydowo, że zadaniem GTN nie może być szeroko rozumiana popularyzacja, ale może warto pomyśleć o zorganizowaniu na wzór Warszawy coś w rodzaju wszechnicy gdańskiej z serią wykładów członków Towarzystwa. Bo w Gdańsku nikt poza Towarzystwem nie mógłby prowadzić takiej interdyscyplinarnej działalności dla całego środowiska. Oczywiście wymaga to pewnych środków, sądzę jednak, że one się znajdują. Przyszłość Towarzystwa widzę m. in. w rozwijaniu własnej działalności badawczej, w szeroko rozwiniętej działalności wydawniczej, w pewnym upowszechnianiu nauki. Jednym z zadań powinno być rozpatrzenie perspektyw nauki na Wybrzeżu.

MARIUSZ ŻYDOWO: Chciałbym zwrócić uwagę na jeszcze jeden aspekt integracji, o której właściwie bez przerwy mówimy, mianowicie na problem społecznej odpowiedzialności badaczy. Pierwsza połowa XX wieku była okresem fizyki i techniki. To co fizycy i technicy zrobili ze środowiskiem naturalnym, trzeba teraz gwałtownie naprawiać. Druga połowa XX wieku wydaje się być okresem biologii i trzeba zapobiegać temu, co biolodzy mogą zrobić ze środowiskiem i w ogóle z życiem na ziemi, przy pomocy metod fizycznych i technicznych, które zostały wypracowane. To jest problem integracyjny pierwszorzędnej wagi, który może być rozpatrywany tylko w towarzystwach

interdyscyplinarnych. Jestem jeszcze pod wrażeniem dyskusji, która się odbyła na europejskim zjeździe biologicznym — dyskusji na temat społecznej odpowiedzialności pracowników nauki, w szczególności przyrodników i biochemików. Nie chcę wchodzić w szczegóły tej dyskusji, wydaje mi się jednak, że to iż zajmujemy się dzisiaj likwidowaniem szkód wyrządzonych przez techników środowisku, jest rezultatem nieświadomości sobie przez techników odpowiedzialności społecznej, ponoszonej z tytułu wprowadzania pewnych metod technicznych i produkcyjnych. Teraz jest czas po temu, żeby wszyscy pracownicy nauki zdali sobie sprawę z odpowiedzialności społecznej, w czym poważną rolę może odegrać GTN. To jest bowiem też działalność integracyjna.

ROBERT SZEWAŁSKI: Pan Profesor Żydowo doskonale zilustrował zasadnicze myśli, które celowo rzuciłem wyznaczając zasadniczą rolę Gdańskiemu Towarzystwu Naukowemu. Nie zgodziłbym się jednak z tezą, że technika niszczyła środowisko. Nie technika, lecz ludzie, gospodarka, pewne założenia gospodarcze, które nie liczą się z całością problemu i dążą do szybkiego, taniego zarobku, niszczą środowisko naturalne człowieka. Postawy tych wszystkich, którzy o różnych sprawach decydują, zmieniają się wtedy, kiedy integruje się nauka, kiedy przedstawiciele wszystkich kierunków naukowych będą mogli oceniać znaczenie, wyniki nauki i techniki. Cała problematyka naszych czasów, która wyrasta przeciw z rozwojem nauki i techniki, wysuwa jako konieczny postulat wzmocnienie społecznego nurtu nauki. Jeśli to się spełni, będziemy mogli — jako towarzystwo naukowe — odegrać rolę tej klamry, która spina postęp nauki z działaniem społecznym.

MIECZYŚLAW DEMBICKI: Integracyjną działalność widziałbym osobiście w Wydziałach IV i II. Myśmy już taką próbę uczynili, zapraszając jednego z francuskich profesorów, który wygłosił odczyt dotyczący zarówno strony medycznej, jak i technicznej zagadnienia. Dotyczył on obiegu krwi w mózgu, czyli hydrauliki krwi, ale był to odczyt mieszczący się w naszej specjalności nauk technicznych. Sądzę, że GTN będzie w dalszym ciągu rozwijało tego typu działalność, wyrażającą się w zapraszaniu profesorów zagranicznych, przebywających w Polsce, do wygłaszania referatów interdyscyplinarnych. Współdziałanie nauk medycznych i biologicznych z technicznymi jest bardzo szeroko stosowane we Francji; wydziały medyczne w tamtejszym szkolnictwie wyższym połączyły się z wydziałami nauk ścisłych — powstały uniwersytety o profilu medycznym i nauk ścisłych. Integracja medycyny z naukami technicznymi jest coraz szersza. Sądzę, że w GTN wykorzystamy te wzorce i że częściej zapraszać będziemy zagranicznych badaczy do wygłaszania odczytów.

MARIAN PELCZAR: Pan redaktor już z góry wykreślił z dyskusji przeszłość, czyli historię Gdańskiego Towarzystwa Naukowego, ja jednak jako historyk powinienem mówić właśnie o przeszłości. „Liter” ogłosiły wprawdzie artykuły o GTN, lecz nie zawsze były one wyczerpujące, czemu dałem wyraz w swoich uwagach opublikowanych na łamach tychże „Liter”. W dzisiejszej dyskusji na temat integracji wystąpiły pewne pozorowane niekonsekwencje, bo dezintegracja jest również integracją, tylko na innym polu. Poszczególne nauki rozbijają się na coraz drobniejsze dyscypliny, ale one wzajemnie się wykorzystują i ostatecznie łączą się w pewną całość. Krótko mówiąc biolodzy korzystają z doświadczeń techników, technicy korzystają z doświadczeń nawet humanistów, powiedzmy historyków, historycy korzystają znowu z najrozmaitszych dziedzin techniki, biologii. Zaznaczając ten problem, obecnie mimo wszystko nawiążę do przeszłości; śledziłem

od początku losy Towarzystwa Przyjaciół Nauki i Sztuki, potem Gdańskiego Towarzystwa Naukowego. Zwracam więc tu uwagę na pewien bardzo charakterystyczny moment integracyjny, mianowicie na łączenie specjalistów w zakresie historii, filologii, językoznawstwa, tworzących pewną całość ludzi badających w latach mniej więcej 1928/1929—1939 zagadnienia morskie, pomorskie i gdańskie. Towarzystwo Przyjaciół Nauki i Sztuki skupiało wówczas grono współpracowników z całej Polski — oni formalnie nie zawsze mogli być członkami Towarzystwa — wszystkich historyków zajmujących się zagadnieniami morskimi, pomorskimi i gdańskimi, bardzo wielu filologów i innych specjalistów. Była to integracja ściśle regionalna, ale w jej rezultacie zapoczątkowano monograficzne opracowania wymienionych zagadnień. To, o czym dzisiaj mówimy, np. o „Archiwum Wybickiego” czy „Acta Poloniae maritima”, to są sprawy datujące się od 1932 i 1934 roku. Bardzo słusznie prof. Szewałski podkreślił zasługi doc. dra Dragana, który w 1926 roku stanął na czele Towarzystwa i przekształcił je z towarzystwa skupiającego polską inteligencję ówczesnego Gdańska, po-

dawnictwami — to był właśnie początek „Rocznika Gdańskiego” — i stwórzmy podwaliny pod polską stację naukową w Gdańsku, która by umożliwiała badaczom polskim wykorzystać bogate zbiory gdańskie, wtedy jeszcze niezbyt znane i nie wykorzystane. Chciałbym jeszcze wspomnieć Adama Czartkowskiego, który był z zawodu przyrodnikiem, z pasji jednak humanistą, świetnym znawcą dziejów i kultury Polski schyłku XVIII i początku XIX wieku. Miał on pomysły szalone, a jeżeli mu ktoś w tych pomysłach przeszkadzał, stawał dęba i z uporem doprowadzał do ich realizacji. Takimi pomysłami były wydane już dzisiaj listy Przybyszewskiego, „Archiwum Wybickiego”, „Acta Poloniae maritima” i różne serie wydawnicze. Towarzystwo zapoczątkowało też działalność późniejszych zjazdów pomoroznawczych. I Zjazd Pomoroznawczy odbył się przecież w Gdańsku w 1930 roku i stał się podstawą późniejszej integracyjnej działalności Instytutu Bałtyckiego, Towarzystwa Naukowego Toruńskiego i Towarzystwa Przyjaciół Nauki w Poznaniu. Drugą postacią, o której należałoby koniecznie wspomnieć, to dr Władysław Pniew-



NOWY BUDYNEK GDAŃSKIEGO TOWARZYSTWA NAUKOWEGO PRZY ULICY GRODZKIEJ W GDAŃSKU (FOT. WŁODZIMIERZ NIEZYWIŃSKI)

ularyzującego wiedzę — w towarzystwo naukowe. Doc. Dragan — nawiązuje tu do wypowiedzi prof. Żydowo — powiedział w 1927 roku mniej więcej tak: skończmy z tymi odczytami publicznymi, które nie mają wielkiej wartości, na które przychodzi niewielu ludzi, a zacznijmy pracę wewnętrzną, naukową, tylko naukową. Zajmijmy się wy-

ski, który zajmował się Kaszubszczyzną, problemami językoznawczymi i właściwie był autorem pierwszych bibliografii kaszubskich, drukowanych wyrywkowo w „Roczniku Gdańskim”.

BERNARD JANIK: Nawiążę jeszcze do współpracy z zagranicą. Ta współpraca jest

prowadzona w GTN, tak na przykład w 1961 roku nawiązaliśmy do dziś trwające stosunki z Hanzeatyckim Towarzystwem Historycznym. Współpraca polega na wymianie naukowców, uczestnictwie w zjazdach, na wymianie wydawnictw. Nasi naukowcy co roku wyjeżdżają do Niemieckiej Republiki Demokratycznej z odczytami, niektórzy uczeni niemieccy są zapraszani do nas i wygłaszają odczyty, zwłaszcza w Komisji Historycznej GTN. Drugim momentem godnym podkreślenia jest to, że gdańscy uczeni otrzymali zlecenie uzupełnienia polskimi odpowiednikami największego francuskiego słownika morskiego, który wychodzi zeszytami pt. „Nouveau Glossaire Nautique d'Augustin Jal”. Zagranica chce i potrzebuje nas, chodzi tylko o to, żebyśmy potrafili utrzymać kontakty z nią i nawet występować z własnymi inicjatywami.

ANDRZEJ ZBIERSKI: Współpraca z zagranicą ma jeszcze inne aspekty w działalności naszego Towarzystwa, mianowicie chodzi mi o wydawnictwa. Pod tym względem mamy dobre tradycje — Towarzystwo Przyjaciół Nauki i Sztuki w Gdańsku międzywojennym wydawało pewne pozycje w językach obcych — angielskim, francuskim i niemieckim — a tym samym nawiązywało bezpośredni dialog z niewłaściwymi, czy tendencyjnymi stanowiskami nauki niemieckiej. Ta tradycja jest w pewnym stopniu podtrzymywana przez nasze wydziały: Wydziały I i II dokonały wysiłku, żeby opublikować niektóre pozycje w językach obcych, np. „Acta Biologica et Medica”, które w ten sposób trafiły na europejski rynek naukowy. Właśnie dzięki GTN polska szkoła prymatologiczna mogła zaprezentować się zagranicy poprzez obcojęzyczne publikacje. Przypomnę tylko przy okazji, że twórca polskiej szkoły prymatologicznej, prof. Reicher, otrzymał dzięki staraniom Zarządu GTN państwową nagrodę naukową w 1971 roku. Musimy zatem większą uwagę zwrócić na publikowanie rozmaitych prac w językach obcych, gdyż zdajemy sobie sprawę z małej popularności języka polskiego w świecie. W tej chwili nie wystarczają już dwujęzyczne podpisy pod dokumentacją np. w serii „Gdańsk wczesnośredniowieczny” i zamieszczanie krótszych lub dłuższych resumé. Niektóre pozycje muszą być w całości wydawane w językach obcych, zwłaszcza że dzięki pomocy Biblioteki Gdańskiej PAN nasze wydawnictwa docierają na rynki obce. Potrzebny jest oczywiście ten optymalny program GTN, o którym mówił prof. Myśliwiec, ściśle powiązany z polityką wydawniczą. Jeśli zaś chodzi o naszą współpracę z władzami regionalnymi, to na przykład Wojewódzka Rada Narodowa na pewno poprze każdą naszą inicjatywę, która będzie zmierzala do wydania podstawowych, monumentalnych dzieł w poważnym stopniu decydujących o organizacji szeregu dziedzin naszej gospodarki czy kultury. Wyrazem tego może być wstępne poparcie udzielone inicjatywie opracowania monografii Żuław. Nie taję, że liczymy na pewne kredyty. Podkreślam przy tej okazji, że nasze Towarzystwo reprezentuje najtańszy nurt nauki: nikt nie zliczy godzin poświęconych przez naukowców pracy w Towarzystwie, zabiegów przewodniczących naszych komisji i komitetów redakcyjnych — całej tej działalności spełniającej społecznie. I dlatego ten społeczny nurt nauki domaga się szczególnego poparcia.

ROBERT SZEWAŁSKI: Tradycyjny model naszego Towarzystwa uległ znacznym przemianom. Jak będziemy realizować nasze cele, to będzie wynikać z potrzeb, a także z tych uchwał, które zapadną w najbliższym czasie przy sposobności formułowania podstaw działalności wielkich regionalnych towarzystw naukowych w Polsce. Myśmymy w dyskusji starali się uzasadnić ten ogólny pogląd na potrzebę działania towarzystw naukowych w ogóle, a szczególnie naszego Gdańskiego Towarzystwa Naukowego. Rozpatrzyliśmy też najważniejsze kierunki pracy. Chciałbym zakończyć swoją wypowiedź słowami, które wypowiedziałem podczas uro-

czystego otwarcia tego gmachu — naszej nowej siedziby: „Przyjmując ten gmach z wielką wdzięcznością dla władz ziemie gdańskiej i dla całego społeczeństwa naszego regionu, chcielibyśmy w naszej codziennej pracy, która będzie w tym gmachu się rozwijać, naszą wszechstronną działalnością i inicjatywą naukową spłacać każdego dnia dług wdzięczności, jaki zaciągamy wobec społeczeństwa, wchodząc dzisiaj w mury tego gmachu”.

TADEUSZ BOLDUAN: Dziękuję Panom Profesorom za udział w dyskusji. Była to dyskusja chyba bardzo owocna, gdyż daje ona

Fryderyk Pautsch

Górek Wschodnich wyjście na szeroki świat

Górki Wschodnie, niewielka wioska nadwiślańska usadowiona w okolicy dwunastego kilometra rzeki, licząc od Gdańska, przez setki lat pędziła żywot spokojny, nie zauważona przez historię, nie wciągnięta w wir większych wydarzeń. Mieszkańcy jej biernie przypatrywali się szkutom ładowym zbożem i polskim flisakom przepływającym obok nich do Gdańska głównym wówczas nurtem rzeki. Byli też niemymi świadkami stopniowego obumierania pod zaborem pruskim tej żeglugi, świadczące o związkach handlowych zaplecza polskiego z Gdańskiem.

Ale nastąpiło dramatyczne wydarzenie, które Górki Wschodnie wyrwało z wieloletniego zastoju. Stało się to pewnej burzliwej nocy zimowej roku 1840. Pod wsią wytworzył się jeden z owych groźnych zatorów lodowych, które wówczas stanowiły stałe powtarzające się zagrożenie Gdańska powodzią. Tym razem jednak spiętrzone masy lodowe wywarły inny skutek. Pod ich naporem pękł wąski pas wydm oddzielających nurt rzeki od Zatoki Gdańskiej i zahamowane chwilowo przez lód masy wody runęły w tym kierunku, wywalczając sobie przejście do morza. Powstała wówczas nowa odnoga Wisły, słusznie zwana później z powodu swej energii działanią, Wisłą Śmiałą. Natomiast główne dotychczas koryto rzeki, wiodące do Gdańska, straciło impet; wody jego zamaryły w bezruchu i stały się Wisłą Martwą. Główne ujście znalazło się pod Górkami Wschodnimi i wówczas to przed wsią otworzyło się po raz pierwszy wyjście na świat, poprzez Zatokę i Bałtyk do mórz światowych. Górki Wschodnie stały się osadą rybaków morskich.

Górki Wschodnie weszły również do literatury polskiej. Zawdzięczają to Wincentemu Polowi, znakomitemu pisarzowi i geografowi zarazem, który upamiętnił chwile przełamania się rzeki na podstawie ustnej opowieści bezpośredniego świadka tych wydarzeń, rybaka z Górek Wschodnich właśnie, który znalazłszy się owej nocy w swej łodzi wśród przewalających się lodów i wód, został porwany przez prąd przebijający się ku morzu i omal nie przyplacił tego życiem.

Później zmyślni Prusacy raz jeszcze zmienił bieg rzeki, przekopując nowe ujście dalej na wschód, pod wsią Świbno, gdzie i dziś spływa główny nurt Wisły. Ale Wisła Śmiała, choć straciła na ogólnym znaczeniu, dla rybaków z Górek Wschodnich pozostała tym, czym była dotychczas — wyjściem na świat. Ale nastąpiło i drugie wyjście, tym razem inne, bo duchowej natury. Otworzyło się ono w następstwie powrotu po ostatniej wojnie

pogląd z jednej strony na ogólne problemy Gdańskiego Towarzystwa Naukowego, z drugiej zaś — orientuje w jego zamierzeniach na przyszłość. Uważam za ciekawy i godny kontynuowania ten integracyjny nurt badań, który zresztą w dzisiejszych czasach jest po prostu koniecznością. Na przykładzie integracji nauk Panowie wyraźnie uzmysłowili Czytelnikom, jak wciąż żywa pozostaje tradycja, jak bardzo spleta się ona ze współczesnymi zamierzeniami i działalnością. Wypada mi tylko życzyć wszystkim członkom Gdańskiego Towarzystwa Naukowego dalszych znakomych wyników w uprawie nauki polskiej. (Not. T. B.)

Gdańska wraz z Górkami Wschodnimi do Polski. To drugie wyjście objawiło się w postaci obecności w tej nadal niewielkiej wiosce aż dwóch poważnych instytucji naukowych: Stacji Ornitologicznej Instytutu Zoologicznego PAN i Stacji Biologicznej Uniwersytetu Gdańskiego. Tym sposobem Górki Wschodnie stały się swoistym ośrodkiem naukowym, gdzie procent pracowników naukowych w stosunku do pozostałej ludności jest chyba nie mniejszy, niż w wielkich miastach uniwersyteckich.

Historia drugiej z tych placówek, Stacji Biologicznej, łączy się ściśle z historią Gdańskiego Towarzystwa Naukowego. Stacja, podobnie jak przeszło sto lat temu Wisła Śmiała, musiała wywalczyć sobie okno na świat. Wisła w tym celu posłużyła się naporem lodów i wód, w świecie nauki natomiast podstawowym środkiem dokonywania przełomów jest obok myśli twórczej, możliwość uzyskania środków finansowych — dotacji i subwencji uczelni, resortów i Akademii Nauk. Związek Stacji Biologicznej w obecnej formie powstał w r. 1955 na gruzach (dosłownie i w przenośni) podobnej w założeniu placówki, której inicjatorem był jeszcze w latach czterdziestych profesor AMG, Jerzy Morzycki. Jego przedwczesna śmierć spowodowała jednak całkowitą ruinę ówczesnej stacji. Trzeba było zacząć od nowa. W nowej wersji z r. 1955 Stacja Biologiczna była czymś w rodzaju filii Zakładu Biologii Akademii Medycznej w Gdańsku. Jej pierwotnym celem było umożliwienie zespołowi tego zakładu prac doświadczalnych na świeżym, żywym materiale zwierzęcym morskim. Rychło jednak okazało się, że taki dostęp do morza jest potrzebny biologom nie tylko AMG. Nie było bowiem (i nie ma dotąd) na polskim wybrzeżu żadnej innej placówki naukowej, która umożliwiłaby badania nad biologią organizmów morskich również naukowcom z głębi lądu, przyjeżdżającym tu jako goście, by dokonać swych obserwacji. Jest to rodzaj zapotrzebowania społecznego, które we wszystkich innych państwach nadmorskich Europy (może z wyjątkiem Albanii) zaspokajane jest przez sieć odpowiednich laboratoriów. Należy bowiem wiedzieć, że wiele nowszych odkryć biologicznych o ogólniejszym znaczeniu zostało dokonanych na podstawie doświadczeń na zwierzętach morskich, które stanowią szczególnie wartościowy materiał dla takich badań.

Temu stale roszszerzającemu się zakresowi wymagań, stawianych stacji, nie mogły podołać stosunkowo skromne fundusze przyznawane przez macierzystą uczelnię — Akademię Medyczną. Ta bowiem miała i nadal

ma do wypełnienia inne podstawowe zadania: nauczanie studentów medycyny i farmacji, leczenie chorych, prace badawcze w dziedzinach ściśle związanych z wiedzą lekarską. Dlatego mimo najlepszej woli nie mogła finansować w sposób wystarczający badań związanych raczej z biologią morza i wód słonawych.

Tak więc już w drugim roku istnienia stacja stała w obliczu poważnych trudności. Ratunek przyszedł ze strony Wydziału Nauk Biologicznych i Medycznych Gdańskiego Towarzystwa Naukowego. W owych czasach bowiem GTN mogło finansować prace badawcze o znaczeniu regionalnym. W ramach wymienionego Wydziału GTN utworzono wówczas Komisję dla Spraw Stacji w Górkach Wschodnich, która kierowała pracą naukową tej placówki, decydując jednocześnie o przyznawaniu jej odpowiednich subwencji. Dzięki tej pomocy, hojnej jeśli wziąć pod uwagę skromne wymiary budżetu całego GTN, w stacji wykonano pierwsze poważniejsze prace naukowe. Odnosiły się one do biologii osobliwego kraba o łacińskiej nazwie *Rhithropanopeus harrisi*, który będąc zasadniczo pochodzenia amerykańskiego, przedostał się stopniowo do wielu wód przybrzeżnych Europy. Do nas został zawleczony w czasie II wojny światowej, po zakończeniu której okazało się, że zdążył już rozmnożyć się masowo w Martwej Wiśle i Zalewie Wiślanym. Krab *Rhithropanopeus* może rozwijać się tylko w wodach słonawych; w bardziej zasolonej wodzie oceanicznej na stałe żyć nie może. Skorupiak ten jest obecnie prawie jedy- nym, spośród całej grupy krabów, stałym mieszkańcem naszych wód. Jadalny dla ludzi nie jest, lecz mimo to odgrywa rolę pożyteczną. Węgorze bowiem wkrótce przyzwyczaiły się używać go jako pokarmu i krab stał się składnikiem stałego pożywienia tych ryb w Martwej Wiśle i Zalewie Wiślanym.

Po mniej więcej sześciu latach GTN z różnych powodów musiało zaprzestać dalszego finansowania Górek Wschodnich. Jednak stacja wówczas zyskała już pewną renomę, również w skali międzynarodowej, i rozszerzając stopniowo swój zakres badawczy — stała się jedną z placówek naukowych oddających się badaniom biologii wód słonawych. Ponieważ zaś cały Bałtyk, ściśle biorąc, jest morzem słonawym, Górki Wschodnie zaczęły wnet współpracować z morskimi stacjami biologicznymi innych państw nadbałtyckich. Co więcej okazało się, że współpraca taka ważna jest nie tylko dla Górek Wschodnich. Warunki życia w Bałtyku bowiem są bardzo różne w poszczególnych rejonach, głównie ze względu na malejące w kierunku od cieśnin duńskich do Zatoki Botnickiej i Fińskiej zasolenie. Żeby więc zrozumieć biologię całego tego zbiornika wodnego, trzeba ustawić nie porównywać i konfrontować ze sobą obserwacje, czynione w poszczególnych jego częściach. Luźna początkowo współpraca międzynarodowa biologów bałtyckich przybrała pewne formy organizacyjne: w r. 1968 powstał Komitet Biologów Bałtyckich, organizujący regularnie w odstępach trzyletnich, bałtyckie sympozja biologiczne. Wśród instytucji-założycieli tej organizacji nie zabrakło i Górek Wschodnich. Działalność komitetu, jako organizacji międzynarodowej, nabrała szczególnego znaczenia w ostatnich latach, kiedy pojawiła się potencjalna groźba uśmiercenia Bałtyku przez zanieczyszczenie go działalnością ludności krajów z tym morzem sąsiadujących.

Groźba ta da się zwalczyć tylko drogą współpracy międzynarodowej, gdyż trucizny wpuszczane do morza w tym czy innym państwie nie znają żadnej dyscypliny. Nie istnieją dla nich granice polityczne, zakres wód terytorialnych ich nie obchodzi. Wypuszczone na wybrzeżu, często swe prawdziwe oblicze objawiają całkiem gdzie indziej, np. na większych głębokościach środkowego Bałtyku.

Stacja w Górkach Wschodnich właśnie w ostatnich czasach mogła zarejestrować istotny sukces w walce o czystość wód bałtyckich. Głównie dzięki badaniom tu wykona-



(FOT. WŁODZIMIERZ NIEŻYWIŃSKI)

nym udało się nie dopuścić do tego, by wrzucano do Zatoki Gdańskiej fosfogips, produkt odpadowy Gdańskich Zakładów Nawozów Fosforowych. Udowodniono bowiem, że regularne zrzuć tej substancji doprowadziły by do uśmiercenia wszystkich żywych organizmów roślinnych i zwierzęcych bytujących obecnie w Zatoce. Jest to niewątpliwie sukces, ale nie należy przeceniać jego znaczenia, gdyż po zniesieniu groźby fosfogipsu, natychmiast pojawiły się inne zmary, czyhające na życie naszych wód i spędzające sen z oczu biologów. Trzeba więc walczyć dalej i na pewno w szeregach obrońców również i w przyszłości nie zabraknie Górek Wschodnich.

Stacja Biologiczna bowiem zdążyła tymczasem okrzepnąć i nic nie stoi na przeszkodzie jej dalszemu rozwojowi. Po utworzeniu Uniwersytetu Gdańskiego weszła w skład Wydziału Biologii i Nauk o Ziemi tej uczelni, której szlachetną ambicją jest możliwie wszechstronne włączenie się do współczesnych badań morskich. Górki Wschodnie obecnie mają zapewniony byt materialny. Rośnie zaopatrzenie w aparaturę badawczą i tabor jednostek pływających, zwiększa się personel naukowy i pomocniczy. Prócz krajowych, coraz częściej goszczą tu naukowcy z innych krajów, głównie socjalistycznych, ale też i zachodnich, z NRF i USA. Obok pracy badawczej rozwija się działalność dydaktyczna. Prócz wakacyjnych kursów biologii morza dla wybranych studentów wszystkich uniwersytetów polskich, w Górkach Wschodnich przechodzą część przeszkolenia również adepci biologii morza, wychowankowie Uniwersytetu Gdańskiego.

A więc teraźniejszość zadowalająca, perspektywy na przyszłość jeszcze lepsze. Nie osiągnięto by jednak tego wszystkiego, gdyby w dniach krytycznych, groźących likwidacją stacji, nie było pomocy ze strony Gdańskiego Towarzystwa Naukowego, która pozwoliła przetrwać najgorsze. Jest to chyba nie ostatnia zasługa tego towarzystwa, warta przypomnienia z okazji jego jubileuszu.

Tak więc ujawnia się osobliwy związek między rozwojem wsi rybackiej a towarzystwem naukowym. W tym, co nazwałbym drugim z kolei wyjściem na świat Górek Wschodnich, GTN odegrało rolę ważną, jeśli

nie decydującą. Związek to chyba prawidłowy — stowarzyszeni naukowcy wyciągają na światło dzienne nieznane dotąd walory naukowo-badawcze swego regionu.

Andrzej Zbierski

Rzemiosło w Gdańsku X-XIII wieku

W dobie nam współczesnej o pełnym rozwoju życia decyduje przede wszystkim faktyczny wzrost badań naukowych i techniki. Jednocześnie trzeba dokonywać nieustannej syntezy dorobku ludzkiego z całej jego przeszłości. Staje się to coraz trudniejsze. Wymaga bowiem nie tylko zupełnie nowych kwalifikacji badaczy działających na pograniczu szeregu nauk ale także nowych odkryć, a jednocześnie coraz doskonalszej analizy historycznej, socjologicznej, technicznej, ekonomicznej i kulturowej. Trud badań czy przeszłości i ich odpowiedzialność są coraz większe, a wyniki muszą być coraz pełniejsze, pogłębione oraz podawane społeczeństwu systematycznie i możliwie szybko.

Rozwijając po wojnie potężną bazę przemysłową, nie zapominamy o twórczych tradycjach rzemiosła, które kładło podwaliny pod nowożytną produkcję manufakturową i przemysł fabryczny. Mimo stałego wzrostu współczesnej bazy przemysłowej wiemy doskonale, choćby ze spraw codziennych, jak wielką rolę społeczną i ekonomiczną odgrywają rzemiosła usługowe dla społeczeństwa, tworząc także częściowo zaplecze dla produkcji przemysłowej i budowlanej. Współczesne rzemiosła artystyczne, dostarczając nowych wzorów, starają się sięgać do pięknych tradycji, czerpiąc szereg wartości nawet z najdawniejszej przeszłości.

Kiedy około 980 roku rozpoczęto budowę Gdańska, znajdował się on wraz z całym Pomorzem w granicach pierwszego, historycznego państwa polskiego. Struktura ekono-

miczna i organizacyjna społeczeństwa pomorskiego była na tyle ukształtowana, że mógł powstać Gdańsk oraz inne grody państwowe, osady targowe i służebne (częściowo z rzemieślnikami), ośrodki życia wczesnomiejskiego, które stanowiły grody wraz z podgrodziami rzemieślniczo-handlowymi oraz uniwersalne porty.

Gdańsk, jak wykazały badania kompleksowe Pracowni Archeologicznej IHKM PAN, był od początków potężną twierdzą portową, głównym ośrodkiem życia gospodarczego i kulturalnego na Pomorzu Gdańskim, siedzibą władzy słowiańskich książąt pomorskich oraz namiestników książąt i królów polskich. W X—XIII wieku następowała stopniowa urbanizacja Pomorza, zwłaszcza w głównym jego ośrodku, jakim był Gdańsk, oraz w dużych ośrodkach książęcych, od XII wieku także kasztelańskich (m. in. Tczew, Puck, Świecie, Chmielno, Lubiszewo, czy Gorzudziej). Bardzo ważnym i podstawowym czynnikiem urbanizacyjnym było stale rozwijające się rzemiosło, jego postępująca koncentracja i specjalizacja, która wyłaniała się spośród rzemiosł istniejących już od starożytności (głównie rzemiosła związane z obróbką metali), bądź z rękodzieł domowych (tzw. przemysłu domowego). Następowala coraz większa i postępową rolę rzemiosła w rozwoju gospodarki towarowo-pieniężnej oraz stosunków społecznych i kulturalnych. Tym niemniej „stukot warsztatów rzemieślniczych” na obszarze ziem polskich nie dotarł do pisarzy wczesnego średniowiecza i nie został utrwalony na kartach dokumentów i kronik. Trzeba było czekać do połowy XII wieku, aby arabski uczony Al-Idrisi po raz pierwszy wspomniął o kilku miastach polskich, w których „rzemieślnicy (...) są zręczni i obznajomieni ze swymi zawodami” oraz że miasta te „zażywają (...) szacunku, ponieważ przebywają w nich uczeni wykształceni w dziedzinach nauk i religii rumijskiej (łacińskiej)”. Zakrojone na skalę dotąd niespotykaną badania archeologiczne w Polsce rozpoczęto w latach 1947–1948. Przyniosły one nadsziewane rezultaty. Dzięki pracom archeologów, same „dzieła dostatecznie chwałą mistrzów” szeregu wyspecjalizowanych rzemiosł. Gdańskie materiały archeologiczne do dziejów rzemiosła z X—XIV wieku są różnorodne i stosunkowo bogate. Nie pozwalają one jednakże ujawnić wszystkich możliwości technicznych i artystycznych ówczesnych specjalistów. Zwłaszcza przedmioty większe i droższe, wykonane niejednokrotnie z metali szlachetnych — srebra i złota — nie dochowały się do naszych czasów. Były to wytwory rzemiosła artystycznego, używane na dworach książęcych i możnowładczych świeckich i duchownych, a od połowy XIII wieku zaczęły się pojawiać w niektórych domach partycypatu miejskiego. Przedmioty te przedstawiały zbyt dużą wartość artystyczną i materialną, aby mogły się w większej liczbie zachować do naszych czasów. Przez wszystkie minione wieki nabyt często kataklizmy wojen i związane z nimi rabunki oraz pożary, niszczyły zazwyczaj to, co było najcenniejsze.

Rachunek prawdopodobieństwa zastosowany do archeologii wykazuje jednoznacznie, że największe możliwości przetrwania do naszych czasów mają przede wszystkim drobne przedmioty, które były najczęściej zagubione lub też wskutek zużycia, względnie częściowego uszkodzenia, po prostu wyrzucone. Część z nich była natomiast celowo ukryta — są to zazwyczaj monety i ozdoby srebrne.

Na początki dziejów rzemiosła gdańskiego spoglądamy dzisiaj nie tylko przez pryzmat szczególnie bogatych materiałów archeologicznych, ale również przez informacje zawarte w źródłach pisanych XIII i XIV stulecia. Pośrednie dane o istnieniu rzemiosła dostarczają także wcześniejsze źródła pisane z X—XII wieku, które jednakże dopiero po zestawieniu z całością materiałów archeologicznych nabierają nowych wartości i stwarzają bardzo interesujące i nowe moż-

liwości interpretacyjne. Także materiały źródłowe, traktowane porównawczo, z innych ośrodków wczesnomiejskich pozwalają częściowo uzupełnić wykaz rzemiosł, które budowały Gdańsk wczesnośredniowieczny, rozwijały jego bogatą historię oraz stanowiły o dynamice jego handlu lokalnego i dalekosiężnego.

W okresie od X—XIV wieku na terenie Gdańska i Pomorza Gdańskiego rozwinęły się i pracowały następujące rzemiosła: hutnictwo i kowalstwo żelazne, ślusarstwo i kowalstwo artystyczne, kowalstwo broni-grotnicy (wyrób grotnów do strzał łuków i bełtów kusz oraz grotnów oszczepów), szczytnicy (wyrób tarcz), szlornicy (wytwórczość hełmów), prawdopodobnie miecznicy (wyrób mieczy). Bardzo dawnym rzemiosłem było złotnictwo wraz z odlewnictwem i kowalstwem metali nieżelaznych. Ciesielstwo związane było głównie z monumentalnymi budowlami drewnianymi (budowa nabrzeży portowych, mostów, świątyń, dworów feudalnych). Ogrodnicy wymieniani w źródłach pisanych dla terenów Wielkopolski i Małopolski zajmowali się budową potężnych umocnień obronnych drewniano-ziemno-kamiennych. Rzemiosłem wymagającym wysokich kwalifikacji była budowa dużych łodzi, statków wiosłowo-żaglowych oraz okrętów i promów. Zajmowało się tym szkutnictwo, zwane także przez niektórych badaczy korabnictwem. Istniało kołodziejstwo, bednarstwo (budowa dużych kadzi i beczek), łagiewnictwo (wyrób mniejszych naczyń klepkowych), tokarstwo. Z produkcją tkanin związane było włókiennictwo, a zwłaszcza tkactwo sukienne, folusznictwo, farbiarstwo, postrzygactwo sukna. Można przypuszczać, że w XII lub XIII wieku wykształciło się krawiectwo. Z obróbką skóry były związane: garbarstwo, rymarstwo, siodlarstwo, a przede wszystkim szewstwo. Duże znaczenie miało rogownictwo i bursztynnictwo oraz szklarstwo. Garncarstwo rozpoczynało swoją produkcję od naczyń glinianych, produkując także ozdobne płytki ceramiczne oraz od przełomu XII i XIII wieku wytwarzając cegły i dachówki, a prawdopodobnie od XIV wieku także rury. Kamieniarstwo było związane z budową świątyń i zamków (początkowo zapewne palatium książęcych), a następnie na przełomie XIII i XIV wieku także z budową fortyfikacji. Bezpośrednio z dworem książęcym było związane mennictwo, które wytwarzało głównie monety, ale także tłoki pieczętnicze. Odrębną grupę stanowiły kształtujące się na przełomie XII i XIII wieku rzemiosła spożywcze, a wśród nich młynarstwo, browarnictwo, piekarnictwo, rzeźnictwo, rybactwo oraz rybołówstwo. Powstał także w X—XI wieku zawód karczmarza, który prowadził taberny średniowieczne. Ważnymi rzemiosłami związanymi z szeregiem innych były: smolarstwo, a zwłaszcza węgielnictwo, które dostarczało węgla drzewnego początkowo dla hutnictwa, kowalstwa i odlewnictwa. Należy uwzględnić również miernictwo, które zwłaszcza na początku było związane głównie z monumentalnym budownictwem drewnianym oraz budownictwem kamiennym i ceglany.

Artykuł traktujemy jako pierwszy i wprowadzający do całego cyklu, który będziemy się starali realizować stopniowo. W ostatnim artykule, dotyczącym rzemiosła wczesnośredniowiecznego, zostanie zamieszczona bibliografia uwzględniająca zarówno publikacje naukowe jak i popularnonaukowe. W naszych artykułach będziemy się także starali zwrócić uwagę, wbrew dawnej a częściowo także i współczesnej historiografii (zob. np. praca K. Buczka, Targi i miasta na prawie polskim, Wrocław 1964), że początków rzemiosła na Pomorzu Gdańskim należy się dopatrywać już w okresie starożytnym. Jednocześnie czujemy się w obowiązku przypomnieć naszemu współczesnemu rzemiosłu gdańskiemu i pomorskiemu jego najdawniejsze tradycje, które były kształtowane, pielęgnowane i przekazywane przez bezimiennych mistrzów należących do wielu pokoleń słowiańskich mieszkańców. ■

Jan Drzeżdżon

Szklane Oczy

Twój pokój był niedomknięty. Zastałem w nim matkę twoją, która wybierała się na nabożeństwo żałobne. Dała mi garść poziomek z twojego koszyka, mówiąc że są słodkie i niedawno rosły w lesie. Stałem więc przy oknie z poziomkami w ręku obserwując mimo woli ludzi, którzy nie zwracali na mnie żadnej uwagi. Matka już wyszła na nabożeństwo i w pokoju nikogo nie było. Umyślnie otworzyłem drzwi by obserwować twoją białą drogę. Rozpoznałem jej więc po imieniu, tylko jedną poziomkę po drugiej wysyłałem na zwiady aż horyzont zacerwieńił się tak, jakby spłonął krwią z czyjegoś przetrzętego gardła.

Znów przyszła matka, która wydała mi się zupełnie obcą kobietą. Zaczęła przepędzać stada świni przez środek naszego pokoju. Potem wyszła na drogę i całowała gołębie w locie. Wzdymała się jej czarna chusta, jak balon, albo jak skrzydła jastrzębia. Nagle ją rozdrapywał twoją białą drogę swoimi zakrzywionymi ze starości pazurami.

Co ona tam robi? — szepłali ludzie w mieście. Słońce zaszło i wtedy ukazała się na końcu drogi. Matka tymczasem wydobywała kogós za włosy i uszy aż grzmiało wszędzie, nawet gwiazdy spadały jedna po drugiej łup. To był twój ojciec.

Miłość jest moim przeznaczeniem wrzasała matce prosto w ucho i zaczął zbierać gwiazdy do torby, którą miał przewieszoną przez plecy.

Co robisz z tą torbą? spytała matka. Jednemu psi uśmiech, drugiemu złote serce mrucał ojciec i gładził główki martwych dzieci, które rzędem siedziały na cmentarzu. W tym samym czasie dwaj posłańcy z roześmianymi twarzami przynieśli mi twój welon, którego końce ociekały krwią. Idziemy prosto z rzeźni informowali wśród wyblaskujących ze szczęścia zębów, posłańcy. Aha odrzekłem i oddałem welon mieszkańcom miasta, którzy mówili, że to jest wszystko nieprawda, ojciec nie ma nic wspólnego z miłością a to co zbiera na polu, to po prostu są kamienie. Wypędzić go z tego pola wrzasnęli mieszkańcy miasta i było już im wszystko jedno skoro droga, po której szła rozpoczęła swą wieczną pielgrzymkę wśród sadów wiśniowych. Ślad twojego uśmiechu, który pozostał nad rzeką lud ometał legendę o ustach synich jak chłodne świecenie lilii jesiennych, nad wodą. Zbierałem te usta do koszyka i nad wodą i wokół twojego domu aż owionął mnie zapach twojego ciała, jak gdyby rzeka złożyła wilgotny pocałunek na mojej szyi. Mogłaś wstać wówczas na brzegu. Siedziałem obok ciebie do wieczora lecz ty wolałaś śmierć, którą ci zadawała wciąż od nowa zorza wieczorna. A to, że

przywiodłem ci konia ze złotym siodłem nie miało dla ciebie żadnego znaczenia. Wołałaś siwki jabłkowite, które wpędzałaś po kolei do wody. Nie zważałaś na to, że będą miały mokre grzywy aż ja zostanę ochrzczony ojcowską ręką boleśnie, boleśnie, boleśnie. Kiedy rozpoczął się twój powrót do domu nacisnąłem spust i wybuchła bomba, która rozerwała świat na strzępki. Matka przyniosła mi w darze cały las ociekający miodem i napełniony po brzegi rykami zwierząt dzikich. Zapytałem gdzie się podziła twoja chusta, którą powiesiłaś na dębie. Nikt nie wiedział. Ojciec mówił, że się takimi sprawami nie zajmuję za co ludzie w mieście nazywali go kłamcą i zdrajcą.

Jakiś nieznajomy zaczął stuknąć do twoich drzwi. Miał długie szklane palce i zęby mu grzechotały w kieszeni. Chciał się koniecznie z tobą widzieć. Mówiła, że cię zna. Dałem mu konia aby jechał do miasta porozmawiać z burmistrzem. Mógł zresztą równie dobrze jechać na cmentarz nabierać suchych liści do torby, którą miał na plecach. Rozłożyłem na twym stole wianki liliowe, wypożyczone na czas naszego spotkania od śmieciarza.

Tylko niech mi pan na czas odda — rzekł śmieciarz.

Tak, tak odparłem. Nie mam zamiaru ich tu długo trzymać i tak zwiedły. Pan wie najlepiej — dodał śmieciarz bez entuzjazmu, który mu zwykle bił z oczu każdego ranka.

Co z tą miłością zapytał ojciec wynurzający się z nadmorskich piasków? Chciałaś być z pewnością zapytać ptaków w locie, kto został wczoraj prezydentem. Idź więc na szlaki północne i zapal lampę, którą ci wczoraj podarowałem na urodziny. Zaproszeni goście myśleli, że to nie jest lampa. Pokazywali na ten twój prezent urodzinowy i mówili to nie jest lampa. Śmiałem się z nich i ty też, i ty też. Każdy mówił idziemy na białą drogę, żeby zobaczyć lampę Edwar-da. Nie ma białej drogi ludzkowie, nie ma, nie ma, jest tylko moja torba z gwiazdami, którą mogę wam sprzedać za dwa złote, tylko zachowajcie milczenie w sprawie lotu dzikich gęsi ponieważ Matylda poszła je paść przy zielonym świetle lampy na ugorze, na ugorze. Nakarmiła wilki poziomkami słodkimi i została sama jedna — jaki smutny los.

Nie miałem zamiaru rozpraszać ci tego światła ani też w domu nie zostawiłem żadnej wiadomości, a mimo tego rozpoczęłaś walkę z moim cieniem na północnym szlaku gdzie dzikie ptactwo przelatywało. Rozsądne było twoje wniebowstąpienie. Nie myśl, że tylko ja wiem jaka to komedia. Dlaczego, lampa, którą trzymasz w ręku przestała świecić? Dlaczego nie było cię w twoim pokoju gdy przyszedłem? Przyniosłem ci kwiaty na urodziny i jako gość twój życzę sobie abyś miała suknię liliową.

Widzę, że nikogo więcej nie zaprosiłaś. Jak chcesz obchodzić te swoje pierwsze urodziny? Może pszenney placek albo słodkie winogrona. Kiedy rozkroisz placek miasto wzniebie okrzyk szczęścia pełnego na tę cześć, że żyjesz a blaszani bogowie rozpoczną lament, że tak daleko od naszej uczty i takie mosiężne mają czoła. Wezmiesz ich może za rękę i oprowadzisz po świecie pokazując drogę białą i miasto. Wezmą cię potem na ramiona i przybiją do krzyża zataczając się ze śmiechu i radości wielkiej. Zmuszą cię abyś mi podarowała pas skrawiony pełen diamentów i nocnej urokliwej ciszy. To dziwne, że na biesiadę musisz zapraszać zawsze gości. Przycho-dzą zwykle z głowami w torbach a ty udajesz, że ta maskarada jest w programie naszego uroczystego dnia. Nie zaprzeczaj, wczoraj całe miasto ryło z uciechy gdy rozlałaś kroplę wina na swoją jedwabną suknię. Jak tam z miłością spytał ojciec i pożeglował pomiędzy bałwanami, które księżyc wciąż od nowa strącał z nieba. Matka otrzymała w podarunku korale od swoich córek, które szczęśliwie wyszły za mąż. Potem naniósł całe naręcza złotych grzywaczy morskich aby zamaskować dziurę, którą ona na drodze wydrapała. Suknie miały w kwiaty a włosy pobielone szronem.

Czy myślałaś, że mnie spotkasz na tym balu? Czy myślałaś, że mnie spotkasz na tym balu. Białe brzozy całowały ręce twoje szepcząc nie masz muzykantów Matyldo, będziemy szumieć przez całe twoje święto. Przyniosłem tobie buty skórzane, wyłożone oddechem lilii wodnych ponieważ widziałem, że idziesz boso. Zobacz czy są dobre, włóż je na swoje zmęczone stopy. Zawiążę ci wysoko aż do kolan będziesz mogła wsiąść na konia, wybierzesz sobie jednego z mojego stada. Będziesz mogła przyjeżdżać w nocy po złote jabłko do naszych rozległych sadów. Pozwól niech jedno włożę do twojej dłoni. Ożywił się swoim dotykiem bo jest zimne i martwe. Usiądź na ławie, wyciosałem ją sam, tymi oto rękami patrz jakie są spracowane. Nawet narzędzi nie zdążyłem ułożyć, tam leży dużo wyszczerbione. Brak tylko stołu ale my będziemy siedzieć obok jak posągi wpatrzone w swoje gliniane ręce. Będziemy szaleć w złotym sadzie na wiosnę i na jesień. Będę cię sadzał wciąż od nowa na tej ławie kamienną, jaką na tronie szarym zanurzonym w mgłę. A potem porozwieszam suknie twoje po drzewach w obawie przed końcem świata. Będziesz się do mnie śmiać z każdego wierzchołka jak czarownica, która lubi młodych kochanków. Zestarzejesz się. Zestarzejesz się! Owine tobie szyję tym brzożowym łzawym śpiewem bo to jesień panie dzieju. Rozproszymy się potem po świecie ty za górą, ja za lasem i będziemy ślać posłańców na koniach aby przynosili wieści rychło.

Myślę, że jesteś dobrym posagiem, nie masz oczu ani sukni nawet, powstałaś z niczego, a prawdę mówiąc z moich myśli. Siedzisz jak wampir na tej ławie z kamienia i czekasz. Na kogo czekasz? Gdybyś choć miała w dłoni zaciśniętą jedną konwalię uwierzyłbym, że należysz do naszego świata ale ty prowadzisz tajemne rozmowy z żebrakami na ulicy. Zobacz jak białe sad zakwitł dziś rano. Powiedz matce, że to wesele biedaków takie huczne i z przytupem. Weź Matyldo, jabłko złote, możesz je ugryźć swoimi zębami wyciosanymi ze skały urwistej. A gdy wytryśniesz z twej szyi białej wodospad łez ku górze, ku górze, będą cię w mieście zęgnąć lewą nogą. A bodaj się diachli. Zawołał mierniczego na ratunek i dopiero on wybił numer na twych plecach. Będzie w tym celu używał dłuta i młota a ty będziesz wyć w niebogłosy. Będziesz musiała gościć panny, które wyjdą z kapieli a ja przyniosę im wszystkim buty.

Dziwisz się, że jeszcze tu jestem. Ależ tak moja droga co zrobić, mam pełen plecak tych butów, najpiękniejsze dałem tobie i teraz możesz jechać na koniu. Obrus, który przynieśli ludzie z miasta jest w kwiatki. O tak Matyldo, nie zaprzeczaj jesteś przecież ślepa.

Szła Marianna za Marianną ponad brzozi-ami, ponad morzem. A nasze wesele wydaje się przy tym bardzo skromne. Jemy orzeszki na śniadanie a wieczorem zdroje miodu ponad lasem, ponad borem. Rozmawiamy z panem prezydentem na temat białych owiec, które się na łące pasą. Jedną z nich mówię, że ma na imię Zofia. Ależ tak, niech ma! Wyłożyła na obrus swoje szklane oczy i proponuje abyśmy grali w kregle.

Znow siedzisz na ławie tej kamienną Matyldo, a ja hołubce wywijam razem z pszczołami wśród wiśni niedojrzałych. Jak możesz tak trwać nieruchomo, niby zjawa zaklęta na środku śpiącego jeziora. Dlaczego nie gasisz pożarów, które się tu odbywają w nocy? Tylko suche liście mijają cię jednostajnie, jesienią i wiosną i znow jesienią i wiosną. Może cię wykułem niechcący razem z ławą zapominając naznaczyć ci głosem jakimkolwiek. A może tu jesteś od początku świata. Przeganiaś dzikie gęsi w różne strony a potem prowadzisz długie rozmowy w lesie brzożowym ze swoimi kochankami. Każdy z nich ma na szyi łańcuch, którym ty dzwonisz na Anioł Pański. Wybiegają wówczas z rozszerzonymi nozdrzami wprost do piekła gdzie znow ich witasz swym gajem brzożowym, wyhodowanym u matki za pie-

cem. Masz koszulę w strzępach wrzeszczą mieszkańcy miasta na pół obłąkami i bardzo gorliwie zbierają porzucone wśród brzoź łańcuchy.

Kiedy wykuwałem twoje oczy wydawało mi się, że walczę z tęczami nad jeziorem. Nie było jeszcze twoich ust, nie było jeszcze twoich ramion a ja tańczyłem wśród obłoków walca z wielkim pośpiechem i zafasowaniem. Łapałem panów profesorów w locie i plulem w ich mózgi parszywe. Nie było jeszcze u ciebie wtedy ust ani ramion, byłaś bryłą kamienia, którą mieszkańcy miasta oblewali winem czerwonym. Rozpoczęła się modlitwa żarliwa abyś nam rzuciła okruszynę chleba, abyś się tak głośno nie śmiała w nocy. Nie jestem mistrzem rzekłem i odłożyłem dłuto na bok nie potrafię też modlić się do kamienia.

Pojedziemy może przez pole w bułanki dwa i nabędziesz nieco zieleni, a potem rozpoczniemy lot łabędzi, ty spętana skałą istnienia a ja pozbawiony ostróg, które mi wyrwano w locie. Nie mogę panu nic pomóc rzekł maszynista pociągu i odjechał gwiżdżąc zjadale i wściekle z uśmiechem szczęścia na twarzy. Wiem, że pan mi nie może nic pomóc wrzeszczałem w ślad za nim i śmiałem się równie głośno i donośnie. Pasażerowie zaczęli z pociągu wyskakiwać jak szaleni mówiąc na grzyby panie dzieju, na grzyby. Kobiety ustawiły się w czworobok i szły jak wojsko strzelając z armat i z karabinów. Musimy się Matyldo przed tym wszystkim obronić. Nabierałem chabrów z pola abyś mogła strzelać w razie nagłego niebezpieczeństwa. Sądziś z tego wszystkiego, że pewnie nie istnieją ciche wieczory nad jeziorem. Dlatego chcesz pozostać w kamieniu i mnie swojego budowniczego — twórcę przeklinasz za tę okruszynę chleba, którą ci przyniosłem w torbie. Nie możesz w mnie rzucać obelgami skoro załatwiłem twój pogrzeb wczoraj. Całe miasto wyległo na wzgórze aby cię opłakiwać i Piłat szedł z krzyżem pod pachą i krzychał niech żyje pan prezydent. Potem spełniali twojego kochanka i wrzucili do studni z okrzykiem hura. Nie mogę zapomnieć widoku jak wynurzasz się ze skały i podparta na swych miękkich dłoniach obserwujesz widnokrąg, który przed tobą rozłożyłem. Dotykasz tylko z lekka mchu swoimi stopami, jakby z popiołów wyblisły twoje ciepłe, drżące ciało.

Dłuto wypadło mi z ręki, oniemiałem a mieszkańcy miasta wyskoczyli ze swych łóżek, w których spali głęboko, jak rakiety ku twym horyzontom z chabrami. Należało ich łapać w locie siatką na motyle. Rozłożyłem ci pod nogi wszystkie głębiny morskie i uspokoiłem grzywacze. Gdybyś miała życzenie zostać na noc przynieśliśmy z miasta kozuchy. Przynieśliśmy też z miasta zbójów, którzy by cię napadli we śnie. Miałabyś wtedy poderżnięte gardło — ojoj jak wielki smutek. Niech płaczą Marianna i Marianna na rynku w nocy z żałości okrutnej, bo ta krew ścieka i ścieka po rękach miejscowego kaleki. Nie płaczą Marianno i Marianno w taki dzień uroczysty, świąteczny i obrus mamy i chleba trochę mamy i jeszcze dwóch wariatów łapie księżyc pomiędzy brzozi-ami.

Widzisz Matyldo twoi wszyscy kochankowie poszli już na emeryturę, rozmawiają z wnukami na odległość. Czasem idą do warsztatu mechanicznego w celu upiłowania zębów. Wyłysiali, spotworzyli a gdy mowa o tobie to spuszczają w dół głowy wstydlwie jak niewinne dziewczę. Proszę tak nas gorliwie nie liczyć rzekłem do szalejącego w wiśniowym sadzie prezydenta, jest nas tylko dwoje przy tym stole. Pan z pewnością chce nam ukraść winogrona.

Moja Matyldo, jestem twoim twórcą. Naznosiłem tyle oczu abyś mogła sobie jedno wybrać. Naznosiłem cieni pełno aby utkać z nich skrzydła skoro ci rąk zabraknie. Spodziewasz się z pewnością korałi, których niestety nie mam. Byłem u kowala w sprawie pancerza dla twego głosu, nie może się tak poniewierać prezydentowi pod nogami.

Zapalę świeczki na choince, dla ciebie. Możesz je najwyżej zgasić ale dopóki płonąć będzie las będziesz w tym świetle mnie kochała więcej niż ziemia, więcej niż morze albo jezioro. Przyniesiesz mi swoje ramiona w darze tak jak chłopci niosą snopy żyta z pola. Tymczasem po mieście zaczęły krążyć karawany zbierające kości ludzkie. Każdy z karawaniarzy miał worek do którego te kości kładł. Potem topili je w jeziorze, jak szczenięta. Powstał huk straszliwy bo choćby innego mogło powstać gdy topią kości.

Przyjechaliśmy Matyldo. To jest moja matka. Leżała całą wieczność na wierzchołku tęczy dlatego nie ma twarzy. Kiedy ją chrzczono wówczas po mieście chodzili nieznanymi osobnicy i wypytali kto to taki. Ale ja nie odpowiedziałem na to pytanie. Nie odpowiedziałem — słyszysz Matyldo! Ta kobieta nie ma twarzy i nikt o tym nie wie prócz mnie. Ukłonimy się jej i jedziemy dalej w karecie. Ty w bieli, ty w bieli — bez sukni, bez oczu, pozbawiona mojej obecności. A ja w górach z pannami na łące się przechadzam od strumienia do strumienia. Złote rybki zostaną rozstrzelone z armat podczas wojny. Pan jest kaleką, proszę iść do domu, proszę iść do domu, proszę iść do domu. Pan nie zazna miłości, nie, nie drogi panie chyba, że po wojnie, a pańska żona gotuje już groch z kapustą, zapach roznosi się po całym mieście. Patrz Matyldo jakże on ślady zostawia na tym białym piasku, jakby to szedł muł albo płaczący bóg. Miasto wita nas i jego z taką samą obojętnością. Usuwa ołamki skalne, które odpadły od twoich nóg i ust. Myślę pewnie, że to łyżka pana boga albo ich własne czerepy bez oczu, bez oczu. Mają łopaty i miotły mają. Tyle liści zwiedłych na drogach. Każdy z nich niesie odrobinę śpiewu letniego. Spadają na

staw z fontannami miodu, w których szelejesz ze swą suknią w kwiaty.

Przyszędem cię odwiedzić ponieważ sądzę, że cię wypuszczą dziś na dziedziniec. Kupię bilety do teatru, pójdziemy tam wieczorem. Zakryję ci twarz szalem i gdy rozpocznie się dziki bieg ojca ku gwiazdom zaczniemy spędzać nasze białe owce do zagrody. Temu damy liść kapusty, temu strzelimy armatą w głowę a tamtemu znów damy liść kapusty — niech ma. Będę pętać im nogi a ty strzyć będziesz to runo białe jak śnieg w górach. Lecz nikt nie przyniesie nam jagód, ani ty, ani ja. Musimy zostawić matkę na łożu boleści i ścigać ojca, który się tłucze po górach samotnie. Rozpoczniemy wesołe rozmnowy z jastrzębiami, które tu mieszkają.

I tak zostałaś Matyldo zdemaskowana. Nie znasz mnie przecież wcale, ani tego miasta nie znasz. Przyszedł tu z baśni, na ramionach bohatera, który cię wyniósł z zakłętego zamku. Nie znasz mnie przecież, mimo, że jestem twoim rzeźbiarzem. Najpiękniejszy kamień przyniosłem na tę łąkę, najzardziej echa leśne pozbierałem do torby. Widzisz ten sad pełen wariatów to moje gospodarstwo, hoduję tam konie a oni są u mnie na służbie. I karetę mamy i młyn mamy. Może jest lato, a może nie, może masz poziomki w koszyku a może nie. Gdy rozpocznesz swój długi sen na rogatkach miasta śnij o mnie i o poziomkach, które zalewają niebo swoją czerwienią. Spuszczę z łańcuchów wszystkie żmije aby mogły iść po zakupy z koszykami. Kupią wtedy ciebie i mnie za dwa złote i pójdziesz drogą białą i pójdziesz może drogą białą. Na zboczach tej drogi rosną poziomki. Wyglądają jakby krople krwi upadły wprost na łąkę pełną białych owiec.

Władysław Lam

P I E S

Zawsze się dziwiłem ludziom, którzy brali do swego mieszkania psa i żyli z nim pod jednym dachem. Mówiłem: — Cóż za sens robić z ludzkiego mieszkania psią budę. A jednak uległem temu pomyśleniu pojąć, gdy znalazł się w moim domu czarno-zielony szczeniaczek.

Z małej, miękkiej kuleczki patrzyło dwoje błyszczących oczu, w których tliła się radość życia i myśl żywego stworzenia. Szczeniak został otoczony opieką, ja zaś w milczeniu znosiłem obecność intruza. Z niezgrabnie kołyszącej się brzozy wyrastał stopniowo okazały pies, który stawał się coraz bardziej roztropny, czysty i pogodny. Niczego nie niszczył, a pielęgnowany i dobrze żywiony szybko dostosowywał się do warunków ludzkiego życia. To właśnie otworzyło mu wstęp „na pokój”, po których poruszał się teraz swobodnie i bez jakichkolwiek ograniczeń. Był pełen gracji, choć pozostała w nim pewna ociężałość, a na tle czerwonego „szirwanu”, lub „beludżistanu”, wyglądał znakomicie. Jego sierść, przechodząca z głębokiej chłodnej czerni na grzbiecie w odcienie ugru i ciepłe biele na podbrzuszu, miała w sobie coś ze szlachetności tych cennych tkanin. Wyłgiwał się więc i tarzał po nich bez troski, a z czasem zaczął na nich nawet kości obgryzać, ja zaś początkowo patrzyłem na to z przerażeniem, ale niebawem przekonałem się, że te stare tkaniny znoszą bez uszczerbku jego barbarzyńskie zachowanie, on zaś spoglądał na mnie swymi dużymi kasztanowymi oczami, które podkreślała mocna czarna obwódka, bez poczucia winy, z pełnym zaufaniem i czułością, którym nie sposób było się oprzeć. Obserwowałem więc, jak

dojrzewa, jak staje się coraz bardziej czującym i myślącym stworzeniem. Był bezpośredni, bardzo konsekwentny, groźny z wyglądu, w istocie zaś łagodny i czuły. Gdy przemawiał do niego ktoś ze swoich, przekrzywiał lekko ciężki łeb, nastawiał uszu i patrzył prosto w oczy, jak gdyby miał za chwilę przemówić. Często podchodził do kogoś z nas, ocierał się o nogi, a głośkany wypręzał się i przewracał na wznak, by zastępnąć w pozycji nie przypominającej już w ogóle psa. Na przechadzkach niechętnie szedł przy nodze, baraszkował z dziecięcą swawolą, a nieraz zatrzymywał się, węszył i uważnie nasłuchiwał, a potem nagle biegł przed siebie jak strzała, głuchy już na wszystko. Znikał na zakręcie drogi, za opłotkami lub w lesie, a po kilku godzinach wracał zgoniony i często cały utyłany błotem. Czasem znów przychodził od strony miasta rozbawiony, jak birbant, który wraca z knajpki po hulance z przyjaciółmi, a na jego obliczu z rozwartym pyskiem i wywieszonym jęzorem widniał wyraz uśmiechu i wesołości.

Ze szczególną gorliwością pilnował mieszkania, ogrodu i odcinka drogi przed domem. Szczekaniem witał swoich, a obcych strzązał, jednak nie wyrządzając im krzywdy. Z dziećmi i małymi pieskami, szczególnie z białymi, bawił się chętnie. Gdy zjawiała się w pobliżu suka, podbiegał do niej i zalecał się do niej, a gdy niezadowolona z tego warczała wyszczerzając zęby, nie brał jej tego za złe, ale gdy ukazał się na horyzoncie duży pies, atakował go zajądło i bez litości, a białe kły w szale nienawiści błyskały jak noże.

Kąpiel lubił bardzo, szczególnie morską,

odczuwał w pełni jej rozkosz. Chwytał zębami białe grzywy nadbiegających fal i pływał wśród nich pełen zachwytu, a potem otrząsał się na brzegu i biegał wokół jak oszalały. Szedłem więc często z nim ku morzu przez pola, brzegiem strumyka, a raz idąc tak natknęliśmy się na stado baranów. Zanim zdążyłem go zatrzymać rozproszył stado, a upatrzywszy sobie jedną z ofiar, gonił ją i szarpał za uda. Owca po kilku wielkich okrażeniach pola przybiegła do mnie, jej skrwawione nogi załamały się i przewróciła się tuż przy mnie. Wtedy chwyciłem nadbiegającego psa i zbiłem go porządnie rzemieniem. Odtąd był już nieco powściągliwszy, jednak zawsze jeszcze drażniły go te stworzenia. Nie mógł przemóc pogardy i nienawiści do nich.

Wobec kilku takich wydarzeń wyłoniła się kwestia, czy psa nie należałoby oddać do szkoły. Znajomi twierdzili, że powinien się kształcić choć raz w tygodniu, ja zaś byłem przeciwnego zdania. Sądziłem bowiem, że tego rodzaju szkolenie nie może dać dobrych wyników, gdyż zabija indywidualność jednostki, zniekształca ją i zamienia w mechanizm. Wszelka tresura obniża i degradowa każdą żywą istotę. Dostrzegłem poza tym, że już samo przebywanie z ludźmi rozwija inteligencję psa, a przyjazna atmosfera i dobroć uszlachetnia go.

Tak więc swobodnie wzrastał ten pies, który zwał się Kuś, a który wbrew mojej woli obrał sobie mnie za swego pana. Trudno mi było z tym się pogodzić.

Rozumiał wiele słów i nigdy nie mylił ich znaczenia. Miał jedno hobby. Ponad wszystko uwielbiał jazdę samochodem. Wystarczyło mu powiedzieć — pojedziesz — aby zaczął tańczyć i wydawał skowity radości. Gdy myłem wóz, zawsze leżał przy mnie i cierpliwie czekał, a gdy usiadłszy za kierownicą odchyliłem drzwi i mówię: wejdź — wchodził do wozu powoli i z poważną miną sadowił się na tylnym siedzeniu. Opierał się całym grzbietem o lewy narożnik, wysuwał głowę naprzód i pocałunkiem w ucho dziękował mi za zaproszenie, a potem już spokojnie patrzył spoza mego ramienia w dal. Przydrożne drzewa i domy migały coraz szybciej, cały krajobraz zmienił się bez ustanku, a my pędziliśmy z szybkością, jakiej on nigdy nie osiągał na czterech łapach. Rozumiał doskonale znaczenie takiego pędu i wyraźnie się nim ujął.

Gdy zaś przejeżdżaliśmy przez wsie lub miasteczka, a ludzie na widok niezwykłego podróżnika przystawali zdziwieni, marszczył brwi i patrzył groźnie w prawo i lewo, dumny ze swojej nad nimi przewagi. Dopiero poza osiedlami, gdy znów byliśmy na płaszczyźnie pól, łagodniał i mrużąc układał się do drzemki. Mądry to był pies, który w każdym ludzkim zespole zyskiwał sobie z miejsca przyjaźni, a im większa była gromada ludzi wokół niego, tym wyraźniej traktował ją, jak swoje stado.

Raz mi się zepsuł wóz, wybrałem się więc z psem do znajomego mechanika, który mieszkał za miastem. Gdy byłem już blisko jego domu, zauważyłem go jadącego na skuterze. Zatrzymał się, a ja mu wytłumaczyłem z czym przychodzę. Zaproponował mi miejsce poza sobą, a gdy się usadowiłem, zawrócił w kierunku mego domu. Ze względu na psa jechał wolno, ale pies coraz bardziej niespokojny, żałośnie jęczał i biegał wokół nas, a gdy się przekonał, że jedziemy dalej, zaczął mnie w biegu chwytać zębami za nogi, lecz tak ostrożnie, że nie poczułem najłżejszego bólu. Gdy wreszcie i to nie pomogło, wskoczył mi na plecy i w ten sposób zmusił nas do zatrzymania się. Gdy zaś zsiadłem, strofując go, zaczął się ocierać o moje nogi i już spokojnie szedł obok mnie.

Traktowany po ludzku, trzymał się domu, gotów zawsze do obrony i współżycia, natomiast nie znosił jednej rzeczy ponad wszystko, a mianowicie — samotności. Była ona dla niego największym nieszczęściem.

Gdy zostawał sam (nie wiedział przecież nigdy, jak długo to potrwa), nie jadł i nie pił. Samotność pozbawiała go wewnętrznej równowagi i siły, którą go natura obdarzyła, w niej tracił całą pierwotną tężyznę i stawał się słabym, biednym stworzeniem, niezdolnym do życia. Pewnego dnia o świcie zaczął się napierać do wyjścia. Na dworze było jeszcze szaro, mżył lekki jesienny deszcz. Założyłem mu na kark drucianą kolczatkę, aby był w razie potrzeby mocniejszy, wziąłem jego głowę w obie dłonie, uściśnięłem go, a on spojrzał mi w oczy z wyrazem wdzięczności. Otworzyłem drzwi i wypuściłem go. Stał chwilę przy furtce, a potem skręcił w stronę miasta i znikł.

Sądziłem, że wróci, jak zwykle po godzinie lub dwóch, jednak nie wrócił już tego dnia. Zacząłem się niepokoić. Szukałem go do wieczora, najpierw w najbliższej okolicy, potem w coraz dalszych miejscach. Wypytywałem dzieci i spotkanych ludzi, czy nie widzieli dużego wilka. Zaglądałem na ogrody i podwórza wielu domów, przeszedłem wiele ulic i bezdroży, jednak nie odnalazłem go nigdzie. Przepadł jak kamień w wodę.

Nazajutrz zbudziłem się wcześniej, otworzyłem okno i spojrzałem w stronę miasta i lasu. Przekonawszy się, że psa nie ma w pobliżu, zacząłem go wołać, ale w porannej ciszy mój głos ginął w zamglonej dali bez echa. Wyszedłem na ulicę i obszedłem najbliższą okolicę. Nie znalazłszy żadnego śladu po nim postanowiłem pojechać do rakarza. Mieszkał daleko poza miastem. Jego dom na odludziu, wśród pagórków, pustych o tej porze roku, zrobił na mnie przykre wrażenie. Był schludny i starannie wybiełony, a jednak miał w sobie coś niesamowitego i odpychającego. Drzwi otworzyła mi starsza rudawa, nędznie ubrana kobieta. Wszedłem, wytłumaczyłem jej z czym przychodzę, ona zaś wysłuchiwała mnie uważnie i zapewniła, że gdy tylko dowiedzą się czegoś o moim psie, dadzą mi natychmiast znać. I rzeczywiście po dwóch dniach rakarz zawiadomił mnie, że ma u siebie dużego wilka. Pojechałem więc natychmiast, a on zaprowadził mnie do zabudowania, położonego na tyłach domostwa. W jednej z wielu klatek zobaczyłem pięknego wilka. Stał w klatce i patrzył na nas, ale nie był to mój pies. Rakarz tłumaczył mi, że przywieźli go ludzie, którym zagryzał kury, że odda go chętnie za pewnym wynagrodzeniem, ale ja straciłem ochotę do dalszej rozmowy i zgnębiony wróciłem do domu.

Nie mogłem się uspokoić, stale widziałem psa, w ogrodzie, przed drzwiami domu, w mieszkaniu, na jego posłaniu, jak uklada się pod stołem i całym ciężarem ciała zwala się na podłogę mruczając, albo, jak wraca z wędrowki i wesołym szczekaniem oznajmia swój powrót. Widziałem go stale w wyobraźni, a postać jego stawała mi się coraz bardziej natarczywa. Szukałem go więc dalej bez ustanku w różnych częściach miasta i poza miastem. Gdy posłyszałem szczekanie o podobnej barwie głosu, siedłem za tym głosem, wchodziłem do cudzych zagrod i domów, lecz niestety wciąż po nowe rozczarowania. Odbierałem od różnych osób telefony, spieszyłem do wskazanych mi miejsc, poznałem wielu ludzi, którzy pragnęli mi pomóc, jednak wszystko kończyło się takim samym niepowodzeniem.

Byłem już zmęczony i bliski załamania, gdy się dowiedziałem, że na jednej z ulic przy remizie tramwajowej, na niezabudowanej parceli, ukrywa się w krzakach duży wilk z czarnym grzbiem. Zauważyła go z okna swego mieszkania dentystka, która mi o tym doniosła. Po chwili byłem u niej, obszedłem z nią całą okolicę, ale po psie nie było już ani śladu. Dentystka mówiła mi, że musi mieć przebrzoną łapę, gdyż kuleje, a kryje się ze strachu przed ludźmi. Niestety zapadł już zmierzch, a psa nie odnalazliśmy.

W kilka dni później zadzwoniła do mnie pewna przedszkolanka, mówiąc, że w ogrodzie przedszkola koło remizy ukrywa się

wilk, który mocno kulał, a teraz już lepiej chodzi. Opowiadała, że wychodzi z kryjówki tylko wtedy, gdy widzi, że w pobliżu nie ma nikogo. Podechodzi ostrożnie do wystawionej mu miski z pożywieniem, a zjadłszy, natychmiast wraca do swojej kryjówki. Wszedłem do ciemnej i na poły rozwalonej szopy i zobaczyłem psa, który się cofał przede mną, choć przemawiałem do niego łagodnie, a gdy doszedł do ściany, usiłował się na nią wdrapać. Podeszedłem blisko i upewniłem się, że to nie mój pies, lecz młody, oszalały ze strachu wilczek. Zgnębiony wróciłem do siebie.

W ciągu kilku tygodni poszukiwań odnalazłem szereg zbłąkanych psów, ale po moim zaginięciu ślad. Wszystkie moje wysiłki były jednakowo bezskuteczne i beznadziejne. Nigdy nie przypuszczałem, że psia doła bywa aż tak okrutna. Wprawdzie jedne żyją w przyjaźni z ludźmi, są lubiane i nawet pieśczone, ale inne są traktowane z nieludzką bezwzględnością. Uwiązane na łańcuchach, na zimnie, bez możliwości poruszania się stawały się zjadłymi i wściekłymi z nienawiści do ludzi, tych najokrutniejszych z wszystkich zwierząt. Współczułem tym biednym stworzeniom, cierpiącym bez winy, a myśl o tym, że i mój pies znalazł się być może w takich warunkach, przynębiała mnie jeszcze bardziej. Czułem przy tym coraz wyraźniej ogrom i ciężar mojej bezsilności.

Ogłosiłem w gazecie i w radio znaczną nagrodę za wskazanie mi miejsca, w którym się ukrywa mój pies. Odtąd zaczął bez przerwy dzwonić mój telefon. Rozmaici ludzie donosili mi, że w ich sąsiedztwie znajduje się przybłąkany pies, że jest to wilk, który nie jest własnością ich sąsiadów. Zjawiałem się natychmiast w oznaczonym miejscu, ale spotykały mnie stale nowe zawody. Jedni przysięgali z litością zagubione psy, a nie mogąc ich zatrzymać, pragnęli je oddać komuś pewnemu, natomiast inni trzymali je w okrutnych warunkach, nie czując wcale ciężaru krzywdy, jaką tym stworzeniom wyrządzili. Co więcej, świadomie starali się obudzić w nich nienawiść do wszystkiego co ludzkie, aby mieć broń przeciwko „bliźnim”.

Pewien młody człowiek, jak się później okazało, zdegradowany oficer, wykojony biedak, żyjący nie wiadomo z czego, powiadomił mnie, że miał u siebie przez kilka dni przybłąkanego wilka, ale nie mogąc go wyżywić, odstąpił pewnemu starcowi. Mówił do swego znajomego, który powtórzył mi to w kilka dni później, że teraz już spłaci wszystkie swoje długie i będzie miał wreszcie spokój. Wyzaczył mi spotkanie w czelni, skąd pojechalismy już o zmierzchu do owego starca. Dom jego był poza miastem na małym wzgórzu. W jednym oknie było jeszcze światło, ale gdy zaczęliśmy się dobiegać — zgasło. Na nasze natarczywe stukanie odezwał się z wnętrza głos, który mówił, że nie ma tu żadnego psa, że nie otworzy drzwi, że mogę przyjść jutro z rana, a nie o tej porze. Wtedy różnymi prośbami wymogłem na starcu, że wpuścił mnie do mieszkania. Nie pozwolił natomiast wejść tamtemu „drabowi”, który — jak mówił — handluje skradzionymi psami. Wszedłem do domu, który był niewykoficowany, zimny, ponury i zagracony. Obok łóżka stały skrzynie z nasionami i mnóstwem rupieci. Starzec mruczając zrzucił ze siebie kożuch, usiadł na łóżku, zdjął z bosych nóg filcowe buty, włożył pod pierzynę i zaczął na całym cieple dygotać. Narzekał, że się z powodu mnie zaziębił, że jest stary i niewiadomo czym się to skończy. Jednak po chwili udało mi się uspokoić go, a nawet udobruchać, a gdy mu powiedziałem, że przecież chyba rozumie, co znaczy miłość do psa, spoważniał i rzekł:

— Niech się pan uspokoi, pies się znajduje, zobaczy pan. — Musimy jechać na przeciwny koniec miasta, do mojej żony.

Wylazł spod pierzyny i wdział grube welniane skarpetki, filcowe buty, ubranie i kożuch. Gdy zaś wyszliśmy przez ciemną, wilgotną sień, zamknął drzwi domu i furtkę ogrodu na klucz i usiadł w wozie obok mnie. Denerwował go i niepokoił młody człowiek,

który siedział poza nami, toteż odetchnął, gdy po chwili wysiadł z wozu.

Jechaliśmy przez oświetlone ulice miasta i znów przez niezabudowane przestrzenie, on zaś opowiadał mi bez przerwy o sobie, o swoich dzieciach i o tym, kim był kiedyś. Słuchałem jednym uchem, jadąc szybko, wpatrzony w jasną to znów w ciemną przestrzeń, którą przecinaliśmy z dużą szybkością. Dom, w którym mieszkała jego żona, oddalony był o jakie trzydzieści kilometrów. Gdy przyjechalismy na miejsce, zostawiłem wóz na ciemnej, wyboistej drodze i poszedłem za starcem strumą, krętą ścieżką na wzgórze. Weszliśmy przez ponurą podwórkę do drugiego zagraconego domu, w którym stał obok starej baby duży, piękny wilk, o łagodnym wejrzeniu. Nie był to jednak mój pies. Nadzieja zobaczenia go zgasła, a ja zgnębiony wróciłem późno w nocy do domu.

Nazajutrz jakaś biedna dziewczynka przyprowadziła do mego domu małego kundelka, uwiązanego na sznureczku. W jej błyszczących oczkach tliła się nadzieja otrzymania nagrody. Niestety spotkał ją również zawód. Byłem zrozpaczony, lecz nie ustawałem w poszukiwaniu mego zbiega, choć nie mogłem wpaść na jego ślad. Najbardziej przerażała mnie myśl, że stało się z nim coś bardzo złego. W miarę jak zwiększał się mój niepokój, zaczynałem coraz wyraźniej odczuwać wrogość przestrzeni. Dawniej, gdy pies był ze mną, przestrzeń była nam miła, cieszyło nas pokonywanie jej, a teraz oto zaczęła ukazywać swoje złe oblicze. Zaczynał mnie przerażać jej ogrom, niewymierność i nasze w niej ograniczenie. Zwykle dawałem sobie z tym jakąś radę i przedstawiałem o tym myśleć, jednak teraz powracały te myśli w sposób natarczywy. Przerznięta mi o nieskończonej ilości miejsc, do których nigdy nie dotrę. Człowiek może objąć mały krąg przestrzeni, może się przesunąć z miejsca na miejsce, jednak pozostanie zawsze punktem w bezkresnej otchłani. Jest oczywiste, że odległe zjawiska muszą pozostać niepoznane, ale oto rzecz bliska i zwyczajna poddawała się temu samemu prawu.

Pies był, być może, gdzieś w najbliższym sąsiedztwie, w tej samej dzielnicy miasta, a ja nie mogłem go odnaleźć. Leżał, być może, w jakiejś blisko położonej budzie zamknięty, a ja go szukam na krańcach miasta i poza nim. Jeśli był gdzieś uwieczony, cierpiał, gdyż spadło na niego najstraszniejsze nieszczęście, jakie mogło go spotkać — samotność. Zapewne nie jadł, nie pił i martwił się utratą wszystkiego, co było mu bliskie i do czego przywykł od dzieciństwa. Mój niepokój wzrastał się z każdym dniem, a niemoc przyjęcia mu z pomocą stawała się coraz bardziej dokuczliwa. Sąsiedzi widząc moje zmartwienie dawali mi różne rady i wskazywali różne możliwości.

— Poleciał — mówili — za suką, jeszcze wróci, niech pan poczeka, różnie bywa. Znam taki wypadek, że pies przeszedł przy suce kilka miesięcy i wrócił.

Inni twierdzili:

— To chłopcy z sąsiednich domów ukradli go i sprzedali. Jest gdzieś zamknięty — wywieziony daleko.

W końcu jeden powiedział:

— Panie, nie żyje, bo gdyby żył, wróciłby dawno.

Radzili mi, aby wziąć sobie innego psa. Tak mi radzili z życzliwości, ale czy można zastąpić przyjaciela kimkolwiek? Najgorsze było przypuszczenie, że stało się rzeczywiście coś bardzo złego. Mógł przecież wpaść pod samochód lub pod tramwaj, mogło go podcas ostatniej rannej przechadzki spotkać niewiadome mi, złe przeznaczenie.

Tak mijały tygodnie, w których naprzemiennie rodziły się prześliski nadziei, a potem gasły, ustępując miejsca okresom przygnębienia. Chcąc się za wszelką cenę uwolnić od złego nastroju, postanowiłem zająć się pracą. Myślałem, że w ten sposób oderwę się od ponurych myśli. Miałem właśnie na warsztacie zaczęłą pracę, jednak nie byłem

z niej zadowolony. Dłuższa przerwa pozwoliła mi jeszcze wyraźniej dojrzeć brak. Byłem najwyraźniej niezdolny do kontemplacji. Wszystko, co wartościowe, rodzi się niewiadomo jak, z ośnienia, z niewiedzy, a nawet z niemocy, ale ja nie mogłem w żaden sposób oderwać się od złych myśli i to mnie paraliżowało.

Pewnego dnia zadzwonił do mnie kolega. Mówił swoim zwyczajem zawile, zastrzegając się, że nie ma pewności, że nie chce być przyczyną rozczarowania. Dodał:

— To sprawa delikatna. U moich znajomych jest wilk. Tak, jest duży, ugrowy z czarnym grzbietem, bardzo piękny, tylko jakiś oswiały. Ma na prawej tylnej łapie duży wiszący pazur.

Rzeczywiście, mój miał taki pazur. Więc pojechałem natychmiast do jego znajomych. Pani domu przyjęła mnie uprzejmie, ale ponieważ pies wyszedł właśnie z jej córką na spacer, musiałem czekać. Pokazałem fotografię psa, mówiła, że podobny, u nich jest zaledwie od kilku dni. Poprzednio był u strażnika więziennego, ale ponieważ nie chciał szczekać, ten sprzedał go. Objasniała, że jest łagodny, nie gryzie, co najwyżej postraszy szczekaniem, chętnie pije mleko, mięso lubi gotowane. Wszystko wskazywało na to, że jestem na tropie, ale bałem się, że spotka mnie jeszcze jedno rozczarowanie.

Wreszcie odezwał się dzwonek, pani domu otworzyła drzwi, a do mieszkania wszedł wilk ze swoją nową panią. Spojrzałem w moją stronę i rzucił się ku mnie, ja zaś krzyknąłem:

— Kuba.

Objawiając łapami liżał mnie bez opamiętania, potem zaczął biegać po całym mieszkaniu jak oszalały i znów wracał do mnie z nowym atakiem czułości. Był mi do poznania.

Tak odzyskałem swego psa. Ułożył się u moich nóg i przymrużył oczy. Patrzałem na niego myśląc, co też on sądzi o tym wszystkim. Czy zdaje sobie sprawę z tego, że to on odszedł ode mnie, a może sądził, że ja go opuściłem. W każdym razie, cokolwiek sądził, nie okazał mi żalu i podbiegł do mnie z pełnym, niepodzielnym zaufaniem.

Wstałem i pożegnałem się z domownikami dziękując im za uprzejmość, a do psa powiedziałem:

— Chodź, Kuba, pojedziemy.

Podawał mi się na równe nogi, a na ulicy, gdy otworzyłem drzwi wozu i rzekłem: wejdź — wszedł i usiadł na swoim miejscu z wielką godnością, ja zaś włączyłem bieg i wóz ruszył w stronę domu. I odtąd był już ze mną stale, nie opuszczał mnie ani na chwilę, strzegł mnie i nie pozwalał się do mnie zbliżyć nikomu obcemu, jadł przy mnie, spał przy mnie — a ja się coraz bardziej przystosowywałem do niego i do jego psich obyczajów.

W takim nastroju minęło kilka lat. Był ożywiony, pogodny i coraz bardziej rozumny, jednak po pewnym czasie zaczął się stawać powolniejszy, nie biegał już jak szalony, był oswiały i jak gdyby zasepiiony. W spojrzeniu jego dostrzegałem wyraz wielkiego smutku. Nie mogłem dociec przyczyny tych zmian, kładłem to na karb wieku, był przecież stary. Aż pewnego razu szcztokując go wyczułem wzdęcie na jego podbrzuszu. Zastanowiło mnie to. Poszedłem z nim do lekarza. Stwierdził, że to nowotwór, który niezauważony rozrósł się do poważnych rozmiarów. Rzekł:

— Trzeba go operować, jeśli się nie uda, umrą go.

Przeraził mnie ten wyrok, spadł bowiem na biednego psa i na mnie jak grom. Czy należało ryzykować? A jeśli tak pożyje jeszcze jakiś czas? Nie miał bóli, nie jęczał, był jeszcze zawsze w niezłej formie. W dodatku inny lekarz rzekł: — Jest zbyt stary, nie przetrzyma operacji. Tak pożyje jeszcze rok, może nieco dłużej.

I rzeczywiście żył jeszcze rok, ale tracił siły i stawał się coraz bardziej niedołężny. Pod koniec nie mógł się już utrzymać na nogach. Ugięły się pod nim, leżał na brzuchu zmęczony i niezdolny do niczego. Za-

wiozłem go do lekarza. Z pielęgniarką wniosłem go na kocu do sali operacyjnej i ułożyłem na stole. Leżał spokojny, bez ruchu i patrzył na mnie z wyrazem wielkiej czułości, jak gdyby dziękując mi, że może spokojnie wypocząć. Czułem, że widzi we mnie jedyną pomoc i ratunek. Głaskałem go, dla uspokojenia i podtrzymania w nim

Bogdan Jemielita

Dziecko burzy

Z twarzą przytuloną do chłodnej szyby okiennej dziecko zastanawiało się, dokąd prowadzi polna droga obrośnięta po obu stronach rzędami scherlanych drzew. Niedawno jeszcze ktoś tą drogą przejeżdżał, bowiem w pamięci chłopca pozostał odgłos skrzypiących kół i trzaskania z bata, a z tymi odgłosami kłóciły się inne, takie jak dźwięk dzwonka od roweru, porykiwania powracających z pastwiska krów oraz wiele innych, które nadchodziły i znikwały. Odkąd tylko chłopiec nauczył się myśleć, szybą i polna droga prowadząca w kierunku lasu, gdzie pracował jego ojciec, stały się rzeczami tak bliskimi, że z konieczności zaprzyjaźnił się z nimi nie opuszczając ich ani na chwilę. W taki sposób spędzał długie godziny, dni, kto wie, może miesiące i lata, widziany od zewnątrz wciąż w tej samej pozycji niby malowany na szkło. W rzeczywistości wyczekiwał na powrót rodziców, których nieobecność zdawała się przeciągać w nieskończoność. Chłopiec ufał im bezgranicznie i mimo iż drżał od tajemniczego lęku, jaki ogarniał go co dzień o zmroku, gdy czarna plachta pokrywała pozaokienny wiejski krajobraz, wiedział i był święcie przekonany, że lada chwila może powrócić ojciec, który wypłoszył strach.

Nawet wczesnym rankiem można było go dostrzec, gdy na powrót przyklejał do szyby przynębioną twarz, co świadczyło tylko o pogłębiających się wątpliwościach. Ale potem pokazywało się słońce i twarz chłopca wypogadzała się, i oto znowu miał jeszcze przed swymi oczyma barczystą postać ojca ginącą w perspektywie polnej drogi wraz ze słabnącym, wyłącznie dla niego przeznaczonym, dźwiękiem dzwonka. A matka? Jak zwykle wychodziła przed jego przebudzeniem, ponieważ śpieszyła się bardzo do pracy. Matka chłopca była kelnerką w jednym z dużych miejskich lokali rozrywkowych. Jej częsta nieobecność nie dziwiła chłopca. Kiedyś ojciec wytłumaczył mu, na czym to właściwie polegała jej praca, tam, gdzie przez cały czas wszyscy się bawią, piją, jedzą, a potem bawią się na powrót — i chłopiec współczuł swojej matce, wybacząc jej nawet to, że nigdy nie może wyjść z nim na spacer tą właśnie polną drogą i pokazać mu las, w którym pracował jego ojciec, o czym tak długo marzył. Doszło nawet do tego, że zaczynał powoli zapominać ich twarze i wszystkie kolejne nadchodzące noce spędzał bezsennie z lęku, że nigdy, przenigdy nie usłyszy wesołego dźwięku dzwonka i nie pochyli się nad nim matka podczas snu i nie pocałuje go na pożegnanie.

Wtedy, jak zły sen nadciągnął niespodziewany zmierzch; chłopcu pociemniało nagle w oczach i sam nie wiedział, kiedy stanął przed nową zagadką, której rozwiązanie nie leżało w jego możliwości. Zafascynowany dostrzegł, jak wierzby na drodze kłaniają się sobie jak żywe, jednocześnie coś szepcząc z przejęciem, potem zaś rozczochrane na tle wiejskiego krajobrazu nieruchomiały. Coś miało się stać, ale chłopiec jeszcze nie wiedział co. Z podwinętych pod siebie ogonem uciekał drogą pies, ptactwo zrywało się z krzykiem i nikło w oddali, i tylko on nie mógł przeniknąć całej tej tajemnicy. Dla-

wiary w życzliwość. Tymczasem lekarz wbił igłę w mięsień nogi i nacisnął tłok, a on jęknął i już nie żył. Pielęgniarka ująwszy za tylne łapy uniosła go, przy czym łep spadł na podłogę, a z rozchylonego pyska wylała się woda, którą z rana wypił. Powlokła go do krematorium, a ja wyszedłem na ulicę całkowicie zdruzgotany. ■

tego ogarnięty nagłym lękiem zaczął rozglądać się po mieszkaniu, skąd patrzyły na niego półmroczne twarze z fotografii. Wszystko to poruszyło go do głębi, napawając poczuciem nie wyjaśnionej, świętej wręcz tajemnicy. W chwilę później uciekło brzęczenie szyb, a za oknem pojawił się jeszcze mroczniejszy cień. Kto to był, człowiek czy zwierzę?

Burza nadciągnęła skradając się cicho jak dziki kot. Kiedy w rozszerzone trwogą źrenice wtargnęła pierwsza jasna wstęga, wzniosł oczy do góry i dostrzegł nawały chmur gromadzące się nad jego głową, które w pewnej chwili wydały mu się potężnym potworem nabierającym kształtów smoka. Wierzy nie pewne swojego losu pochylił się jedna do drugiej, druga do trzeciej i tak dalej, aż do samej gęstwiny leśnej, skąd powracał odgłos zwielokrotniony, niby krzyk nocnego ptaka w obliczu śmiertelnego niebezpieczeństwa. I oto smok rozwarł paszczę jak gdyby chciał pochłoniąć rozległe pola wokół, dom, w którym chłopiec mieszkał od bardzo dawna i las, gdzie w tej chwili pracował ojciec chłopca. Niech by pochłoniął wszystko tylko nie ojca. W głowie chłopca błyskawicznie pojawia się w myśl, żeby ostrzec ojca przed grożącym mu niebezpieczeństwem, bowiem las jest gęsty i ciemny i nie wiadomo czy ojciec może się zorientować, co mu grozi.

Wybiega; krople deszczu ostrożnie dotykają jego twarzy jakby w ten sposób chciały upewnić się o jego obecności, a potem nieprzezroczyście mokra ściana przysłania mu widok wszystkiego, w czym mógłby znaleźć oparcie przeciw otaczającej go tajemnicy. W powietrzu śmigają tylko jego stopy. Z początku chłopiec biegnie lekko i pewnie, ale droga do lasu jest długa i ciężka, do tego jeszcze przeszkadza mu wiatr i deszcz. Chłopiec obserwując ją ze swojego okna nie sądził, że może ona być tak długa i że pokonanie jej wymaga aż tak wielkiej ilości sił. Zaciągając wężą pokonuje metr za metrem przestrzeń dzielącą drzewo od drzewa. Ale nawet wichura nie zdołała powstrzymać chłopca, w powietrzu fruwały grube gałęzie drzew, a wszystko co dotychczas stało spokojnie szamoce się w ziemi, próbując uciec od gniewu żywiołu jak najdalej. Chłopiec przekakuje drzewa pokotem leżące; droga jest najeżona dziesiątkami przeszkód, mimo to jest bezpieczny. Chłopiec nie zdumiewa się nad niczym, wszystko to jest dla niego naturalne, a opieka żywiołu nad jego słabym życiem przypomina mu dalekie pieszczoty matki, która na nieszczęście została potem kelnerką w jednym z nocnych lokali. Biegając uśmiecha się na to wspomnienie. Już wie, że nie usłyszy nigdy dźwięku dzwonka przejeżdżającego roweru, nie zaskrzypią deski sieni, mocna dłoń drwa nie dotknie jego rozpalonego czoła; rodzice dawno pozostali w tyle. Nie powróci, ponieważ nie zatrzyma się w biegu.

Potem bolesny smutek ściąganie jego rysy, na czoło pokaza się zmarszczki, a bieg stanie się coraz wolniejszy. I wtedy może zacząć wyprzedzać go smukłe sarny, które dla zabawy ścigają się z samymi sobą — tak daleko odbiegł w pustynię samotności. ■

Ádám Bisztray, ur. 1935. Jest bibliotekarzem. Od r. 1960 wszystkie czasopisma węgierskie publikują jego wiersze. Wybór jego wierszy ukazał się w 1969 r. w antologii pt. „Poeci w swoim gronie”, a w październiku ukazał się jego pierwszy, samodzielny tom pt. „Za lasem”.

Miklós Veress, ur. 1942. Jego wiersze ukazały się w antologiach 1967, 1968 i 1971 r. W roku bieżącym ukazał się jego pierwszy tom wierszy pt. „Las dla dzikich zwierząt”.

Anna Pardi, ur. 1945. Jest nauczycielką języka rosyjskiego. Publikuje we wszystkich węgierskich czasopiśmie literackich. Jej wiersze znalazły się również w antologii pt. „Poeci w swoim gronie”.

Ádám Bisztray

NIHIL ALIUD

*Medytowaliśmy zawsze o tym,
co wzięły już skronie w imadło;
pod dymem papierosów też
o tym mówimy, o czym mówiliśmy już
wciśnięci do pudełka domów
i w mieście z pasmami torów,
na prowincji, gdzie drogi biegną w dal
ciągłe robimy to, co robiliśmy już.*

*W pustym pudełku znajdzie się zapałka
przypadkowe spotkanie rodzi miłość
i dziecko.*

*Nagle pada nam światło na twarz
i długie cienie chodzą po ziemi.*

Anna Pardi

RELACJE

*Człowiek jest pewien życia
i jest pewien śmierci
gdy najbardziej wierzy w życie
nie myśli o śmierci
gdy jest najbardziej pewien śmierci
myśli wyłącznie o życiu*

Miklós Veress

PODRÓŻ

*równoległość torów
równoległość torów mnie olśniewa
jak na pewno jedną patrzę na nią przez okno pociągu
podróżując od dzieciństwa między pagórkami i folwarkami
i spoglądając ze szczytu pagórków wstecz na błysk
wijący się w Nicość
i naprzód dopóki oczy nie zabolą od wiatru i sadzy
widzisz przeżyłem 25 lat zanim uprzytomniłem sobie
że jestem chory
kilka lat leżałem na łózkach szpitalnych przyzwyczaiłem się
do łóżek obcych
tylko obejmując się zapominamy o sublokatorstwie i stęchliznie
oraz o popołudniu by zapalić lampę już o trzeciej
oczy mam szaropiwne bez koloru określonego jak twoje
twarz mam asymetryczną podobną do twarzy 16-letniego
jestem twoim dzieckiem chwyć mnie swymi udami urodź
mnie powtórnie
karm mnie wychowaj mnie
pocznij mnie i urodź mnie niech będą straszne twoje skurcze
wytrzymaj mnie zapomnieniem i bierz mnie do swych rozkoszy
urodź moją złość i ponownie przeciwko sobie*



(RYS. RYSZARD STRYJEC)

*jestem dobry bardzo dobry już nerki oczy
każdą komórkę ciała mego cierpię moja dobroć i pycha w pokorze
boli trawy i ulice że słabo czują moje kroki
boli żar w liściach obok studni
badyle podwórka szkła okien tynk płaczący
boli brzegi morza i krzyże w zatoce
boli niebieskie, żółte zielone białe-fioletowe
boli słowa milkną głosy ale cisza również cierpi
boli boli me istnienie nie mnie boli ale wszechświat
między żebra uderzają bagnety gorączki
karze mnie bóg bo zanika i zabiera z sobą chmury
mego nieba
wyrwie z oczodołów moje piękne oczy
jak krwawe jądra zwierząt
każe kłaść się na brzuch w bruzdach dżungli i rzuca
na mą czaszkę i trzeszczące kwiaty cierni
każe mi mówić o pokoju i wojnie w salach gdzie ściany odbijają
echo
jestem bardzo dobry aby zostać panem tej mgławicy
której średnicę znamy pod dozwoloną granicą błędów
jest pewne tylko to
że są tory
równoległości których
nawet moje ciało nie rozbije*

*widzisz mam 25 lat w niedzielę wieczorem wsiadłem
do tego pociągu
i bardzo mnie boli że zapomnieliśmy o tym objęciu*

(Tłumaczył: István Dabi)

Bohdan Kubicki

Tamte winy

(PROBLEM WINY W LITERATURZE ZACHODNIO-NIEMIECKIEJ)

Społeczeństwo niemieckie poddało się mirażom hitlerowskich obietnic. Większość narodu nie miała nic przeciwko temu, by Rzesza zajęła centralne miejsce w Europie i świecie. O cenę na początku nie pytano. Po stronie Niemiec miała ona być niewielka, mówiono o niej w tak radosnej atmosferze, jakby wojna była wyprawą po złote runo, z której główni bohaterzy powrócą zdrowi i cali w chwale i sławie. Zapomniano na razie, że wojny wygrywa się przez umieranie, choćby nawet pokonani umierali częściej.

Sprawdziło się przy tym jeszcze raz, że spokojni i porządni ludzie nabierają wojowniczości, gdy powiada się im, że ich ojczyzna będzie największa i najwspanialsza, kiedy obiecuje się im rozległe przestrzenie, rozdać stanowiska i kusi bogactwem. Nachalnej propagandzie mniej ulegają umysły mocno niezależne, ale i połowę z nich można otumanić hasłami rodzinnej ziemi. Dürrenmattowski Romulus powiada, że „państwo zawsze nazywa się ojczyzną wtedy, kiedy sposobi się do mordowania ludzi”. Taki proces zaszedł w Niemczech szczególnie silnie po roku 1933. Trzymając się zresztą już dalej opinii dramaturga, piszącego przecież po niemiecku, warto dodać, że ten sam Romulus na uwagę, iż miłość do ojczyzny uczyniła Rzym wielkim, odpowie, że „nasza miłość nie uczyniła go dobrym. Nasze cnoty wyhodowały bestię. Wielkością naszej ojczyzny upajaliśmy się jak winem, ale teraz stało się dla nas piołunówką to, cośmy kochali.”

Może najprędzej odczuł ów smak piołunu żołnierz Wehrmachtu, który niejako na własnej skórze mogli się przekonać, co czeka Niemców, gdy przegrają wojnę. Niepoddania Rzeszy — okazuje się — były najlepszą szkołą uczciwego myślenia, rachunków sumienia i refleksji. W powieściach Günтера Hofego „Monolog w piekle” i „Czerwony śnieg” dopiero wizja klęski zmusza bohaterów do zastanowienia się nad problemem odpowiedzialności za wojenne zbrodnie. Nawet najuczciwsi i najsympatyczniejsi z nich dostrzegają całe okrucieństwo faszyzmu raczej pod presją owego strachu i przewidywań złego dla Niemiec końca. Można bowiem wątpić, jak mówi sam Hofe, „czy ktokolwiek czuje jeszcze jakiś niepokój sumienia, kiedy całe wsie puszczą się z dymem...” — i — dodajmy — skoro zło uznane zostało oficjalnie za dobro.

Tak więc do poprawy prowokuje raczej bliskość kary. Osłabia to w poważnym stopniu skrucę, ponieważ nie rodzi jej humanizm, lecz konieczność. Pozytywny przecież bohater „Czerwonego śniegu”, porucznik Helgert, musi przejść wszelkie trudności i niepowodzenia na froncie wschodnim, musi przeżyć klęskę, aby zadać sobie takie pytanie: „a wtedy? Co będzie wtedy? Całe Niemcy zamienią się w gęstą las szubienic. I każdemu oficerowi zadawać się będzie pytanie: a ty? Jak postępowałeś? — Przecież wraz z innymi wdarem się do obcych krajów niosąc śmierć i zniszczenie”. Podobnie inny bohater tej powieści, przyjaciel Helgerta, wyznaje wprost, iż jego dzielność i poświęcenie jako żołnierza biorą się z obawy, by dzisiejsi pokonani nie znaleźli się w jego ojczyźnie i nie czynili w niej tego, co Niemcy robią na ziemiach zdobytych.

To bardzo charakterystyczna przemiana. Drwił z niej już Heinrich Böll. W „Bilardzie o wpół do dziesiątej” amerykański oficer mówi do Roberta Fährmela, bohatera tej powieści:

„Powiedziałem kiedyś moim kolegom, że w tym pięknym kraju znajdziemy pięciu lub sześciu, no, jak dobrze pójdzie, dziesięciu winnych i będziemy musieli zadawać sobie pytanie, przeciw komu prowadziliśmy tę wojnę...” Klęska Niemiec uczyniła bowiem z tego państwa zbiorowisko najniewinniejszych i najczystszych ludzi, a sami Niemcy z łatwością przyjęli taktykę błędnego koła, w którym odpowiedzialność staje się nagle abstrakcją, winowajcy są nieokreśleni i niewiadomi, a w każdym razie nie ma ich prawie wcale wśród żyjących. Faszyzm w przekonaniu wielu stał się po latach ponurym przeznaczeniem Niemiec, nie zaś świadomym wyborem, który zaakceptował kiedyś naród. Cóż zresztą można było wcześniej uczynić, czemu i jak się przeciwstawić? Jeszcze inny bohater „Czerwonego śniegu”, szeregowiec Baum, zdaje sobie sprawę, iż hitleryzm okazał się objawem patologii życia narodowego i moralnego. Ale jak wielu rodaków, jest bezradny wobec potęgi tego ruchu. „Idea walki przeciw Hitlerowi — myśli on — to przecież kompletna utopia” i zaraz dalej tak kombinuje: „Najlepiej trzymać się z daleka od wszelkiej polityki”.

Nie jest to nowa postawa i równie stara i banalna jest nazwa takiej postawy, określonej zwykle jako chowanie głowy w piasek. Ale nie tylko. Baum, jak sporo jemu podobnych, nie dostrzega prostych powiązań między różnymi nurtami życia. Jakby można było „trzymać się z daleka od wszelkiej polityki”, biorąc jednocześnie udział w wojnie, zabijając i zdobywając dla Rzeszy terytoria Europy. Wojna jest wyrazem i konsekwencją określonej polityki i kto bierze w niej udział, nie tylko że nie trzyma się od polityki z daleka, ale staje się jej współtwórcą. Już Herman Broch twierdził, że „na ludziach politycznie niewinnych ciąży w dość poważnym stopniu вина etyczna”.

Uczciwi rzeczywiście byli bezradni, skoro vox populi utożsamiał się z głosem najwyższego wodza. Sprawę Niemiec przegrali oni wcześniej, może właśnie dlatego, że indyferentyzm polityczny uznali za postawę najsłuszniejszą. W „Litewskich klawiorkach” Johanna Bobrowskiego profesor Voigt w 36 roku bardziej wierzy w muzykę, niż w Hitlera. „Jeszcze się panu otworzą oczy” — przepowiada jemu i podobnym faszysta Neumann. Kiedy zaś bohaterowie książki Hansa Fallady „Każdy umiera w samotności” rozrzucają swoje antyrządowe kartki, prawie wszystkie z nich trafiają na policję, odnoszone przez prawowiernych obywateli, którzy robią to z lojalności i solidarności z władzą. Głos przeciw wojnie jest głosem pustelnika. Niemcy wierzą, że historia toczy się słusznie i sprawiedliwie, dopóki toczy się po ich myśli. Wojna bowiem, o czym mówią na ogół wszyscy pisarze, nie jest w odczuciu Niemców przestępstwem. Jest nim natomiast wszystko, co się jej sprzeciwia. Stąd łatwy krok do następnego wniosku, iż przestępstwem nie jest również nic, co wojna przynosi — masowe morderstwa, obozy koncentracyjne, krematoria.

W tomie prozy Aleksandra Kluge pt. „Życiorysy” znajduje się opowiadanie zatytułowane „Zanikanie pewnej postawy”. Radca rządu Schellha jedzie w nim z Berlina do Elbląga, aby zbadać sprawę zabójstwa cywilnego, o które podejrzewa się barona v. Z. Wśród przesuwającego się frontu, po ziemi, o której powiada się, że jest przesiąknięta krwią zamordowanych, urzędnik berliński poszukuje jednego mordercy, aby zatriumfowała niemiecka praworządność i sprawied-

liwość. Przestępstwo narodu i przestępstwo barona v. Z.! — sprawy niewspółmierne, lecz zupełnie ze sobą nie kojarzone, skoro przestępstwo narodu otrzymało nazwę misji i posłannictwa dziejowego.

Interesujące mogą być opinie niemieckich pisarzy o odczuciu winy przez Niemców już w latach powojennych, kiedy zaciera się pamięć przeszłości niemej i wstydlivej. Problemowi temu na przykład poświęcona jest niemal cała twórczość Bölla, demaskującego pozorne przemiany swoich rodaków. Owszem — powiada Böll — Niemcy nie wypierają się przeszłości, bo trudno jest zaprzeczyć temu, co przestało być tajemnicą świata. Stąd potrafią się nawet oskarżać, ale robią to w gruncie rzeczy łagodnie i niezbyt surowo, tak że nie można mówić o moralnym odrodzeniu, lecz o powierzchownej przemianie i dostosowaniu się do nowych warunków. Kilkuletni Marcin z „Nie strzeżonych progów” niewiele słyszał o nazistach, lecz w jego dziecięcej wiedzy o świecie naziści są ludźmi, którzy może nie byli „tacy źli”.

Bölla szczególnie drażni łatwość, z jaką można zmieniać poglądy, gdy okazuje się to pożyteczne i wygodne. Matka Schniera ze „Zwierzeń kłowna”, ongiś przekonana i fanatyczna faszystka, dzisiaj, w latach pokoju, jeździ po Ameryce, gdzie wygłasza odczyty o skrusze niemieckiej młodzieży. I w ten sposób Niemcy są z siebie znowu zadowoleni, gdyż — mówi Böll — „w tym kraju nie znajdziesz człowieka, który by nie miał o sobie dobrego wyobrażenia... Dostatecznie im się wbiła do głowy to dobre wyobrażenie o sobie.”

Postacią wyjątkową i niemal nierealną w niemieckiej literaturze rozrachunkowej jest tytułowy bohater powieści Hansa Fricka — Breinitzer, były lekarz w Oświęcimiu. Po wielu latach pragnie on przyznać się do winy, otrzymać karę, chociaż w części odpokutować za dawne przewinienia. Ale najczęściej służy reakcją na jego skrucę jest zwykłe słowo „zwariował”. I Frickowi udaje się w tym okrzyku przekazać autentyczne zdziwienie. Ci, którym sprawa Breinitzera może zaszkodzić, są szczerze przerażeni, lecz jednocześnie i szczerze zdumieni. Oni rzeczywiście wierzą, że kwestia kary dobrowolnej oraz samooskarżenia mogły jedynie narodzić się w głowie kogoś nie poczytalnego. „O co chodzi? — zdają się pytać. — O tamte stare i nieaktualne sprawy?” Ale kiedy Breinitzer bawi się ich strachem, zaczynają się bronić: tak, trzeba było zrobić to, co się robiło, wymagały tego obowiązki, rozkaz, honor, dyscyplina i konieczność wojenna.

Powieść Fricka, jak mało które dzieło powstałe w Niemczech po wojnie, uderza moralną szczerością. Nawet Böll nie potrafi się zdobyć na równie surowe ukazanie przeszłości, gdyż obraz wojny przesłaniają mu straty poniesione przez Niemców. Tymczasem Frick ani słowem nie wspomina o niemieckich ofiarach i nie łagodzi niczego faktem, iż samemu otrzymało się bolesną lekcję. Książka Fricka wstrząsa również ujawnieniem moralnej obojętności, która panuje w jego ojczyźnie. Ogół jest zmęczony rachunkami sumienia, chętnie uznałby je za sprawę odbytą i skończoną.

Nie jest to cecha, którą wyzwoliła ostatnia wojna — stwierdza inny pisarz młodego pokolenia, Jürgen Beckelmann w „Zapiskach młodego człowieka z dobrej rodziny”. Niemcy zawsze zamykali oczy na zło, które sami powodowali. Oto kiedy przez ulice idzie pochód tysięcy więźniów, obdartych, zmaltretowanych i przerażających wychudzonych „Obywatele Endesleben... cofnęli się i uczynili to, co zwykli byli czynić od dawna: spuszczała żaluzje i zabraniali dzieciom zaglądać przez szpary.” Tę wspólną naturę postępowania przodków i współczesnych, zawsze skorych do występków i kryjącej ją obłądki, dostrzega także Bobrowski w „Młynie Lewina”. Cechy narodu bowiem nie powstają, ani nie umierają w jednej chwili, tym bardziej więc trzeba pilnować, by zło nie przybrało maski i nie odyło, gdyby nowi zdobywcy chcieli powołać je na swoje usługi.

Liczne utwory literackie o wojnie powstałe w Niemczech przekonują nas, niezależnie od uczuciowości i ostrości postawienia problemu, iż literatura ta zdobywa się na razie w tym względzie jedynie na cząstkową analizę. Często, jak w wypadku Hansa Fricka i jego powieści „Breinitzer albo tamta wina”, z rozrachunkiem łączy się bezkompromisowy protest, lecz i on jest również bezradny wobec złożoności zjawiska. Sztuka obdarzyła nas tutaj dziełami wstrząsającymi, odtworzyła ów czas, by ujawnić prawdę i ostrzec, ale nie wyjaśniła wielu kwestii. Oglądamy najczęściej powtórkę historii, trafiamy na potępiający komentarz i daję nam to satysfakcję, choć jest to satysfakcja niepełna. „Zaspokojenie poczucia sprawiedliwości jest jak dźwięk rogu po udanych łowach. W odczuciu niezależnego człowieka kara nigdy nie jest zdolna okupić przestępstwa” — pisze Kiluge w opowiadaniu „Kor-ti” i jest to przekonanie, które trapi i pisarzy, i czytelników, zwłaszcza gdy nawet najsurowsza kara jest niewspółmierna wobec niektórych win.

Podczas analizy okresu okupacji na ogół wszyscy zatrzymujemy się w miejscu, poza którym podejrzewamy jeszcze jakąś nieuświadomioną prawdę. Wyjaśnianie dehumanizacji człowieka karierowiczostwem, oba-

wą, ojczyzną i narodem nie wyczerpuje odpowiedzi. W „Wędrując po tematach” K. Wyka pisze, iż „wydaje się, że w człowieku dzisiejszym w określonych okolicznościach postępowania społeczno-politycznego z tym człowiekiem, całkowicie jest zdolny odżyć wtórny światopogląd magiczny.” Niemcy epoki Hitlera ilustrowaliby tę tezę bardzo dobrze, skoro łatwiej jest znaleźć przyczyny ich działania w magii, niż wyjaśnić je racjonalnie. Literatura w każdym razie nie potrafi tego zrobić w stopniu zadowalającym. Zasięg jej jest raczej to, że nie pozwala ona, by winy przeszłości stały się „tamnymi winami”, a więc minionymi i nie dotyczącymi współczesnych. Jest konieczne — twierdzi też dalej ta uczciwa literatura — że tak jak Niemcy są dumni z kulturalnych i cywilizacyjnych osiągnięć przeszłości, tak nie mogą również wyprzeć się swoich „lat upadku”. Jest to również konieczne, by pozbyć się fałszywego przekonania, iż istnieje jakieś szczególnie, niemieckie dobro, nie mające związku z dobrem człowieka w ogóle. Tym bardziej, że to Immanuel Kant twierdził w swoim imperatywie moralnym, wkuwanym przed 39 rokiem w niemieckich szkołach, że dobre jest to, co może się stać regułą powszechną.

nofilstwa zakotwiczona jest w samym sercu pisarskiej filozofii autora „Złotych kluczy”.

Augustyn Necel jest epikiem. Fundamentalnym zamysłem epickiego twórcy jest ukazanie totalności świata. Rzeczywistość ludzka uzyskuje perspektywę kosmiczną. Powiada się, iż ukazana jest z epickim dystansem. Świat przedstawiony staje się domeną ładu i harmonii, odsłania przed czytelnikiem swoją istotną prawdę, zgodnie z klasyczną formułą „verum est ens”. Do rzeczywistości epickiej nie można odnosić doświadczeń potocznego zdrowego rozsądku, nieuchronnie konieczne jest natomiast zajęcie postawy epickiej, kiedy to — jak pisze S. Skwarczyńska — „odbiorca poddaje się opowiadaczowi nie tylko przez ciekawość, ale — i to właśnie nazywamy postawą epicką — przez świadomość, że od niego idzie objawienie pewnych wartości wyższych nad zdarzeniowość samą w sobie, że sama przedstawiona zdarzeniowość jest nie tylko sama sobą, lecz także czymś albo reprezentatywnym, albo alegorycznym, albo symbolicznym, prawdą natury wyższej, tajemniczej, może religijnej, a przynajmniej kluczem do niej”.

Umieszczając w centrum swej epickiej panoramy Kaszubszczyznę, Necel pragnie uchwycić przede wszystkim jej zakorzenienie w planie transcendentnym, opowieścią swoją współkonstruować jej ład, jej wewnętrzny porządek, jej logikę ostateczną. Stąd narrator kaszubskiego eposu zajmuje płaszczyznę inną niż płaszczyzna rzeczywistości opisywanej. Ujęty w ramy epickie świat kaszubski uzyskuje rysy patetyczne i monumentalne. Funkcja Kaszubów jako zbiorowego bohatera epopei polega na egzemplifikowaniu losu ludzkiego i na heroicznej obronie ładu i sensu swego świata. Parowiekową historię kaszubskich bohaterów — od wojen szwedzkich po czasy nam współczesne — wypełnia bezgraniczna afirmacja „kilku prostych prawd”, gwarantujących trwanie kaszubskiego universum.

Realizacji epickiego zamysłu podporządkował pisarz dyskretnie wszystkie elementy swego dzieła. Akcja poszczególnych powieści nie biegnie wznoszącymi się asymptotycznie liniami dynamicznych napięć i nie przyciąga bez reszty uwagi czytelnika, opisy przyrody nie mają wartości autonomicznej, a postaci poszczególnych bohaterów nigdy nie stanowią pretekstu do przeprowadzenia studium psychologicznego. Wielość wątków, postaci i motywów odsłania metafizyczną prawdę świata.

Podjętą próbę eposu, Augustyn Necel przeżył frapującą przygodę intelektualną, która stanowi godną podkreślenia wartość jego dzieła. Kaszubskiemu prozaikowi, śledzącemu nowożytny kryzys klasycznej kultury, tej właściwej tradycji eposu, oczywista i konieczna wydała się nowa, zmodyfikowana teoria epopei. Wyjściowe pragnienie harmonijnej wizji świata znaleźć musi inną sankcję niż chrześcijańskie Objawienie — tak określić można generalną zasadę organizującą poszukiwania Necla, których zapis zawarty jest w samym dziele pisarza.

Struktura świata kreowanego w kaszubskiej epopei jest w znacznym stopniu chrześcijańska. Bohaterowie Necla są z gruntu religijni, a szczególnym kultem otaczają Matkę Boską Swarzewską. Dlatego rzeczywistość kaszubska istnieje w stałej interferencji z płaszczyzną uniwersalną. Motywacja wydarzeń jest często „cudowna”, daleka od respektowania prawd empirycznych i zasad realistycznej wiarygodności. Wewnętrzne rozdarcie chrześcijaństwa spowodowane przez Reformację i stymulowane przez podziały narodowe odciska swoje znamię na epopei Necla. Kaszubszczyzna stapia się z polskością na płaszczyźnie wiary i języka, określając się zarazem negatywnie wobec różnowerczej Północy: Szwedów i Niemców. Kryterium wiary i języka wyznacza granicę między „swojskością” i „obcością”. „Swoim” jest tylko — jak to paradoksalnie ujmuje pisarz — człowiek „polskiej wiary i katolickiej mowy”. Tym sposobem wielowiekowe



AUGUSTYN NECEL (Z LEWEJ)

(FOT. HENRYK KABAT)

Marian Śliwiński

Kaszubska epopeja Augustyna Necla

W świadomości szerokich kręgów czytelników postać Augustyna Necla funkcjonuje jako mit; miejsce osobowości pisarskiej zajęła legenda biograficzna. Ów mit — nazwijmy go mitem twórcy regionalnego — w charakterystyczny sposób rzutuje na proces recepcji samej twórczości pisarza. Wchodzące w skład mitycznego konterfektu wyobrażenia o Augustynie Neclu, już to jako późno debiutującym pisarzu-samouku, już to jako ludowym bardzie, stanowiącym rodzaj medium dla obfitych złóż tradycji rodzimego folkloru, pozwalają często zapo-

minąć o tym, że pisarz posiada przemyślaną i koherentną koncepcję estetyczną, którą konsekwentnie realizuje we wszystkich swych powieściach. Ewokując obraz ziemi kaszubskiej, malując dzieje zamieszkującej ją etniczności wypowiada jednocześnie cały szereg sensów uniwersalnych. Niepodobna polecać dzieła Necla analitycznej uwadze etnografów, historyków i językoznawców, zanim nie odczyta się zawartej w nim wizji świata i człowieka. Równie trudno traktować je jako szlachetną publicystykę głoszącą tezę o polskości Kaszub, gdy tymczasem idea polo-

związki historyczno-kulturalne Kaszubszczyzny z Polską zmanifestowały się w postaci idei polonofilstwa. Walczący ze Szwedami Kaszuba pokazuje swym towarzyszom książeczkę do nabożeństwa, otrzymując od króla Zygmunta: „Modląc się z niej uprosiłem niejedną łaskę u Boga”. Innowerczego przeciwnika posyła się na „Sąd Boży”, „nie do raju”. Sam pisarz traktuje swoją powieść jako rodzaj polemiki z „Piotropem”, jako że w tej narodowej epopei opisującej wojny polsko-szwedzkie nie zostało ukazane współuczestnictwo Kaszubów. Jeszcze drastyczniej granica języka i wiary dzieli Kaszubów i Niemców. W książce „Nie rzucim ziemi...” wypowiada Necel twierdzenie, iż tylko kult Marii Panny w Swarzewie pomógł Kaszubom przetrwać w polskości, zagrożonej ustawicznie przez nacjonalizm i szowinizm niemiecki. Rozkład chrześcijaństwa jako podstawy świata epickiego sygnalizuje też obfita obecność w świecie pisarskim Necla guseli i wierzeń wywodzących się z ludowej mitologii Kaszubszczyzny. Kultura kaszubska trwale przechowała pogańskie wyobrażenia religijne, przenikające wszystkie niemal sfery życia nadmorskich mieszkańców. Pisarz wprowadza je do swych powieści, eksploatując ich niepowtarzalny, „urokliwy” koloryt. Relacje między chrześcijańską wiarą a pogańskimi guslami rozwiązuje Necel w charakterystyczny sposób, polegający na przypisywaniu tym ostatnim funkcji „demonizowania” wszelkiej „obcości” i zagrożenia doraźnego. „Demonizowani” są często Niemcy. Wśród „okrętników spod Nordowej Gwiazdy” toczy się taki oto dialog:

— „Diabłów nie ma — powtórzył Julek.
— Są, są! — krzyczał Piomień. — Każdy pan ma swojego! Ile to razy widzieliśmy diabła w postaci Köhlera, choć ten kweker był w tym samym czasie w Gdańsku.

— Jak powstanie Polska — huknął Fagas — to tu nawet smród nie zostanie po tych komturach i ich piekielnych służkach.

— Jo! W Polsce diabły nie będą mieć siły — zapewniał Drzeżdżon — będzie mieć górę Matka Boska!”

Oczywiście, wyobrażenia pogańskiej mitologii, aczkolwiek przyczyniają się do wytworzenia w świecie pisarskim kaszubskiego twórcy szczególnej, tajemniczej aury, a nawet stanowią narzędzie pozwalające utrzymać ład i integralny porządek rzeczywistości, nie mogły być przyjęte przez Necla jako podstawa epickiej wizji.

Zanim znajdzie pisarz zadowalające rozwiązanie swych poszukiwań, podejmie jeszcze jedną próbę, która pozwala się zrozumieć w perspektywie myśli współczesnego filozofa francuskiego Teilharda de Chardina. Mowa tu głównie o idei pracy, dominującej w wielu fragmentach pisarstwa Necla. Kaszubi ukazani są jako pracownicy morza, pragnący poprzez połów, oporządzanie sieci, pokonywanie elementarnych trudów nadmorskiej egzystencji uczestniczyć w gigantycznym opus; świadomi spoczywającego na nich zadania „częstkowego przebóstwienia świata” w swym „nieskończeniu małym i nieprzekazywalnym zakresie”, stoją na wyznaczonym im odcinku Ziemi.

Decydujący dla ewolucji artystycznego świata Necla zwrot następuje w momencie objęcia epicką panoramą rzeczywistości Polski powojennej. Podjęcie tematu współczesności przez epika jest aktem jej nobilitacji, nadaniem jej skończoności nie tylko ze względu na treść, lecz także ze względu na sens i wartość. Jako rasowy epik dostrzegł Necel w atmosferze przenikniętej ideami historycznego optymizmu, materialistycznej teleologii i humanistycznego socjalizmu podstawę nowego ładu i porządku świata. Bohaterom „Wolności i niewoli” w przeddzień zakończenia wojny sens bytu komunikuje „muzyka świata”: „Na niebie migotała niezliczona ilość gwiazd. W strumykach, rowach i stawach wesoło rechotały żaby, w ogrodzie leśniewskim słowiczek nucił wesołą melodię.

— Tak! piękny jest ten świat... — mówił Albin.”

Piotr Kuncewicz

Marynistyka dzisiaj

Olbrymie jakościowe różnice dzielące marynistykę współczesną od tradycyjnej, od całej dotychczasowej reszty, wynikają z rewolucji technicznej, wciąż potężniejącej. Stopniowo odsuwa się niebezpieczeństwo i nieznane, zmniejsza udział pracy fizycznej. Praktycznie rzecz biorąc, jest to przejście od statków żaglowych do parowych, motorowych i w dalszej perspektywie atomowych. Towarzyszyły temu inne zmiany, z których największą jest rewolucja w łączności, czyli wynalezienie radia. Jeżeli dodamy do tego radar i wszystko to, co składa się na wyposażenie portów, to rozumiemy, że marynistyka w dawnym rozumieniu nie ma właściwie punktu oparcia. Niezbędne są nowe koncepcje, nowe rozwiązania.

Pamiętajmy, że równocześnie mamy do czynienia z wciąż rosnącym zainteresowaniem samą naturą, nieskażoną przez człowieka. Uzasadnienia zmieniają się zresztą: w tej chwili nie moglibyśmy już przyjąć na dobrą wiarę systemu pojęć Mariusza Żaruskiego. A przecież był to system bardzo konsekwentny i pozostał istotny bodaj jako punkt odniesienia. Jego panteizm musieliśmy zastąpić wprawdzie czymś innym, może pocuciem więzi biologicznej, inaczej też widzielibyśmy związki społeczne. Ale reszta jest i dzisiaj zastanawiająca. Cytuję Zbigniewa Krawczyka („Filozoficzne założenia ideologii taternickiej i marynistycznej Mariusza Żaruskiego”, „Studia Filozoficzne” 1968, nr 2: „Psychika żeglarzy jest całkowicie odmienna od psychiki ludzi żyjących i pracujących na lądzie. Ale właśnie jedynie żeglarzy, a nie załóg statków parowych... Czynnikiem kształtującym mentalność żeglarzy — odmienną i nie dającą się porównać z mentalnością najbardziej zintegrowanej załogi jakiegokolwiek zakładu pracy na lądzie — są odmienne warunki egzystencji. Należą tu: a) całkowita izolacja od szerszego środowiska, b) świadomość grożącego niebezpieczeństwa, c) poczucie względnej autonomii jednostki i uzależnienia jej losu jedynie od własnej sprawności, umiejętności, hartu — to jest od autentycznych cech osobowości”. Dalej zaś: „Robotnik fabryczny nie nawiązuje łączności personalnej z maszyną, z warsztatem pracy”. Na morzu jest natomiast inaczej: „Wytwór techniki stał się tu częścią przyrody, gwarantując człowiekowi zachowanie własnej autonomii i tożsamości”.

Tezy Żaruskiego można potraktować serio. Ale nie widzę jednak racji, aby tak bez reszty oddzielać załogi statków współczesnych i dawnych. Musi się naturalnie różnić opisywana materia, konkrety, realia. Ale przecież akurat to wszystko, co Żaruski wymienia, zachowało swą nośność i w chwili obecnej. Może nie w tym stopniu co dawniej, ale przecież całkowite ich unicestwienie nie jest chyba możliwe także i na przyszłość. Czy jednak na tyle, aby na tym tylko można było budować? To jest chyba rzecz do dyskusji.

W każdym razie warto rozważyć kilka wariantów współczesnej książki morskiej. Chciałbym przy tym zaproponować pewne rozszerzenie pola widzenia. Dlatego nie będę tu wcale omawiał dość powszechnie znanych pozycji, od Travena przez Paustowskiego do Monsarrata. Będzie mi szło raczej o to, jak morze przełamuje się w psychice współczesnej, a nie o wyznaczniki formalne i tematyczne. Otóż ów wpływ morza bywa przedziwny i spotykamy go w miejscach nie zawsze oczekiwanych. Tak więc za jednego z najwybitniejszych marynistów współczesnych skłonny byłbym uważać, zgodnie z o-

wym poszerzonym punktem widzenia, Alejo Carpentiera, pisarza kubańskiego. Jest on przede wszystkim urzeczony krajobrazem, w sensie zarówno dosłownym jak i przenośnym, odnoszącym się do krajobrazu umysłowego wysp Morza Karaibskiego. Tam bowiem łączą się wpływy przedkolumbijskiej Ameryki z bóstwami Afryki i tym wszystkim, co przywieźli ze sobą Europejczycy. Mówiąc przenośnie — kukurydza kojarzy się z oliwą.

To morze opisywane w „Królestwie tego świata” i „Eksplodzi w katedrze” jest niesłychanie malownicze i po prostu piękne, ale w podobny sposób, jak piękny jest cały świat prozy Carpentiera. Otóż to jest tylko jedna strona. Ważniejsza jest właśnie realizacja nowego typu kultury, odbywająca się właśnie dzięki morzu i na morzu. Słynny fragment ukazujący spotkanie pływających Karaibów z Europejczykami jest nie tylko marynistycznym obrazkiem, ale także historyzoficznym studium ludzkiego losu. Jego morze odzyskuje swoją barwę i urodę, a zarazem pełne symboliczne znaczenie, choć nie ma tu cienia melvillońskiej metafizyki. Ten „realizm magiczny”, jak go nazywają, może być znakomitą propagandą morza, niż dziesiątki szarych opisów marynarskiej doli. A czyż takie krzyżowanie kultur nie odbywało się także na Morzu Śródziemnym, na Bałtyku? Czyż możliwości widzenia pejzażu poprzez związki kulturowe nie zainaugurował u nas Żeromski w „Wietrze od morza”? Prawda, że w zupełnie innej i nie zawsze już dziś strawnej stylistyce...

Nie jest to jedyna współczesna wizja morza. Obok morza pięknego, morza magicznego jest morze swobody ducha, morze nieco rozchełstanego trybu życia. Mam na myśli Steinbecka „Tortilla flat” i „Ulicę nadbrzeżną”. Na ogół nie uważa się tych książek za marynistyczne, podobnie jak i Steinbecka nie uważa się za marynistę. A jednak wystarczy przejrzeć bodaj powierzchownie jego książki, aby stwierdzić jak często i uporczywie morze jest tam obecne. Jak zresztą i u Hemingwaya. Ale morze z tych na wpół żartobliwych, na wpół lotrzykowski opowieści jest morzem szczególniejszego autoramentu. Widzimy je bardziej pośrednio, przez pryzmat psychiki ludzi, którzy nad nim żyją. Jest to morze nieskrepowania, pozwalające swobodnie i bez zobowiązań żyć nad swoimi brzegami. Jest w tej postawie odrzucenie cywilizacji, odrzucenie wszystkich idealów społecznego i moralnego heroizmu i stąd trudno te książki uważać za nadmiernie pedagogiczne, zwłaszcza, że taki model życia jest przez swoją malowniczność pociągający. Ale ileż uroku mają! I trzeba przyznać, Steinbeck potrafił udowodnić, że w tym trybie życia, gdzie poczucie wolności daje bliskość morza, jest jakaś racja i sens. Naturalnie, to jest morze widziane z łądu i wprowadzone w sposób bardzo subtelny, a nie machinalny.

Jeszcze inny a osobliwy wariant prezentuje nam pisarz japoński, który bardzo niedawno dotarł do Polski, Mishima Yukio. W opowieści „Na uwiezi”, która zaskakowała polskich czytelników swoim okrucieństwem, znajdujemy marynarza, który znalazłszy miłość rezygnuje z dalszego pływania. Marynarz był najzwyczajniejszy na świecie, drugi oficer o powściągliwym, niegadliwym sposobie bycia. Otóż dla niego morze wiąże się w jakiś osobliwy sposób z chwałą. Tak oto morze odbija się w jego psychice: „Ciemny, namiętny przypływ morza, krzyk napierającej fali, lawina piany, rozbicie na przybrzeżnej lawicy, nieokreślony głos wiecznie wołający go zza widnokręgu, chwała zespo-

lona ze śmiercią i z kobietą, obietnica sławy, która uczyni z jego losu coś niepowtarzalnego. Gdy miał lat dwadzieścia, posiadał niezbitą pewność, że ciemne jądro tego świata kryje w sobie światło przeznaczone tylko dla niego, że pewnego dnia zdoła podejść i stanąć w pełnym jego blasku, sam jeden".

Marynarz zginie okrutną śmiercią i w ten sposób jego los będzie uratowany, odzyska chwałę. Dość ciemne jest to rozumowanie i zapewne wiele tu należy do specyficznej japońskiej mentalności. Ważne jest to, że w jakiś sposób morze wiąże się tu z niepowtarzalnością własnego losu, która jest czymś najwyższym. Zauważmy, że dość podobnie rozumował kapitan Achab u Melville'a i że wierność wobec własnego losu jest i dla Conrada czymś nad wyraz istotnym. Wersja Mishimy jest spośród nich wszystkich najbardziej ułotna, najbardziej pośrednia i wycieniowana. Owego oficera oglądamy zawsze na lądzie, a morze jest obecne w jego pamięci. I to okazało się znakomitą chwytliwym, zwłaszcza że wspomnienia marynarza nie są sfabularyzowane, że nie układają się w drugą sufladkową opowieść. Jego morze trzeba rekonstruować z odprysków i może dlatego jest tak sugestywne.

Oczywiście, nie są to jedyne propozycje widzenia morza, ale te wydają mi się najbardziej znamienne, po prostu dlatego, że są odkrywcze. I że tu morze jest naprawdę i że jego ludzie są właśnie niepowtarzalni w swoim losie, zarówno u Carpentiera jak i u Steinbecka, jak u Mishimy. A zarazem są uniwersalni, ich propozycje rozwikłania własnego losu trafiają do czytelnika, który musi się do nich jakoś ustosunkować. Niestety, nie można tego powiedzieć o przeważającej części marynistyki współczesnej, nie tylko polskiej zresztą. Po większej części, to co można współcześnie przeczytać o morzu i jego ludziach, nikogo nie obchodzi, nikogo ani ziębi ani grzeje. Co mnie obchodzi, że ktoś tam wspomina jakąś dziewczynę, że ktoś kogoś zdradza, a ktoś nie, że jeden pokłóci się z drugim? Nic a nic.

Jest to dla sprawy morza niedźwiedzia przysługa, ponieważ czytelnik dowiaduje się tylko tyle, że to wszystko jest śmiertelnie nudne. Już zwłaszcza polscy pisarze piszą tak, jakby się uparli odstraszyć od marynarskiego czy jakiegokolwiek innego morskiego zawodu majchętniejszych nawet adeptów. Czy myślący czytelnik może zaakceptować takie jałowe bytowanie? Czy nie lepiej w takim razie po prostu stanąć za tokarką na lądzie, gdzie przynajmniej można uciec po pracy od towarzysztwa takich samych nudziarzy, jakim się jest samemu? Gdzie tanie sentymenty nie wyrastają nad poziom obyczajówki, gdzie straszy nieśmiertelny Matysiak w krasie swojej najgorszej tandety intelektualnej. Groźne jest i to, że czasem ci sami pisarze potrafili znaleźć w człowieku coś więcej nad spokojne trawienie i slogany, kiedy tylko staną na kreowanym przez siebie pokładzie robia się rozpaczliwie nijacy.

A przecież gdzie jak gdzie, ale w Polsce jest wyjątkowo sprzyjający klimat do rozwoju marynistyki z prawdziwego zdarzenia, marynistyki wielkiego lotu. Nastąpiła bowiem szczególna substytucja: Polska, która była kiedyś wielkim krajem, odnalazła szansę wielkości właśnie na morzu. Tym chyba tłumaczy się nagły zryw morski u początku międzywojennego dwudziestolecia, tym być może tłumaczy się architektura Gdyni, ostatniego snu imperialnego, tym także, kto wie, tłumaczy się Conrad. I także, być może polska fascynacja Conradem. Marnowanie tych społecznych podświadomości jest po prostu zbrodnia.

Ten rzut rozwoju problematyki morskiej, jaki zarysowałem tutaj, dowodzi kilku rzeczy. A więc przede wszystkim tego, że wielka literatura morza powstawała wtedy, gdy morze służyło powszechniejszej problematyce. Najpierw rozwijała się alternatywa morza łączącego i morza izolującego. Potem morze wdarło się w głąb psychiki ludzkiej,

skojarzyło się z nią wieloma sposobami. Nie wiem, czy można sensownie mówić o ideologii morskiej czy nie i być może Telega ma rację. Ale czy nie jest to po prostu spór o słowa? Czy nie godzimy się i tak wszyscy co do konieczności rozwijania tej problematyki? Chodzi po prostu o to — jak.

I tutaj ostatnie dwadzieścia lat może nas pouczyć o wielu sprawach. Ze bohaterem morskim, którego szuka czytelnik, jest bohaterem powściągliwym a nie rozgadany. Ze równocześnie musi być czymś więcej niż tylko konkretnym człowiekiem na konkretnym statku, że musi symbolizować nas wszystkich. Ze konieczne są techniki pośrednie, że widzenie z brzegu morza bywa istotniejsze, niż najbardziej marynarska czy rybacka epopeja. Ze wreszcie potrzebna jest problematyka inna, niż obyczajowa, że powinna ona być moralistyczna, historiozoficzna, kulturologiczna, narodowa, społeczna w wielkim wymiarze, że musi tu o coś chodzić, a nie o rozpaczliwe mnożenie doszczętnie wy-

eksploatowanej obyczajowości i doszczętnie wynudzonej psychologii.

Niech się tam wreszcie coś zacznie dziać na wielką skalę. Jeżeli nie sposób rzeczywistości nie ciekawego napisać z perspektywy pokładu, czego zresztą wcale pewien nie jestem, to można pisać z perspektywy marzenia o tym pokładzie. Literatura współczesna na całym świecie odchodzi od traktowania człowieka sub specie jego zawodu. Trzeba więc mówić marynarzom, że ich los może być wielki, że są bardziej ludźmi, niż marynarzami, że spory o to czy w tropikach jest wesoło czy smutno, są sporami na żenującym poziomie, że ich — i pisarzy i krytyków — stać na wiele, wiele więcej.

Nie bez powodu sięgaliśmy w przeszłość, nie bez powodu bystro obserwujemy współczesnych. Wszystko to mówi nam, jak ów stary Chińczyk w „Na wschód od Edenu”, owo biblijne „timszel”, „możesz”, to jest wykonalne, inni potrafią i ty to potrafisz.

Stanisława Fleszarowa-Muskat

O Odrze nad Szprewą

Berlińskie wydawnictwo Verlag der Nation wydało na wiosnę tego roku tom opowiadań pisarzy polskich pod znamennym tytułem „Im Westen fließt die Oder”. Wśród dwudziestu opowiadań znalazł się „Mecz”, pochodzący z tomu moich opowiadań „Jedna noc z tamtych lat”, opowiadanie o tematyce gdańskiej, w którym współczesność miesza się z przeszłością miasta i ludzi. Tych, którzy tu przetrwali i są, tych, których w różny sposób i z różnych powodów tu już nie ma.

W związku z ukazaniem się tomu i licznymi recenzjami w prasie na ten temat, Verlag der Nation zaprosiło mnie na wiosenne Targi Lipskie, na których tom miał być prezentowany. Niestety, nie mogłam w tym czasie pojechać do Lipska i dopiero we wrześniu udałam się do Berlina na zaproszenie Ośrodka Informacji i Kultury Polskiej oraz Verlag der Nation na dwa spotkania z czytelnikami „Im Westen fließt die Oder”, a także słuchaczami radiowymi i widzami TV, ponieważ radio berlińskie kilkakrotnie wznawiało na antenie moje słuchowisko „Ten Braun”, nadane przed dwoma laty w ramach festiwalu słuchowisk obcych, a TV nadała w grudniu ub. roku moje widowisko telewizyjne „Tam i gdzie indziej” w gościnnej reżyserii polskiego reżysera Andrzeja Konica. Obydwa utwory tłumaczył zaśluzony dla upowszechniania polskiej dramaturgii w NRD (tłumacz m.in. utworów Broszkiewicz, Grochowiak, Zofii Posmysz), prawdziwy przyjaciel języka polskiego, Peter Ball.

Spotkania odbyły się w nowym pięknym budynku Ośrodka Informacji i Kultury Polskiej przy Liebknechtstr. 7, w samym centrum Berlina, z widokiem na wieżę telewizyjną, obleżoną wciąż przez zwiedzających, mimo upływu dwu lat od chwili jej ukończenia.

Uczestnikami pierwszego spotkania byli słuchacze kursu języka polskiego, prowadzonego przez ośrodek — znalazłam się wśród ludzi w różnym wieku, o różnych zawodach, a także różnej znajomości języka polskiego, pomoc tłumaczki była więc nieodzowna. Dyskusja toczyła się nie tylko wokół mojej wypowiedzi, a mówiłam o temacie wojennym w twórczości własnej, o tzw. problemie polsko-niemieckim, o wciąż wiszącym nad Europą pytaniu: kim będą młodzi Niemcy, różnym wpływem poddawani w NRF (ostatnia moja książka „Wizyta”) — dyskutanci wypowiadali się w sposób

wnikliwy i szczerzy także i o innych nurtujących ich sprawach, o ciężarze „moralnym”, jakim wciąż jest spuścizna ostatniej wojny, o przemianach zachodzących w społeczeństwie NRD, bo to proces jeszcze nie zakończony, jak określił to jeden z mówców. Przypomniała mi się dyskusja, toczona przed dwoma laty między słuchaczami „Tego Brauna” w Bad Lärchstädt pod Halle, gdzie także, jak i tu, mówili o tym młodzi ludzie.

Drugie spotkanie odbyło się w gronie głębiej wtajemniczonym w język polski — przybył na nie „kwiat berlińskiej polonistyki”, jak to określili dyr. Sznurkowski, z ramienia ośrodka prowadzący spotkanie: prof. A. Hermann z Uniwersytetu im. Humboldta, dr Dieckmann i dr Olszewski z Akademii Nauk, tłumacze i dziennikarze, a także pracujący na tutejszym uniwersytecie Polacy, m.in. młody naukowiec z Uniwersytetu Łódzkiego, dr Tadeusz Błażejowski, który w toku dyskusji nad tomem „Im Westen fließt die Oder” i nad literaturą o ziemiach odzyskanych przypomniał moją podkreślającą jej społeczne znaczenie wypowiedź na Zjeździe Pisarzy w Zielonej Górze, w 25-lecie powrotu tych ziem do Polski.

Na berlińskim spotkaniu mówił o tym zagadnieniu bardzo pięknie i z dużą znajomością przedmiotu autor i redaktor antologii „Im Westen fließt die Oder”, a także tłumacz dziesięciu opowiadań, któremu i „Mecz” zawdzięcza swoje niemieckie brzmienie, Kurt Kelm.

U podstaw zamierzenia wydania tomu opowiadań o polskich ziemiach zachodnich i północnych leżała ujawniona od dawna i różnorodnymi potrzebami podkreślona konieczność przybliżenia tego tematu niemieckiemu czytelnikowi, ukazania mu go w oświetleniu innych doznań uczuciowych i intelektualnych, niż odczucia tych, którzy te ziemie przedtem zamieszkiwali. Czytelnik niemiecki nie wiedział nic, albo prawie nic o trudnych początkach zasiedlania tych opuszczonych terenów, z których ludność została w ostatnich miesiącach wojny prawie zupełnie przez cofających się nazistów usunięta, nie miał pojęcia o ogromie przeobrażeń, jakie się tu dokonały w różnych dziedzinach. Kurt Kelm mówił o zakończonej integracji tych ziem z Polską, w czym swój ogromny udział miała także i literatura tam powstająca, czerpiąca swoją siłę i natchnienie z nieodwracalności narodowych i społecznych dokonań.

W nawiązaniu do wypowiedzi Kurta Kellma, w swoim wystąpieniu położyłam głównie nacisk na te motywy w mojej twórczości, których wyrazem jest nie tylko protest przeciwko wojnie i faszyzmowi, ale także i przede wszystkim odwieczne ludzkie pragnienie zrozumienia i zjednoczenia w obronie życia, godności i prawa do własnych u-

Anna Pardi

Miłość

Człowiek przez którego wyraża się moje życie
obok którego z wysokości 168 cm sięgam nieba
z którym odkrywamy swe agresywne instynkty
który za każdym rogiem pokazuje mi ocean
który szukając mnie organizuje rozpadający się czas

(Tłumaczył: István Dabi)

czuć i przekonań. Usiłowałam dowieść, że temat wojenny nie jest wyłącznie twórczą obsesją pisarzy polskich, czy pisarzy obozu socjalistycznego, że wracają do niego wszyscy postępowi pisarze na całym świecie w głębokim przekonaniu, że jest to wciąż aktualna przestroga dla nierozbrojonego przecież świata. W późniejszej dyskusji prof. Hermann zwrócił szczególną uwagę na tę część mego wystąpienia, wzbogacając je i pogłębiając swoimi uwagami.

Na zakończenie przeczytałam fragment „Pozwólcie nam krzyczeć”, część rozdziału o starej armacie na kościelnym wzgórzu w

małym bawarskim miasteczku, z której podczas mszy żałobnych za dusze poległych, a pochodzących z tego miasta żołnierzy, oddawano trzy wystrzały. Na początku książki na początku wojny armata odzywa się rzadko, ale mijają wojenne lata, odwracają się losy wojny i każdego ranka cichym miasteczkiem wstrząsają wystrzały starej armaty... Przeczytałam także fragment „Meczu” w tłumaczeniu niemieckim, ograniczając się do krótkiej opowieści bohatera opowiadania, studenta z Heidelbergu, który w piętnaście lat po wojnie wraz ze swoją drużyną sportową przyjeżdża do Gdańska. Opuścił to miasto jako ośmioletni chłopiec, unosząc ze sobą tylko wspomnienie starej piwiarni swego dziadka „Am Mottlau”.

To opowiadanie stało się później zaczątkiem dyskusji — ostatnie jego zdanie, cytowane zresztą w postowie antologii, brzmi: „Die Hoffnung hängt von dir ab. Von euch.” Prof. Hermann pyta o stosunek fikcji do rzeczywistości w moim opowiadaniu, a także do jakich doszłam wniosków, przedstawiając w „Wizycie” problem młodzieży niemieckiej w NRF, wychowywanej pod różnego rodzaju ideowymi naciskami. Niestety — sprawa jest otwarta, otwarty problem, pytanie, na które tylko czas może dać odpowiedź.

Zabrał w końcu głos współorganizator spotkania, Cheflektor Verlag der Nation O. Menard. Wydanie antologii polskich opowiadań o ziemiach odzyskanych mogło być uważane za dość ryzykowne przedsięwzięcie edytorskie, a oto — z satysfakcją stwierdza przedstawiciel wydawnictwa — w tej chwili w przygotowaniu jest już drugie wydanie; pierwsze rozeszło się nadspodziewanie szybko. Tom „Im Westen fließt die Oder” trafił więc w rzeczywistą potrzebę społeczną. Czy w NRF pogodzone się z przynależnością tych ziem do Polski? Czy z pokolenia na pokolenie nie przechodzi tam kultywowane wciąż z żarliwością przywiązanie do utraconych domów? W NRD od dawna został zaakceptowany istniejący stan rzeczy — dokonało się to w sferze trzeźwej rozumowej oceny historycznych rozstrzygnięć. Ale czy dokonało się to także w sercach wszystkich obywateli? Postawiwszy to

pytanie red. Menard podkreślił jeszcze raz nadzieję, jakie w tej mierze można wiązać z antologią polskich opowiadań.

A po powrocie do Sopotu zastałam w domu list od pana Ernsta Loopsa z Wernigerode, który napisał do mnie po przeczytaniu antologii. Geborener Danziger — jak pisze o sobie — pracował w Wolnym Mieście jako socjaldemokratyczny redaktor, był posłem i senatorem, a od 45 roku żyje w Wernigerode „anerkannt als Verfolgter des Nazismus”. Przed dwudziestu laty był współzałożycielem Towarzystwa Przyjaźni Niemiecko-Polskiej, a zebrane przez siebie w

Kazimierz Sopuch

Mechanika spadania

najbardziej pionowe linie
można osiągnąć przy spadaniu ciała
ileż to razy
zdany tylko na siebie
śledziłem swój upadek:
zapadanie
spadanie
odpadanie od pionu
człowiek
nie poddaje się prawom fizyki —
spada zygzakiem
a nawet
w najmniej oczekiwanym momencie
zaczyna się piąć pod górę
strzeliście

ciągu całego życia materiały, dotyczące historii Gdańska, postanowił przekazać Bibliotece PAN przy ul. Wałowej. W różny więc sposób może się przejawiać miłość do rodzinnych miast...



(ZDJĘCIE: KRZYSZTOF KAMIŃSKI)

Ewa Nawrocka

SZARE, SMUTNE
„NASZE MIASTO”

Zygmunt Katużyński pisał kiedyś: «Nasze miasto» jest przede wszystkim sztuką o moralnym wyjściu z kryzysu, a tu leży ewentualny motyw zainteresowania w naszej dzisiejszej sytuacji». Nie historycznie potraktowana problematyka socjologiczna, nie formalne eksperymenty z reżyserem — kreatorem i pantomimicznymi wstawkami, ale moralny sens, etyczny walor opowieści o dziejach dwóch rodzin w pewnym prowincjonalnym miasteczku w początkach naszego wieku, dziejach miłości, narzeczeństwa, małżeństwa i śmierci bohaterów stanowi szansę przywrócenia sztuki Wildera współczesnemu odbiorcy. Odsłania ona bowiem urok codzienności i walory prowincji, które polegają głównie na tym, że świat ten jest światem opartym o sprężysty i jednoznaczny system wartości moralnych.

Kiedyś ten sceniczny obraz przypominał kwitowany ironią i kpinką świat mieszczańskiej prowincji, dziś jest utopią będącą wyrazem marzeń. Sztuka Wildera pełni funkcje terapeutyczne, jak ożywcze źródło wiary w nas, wiarę, że w życiu potocznym, codziennym, rodzinnym i społecznym tkwią wartości, będące podstawą moralnej odnowy współczesnego człowieka. Ze tkwią one po prostu w życiu. Jest to niewątpliwie obraz stabilizacji, ale zwaloryzowanej dodatnio, stabilizacji jako harmonii i spokoju, ale również jako ustabilizowanych uniwersalnych wartości. Jest to stabilizacja nie tyle natury materialnej, czy ekonomicznej, ile duchowej i moralnej. Zbyt długo już nasz świat egzystuje w chaosie, by marzenie o takiej stabilizacji nie było czymś pożądanym.

Nie jest to przy tym świat pozbawiony spłęd dramatycznych: trzeci akt sztuki wprowadzający na scenę na równych prawach postaci zmarłych i żywych ukazuje jednocześnie dość istotną między nimi różnicę — żywi żyją prędko, jakby

w pośpiechu, nie umiędzy cieszyć się chwilą, momentem albo cieszą się nie dość mocno. Umarli umiędzy docenić uroki i wartości życia ale dopiero gdy minie, kiedy jest już za późno. Wartość ziemskiego bytowania ujawnia dopiero perspektywa wieczności.

Twórcy gdańskiej inscenizacji „Nasze miasto” zostali „skazani” na konfrontację swego dzieła z telewizyjnym spektaklem tej sztuki w reż. Jerzego Gruzzy, którego powtórzenie w letnim przeglądzie widowisk telewizyjnych zbiegło się niemal z premią na sopockiej scenie. Stosunkowo niezbyt częste wystawianie sztuki Wildera na scenach polskich sytuuje spektakl Hellwiga — Górzyskiego w zaszczytnym sąsiedztwie poprzedzających go inscenizacji, z których najznakomitsze to najsłynniejsze to pierwsze po wojnie przedstawienie braci Akerów w Teatrze Współczesnym w Warszawie w r. 1957 i Leona Schillera w Teatrze Narodowym w Warszawie w r. 1939. Zarówno tradycja jak i telewizyjny „konkurent” zobowiązują i nie ułatwiają zadania. Reżyser i scenograf starali się uwolnić od paraliżującego dziedzictwa i dali własną propozycję interpretacji sztuki Wildera. Wyeksponowali jej moralitetowy charakter, rezygnując z elementów rodzajowości (tak istotnych w pięknym widowisku telewizyjnym Gruzzy) przytłumiając nawet elementy realizmu poprzez daleko posuniętą umowność sytuacji scenicznych, gestu i szkicowy charakter postaci.

Przedstawienie to w swojej moralitetowej surowości i ascetyczności jest konsekwentne i bardzo klarowne, kwestia dyskusji pozostaje sprawa wyboru oraz tak zdecydowane i jednostronne wyeksponowanie tej właśnie konwencji. Szczególnie stanowczo idzie reżyser a zwłaszcza scenograf (Ali Bunch) w kierunku „odrealnienia” opowiadanej i aranżowanej przez reżysera historii dwóch rodzin z miasteczka Grovérs Corners. Akcentuje to zwłaszcza w ekspozycji przedstawienia. Scena spowita w gazowe zasłony (co nie jest jednoznaczne z sugerowaną przez autora pustą neutralną teatralną sceną), oświetlona białosrebrnym światłem; wylaminująca się z tych muślinów kostyczna, czarno odziana postać Reżysera (Henryk Bista), głośne akordy organowe toczące z czterech tajemniczych czarno odzianych młodzieńców rozchodzących się w dwie strony sceny (później orientujemy się,

że roznoszą oni rekwizyty) wprowadzają już na początku atmosferę dziwności i obcości, zaznaczając dystans między sceną a widownią. Mimo późniejszego rozjaśnienia sceny i w zasadzie realistycznej konwencji gry scenicznej (mimo braku rekwizytów) to wrażenie „odrealnienia” nie mija. Podtrzymuje je kolorystyczna tonacja spektaklu z dominowaniem przybrudzonej bieli, szarości i czerni, małe urozmaicenie w kolorze i kroju kostiumów, które stają się przez to jakby nieważne, nie pełnią funkcji charakteryzowania postaci, ich indywidualizowania. Rozbudowane ponad potrzebę komunikatywności pantomimiczno-gestywne partie (zwłaszcza zbyt drobiazgowo potraktowane czynności obu pań Webb i Gibbs) i zróżnicowanie wyglądu krzeseł w trzecim akcie, na których siedzą zmarli (zapewne aluzja do różnic w wyglądzie cmentarnych nagrobków) wydają mi się posunięciem zbyt czystym w tym rezygnującym z realistycznej dosłowności i szczegółowej obserwacji przedstawieniu. Hellwig — Górzyski zmusza widzów do zajęcia pełnej dystansu postawy wobec osób i zdarzeń prezentowanych na scenie poprzez takie ustawienie postaci Reżysera, które nie pozwala na nawiązanie z widownią żadnej bliższej, intymniejszej więzi. Reżyser Henryka Bisty zdaje się tkwić bardziej w świecie postaci sztuki niż w świecie widzów (co nie wydaje się mi słuszną), jest surowy, chłodny, powściągliwy, działa jak „duch” żeby nie powiedzieć „demon” tego spektaklu jako spiritus movens nie zaś żywy realny człowiek.

„Nasze miasto” nie jest dla nas nasze, jest dalekie i obce a jego mieszkańcy od początku widziani przez pryzmat pozaziemskiej egzystencji.

Jest w tym przedstawieniu kilka jasnych miejsc — jasnych w sensie dostojnym przez rozjaśnienie sceny kolorem i światłem jak i sprawnością aktorskiego działania, wdziękiem i humorem. To zabawny i kunsztowny epizod z profesorem Willardem (Leszek Ostrowski), świetna aktorsko scena oświadczenia Emilki i George’a (Teresa Kaczynska i Krzysztof Gordon) wzruszająca, pełna ciepła scena przed ślubem George’a i pani Gibbs (Irena Maślińska i Krzysztof Gordon), wyrazista postać Szymona Stimona (Andrzej Szalawski) — zwłaszcza doskonale rozebranie nieistniejącego rekwizytu (papierosa) w

teatr

scenie z pouczeniem i redaktorem Webbem.

Przedstawienie to nabiera spójności z aktu na „wina” to po trosze autora, w pierwszym akcie umieścił on więcej partii narracyjnych, więcej prezentacji i sytuacji opisowych niż w następnych. Interesują nas poszczególne sceny, epizody, całość pozostaje w rozsypane. Dopiero trzeci akt pozwala spiąć te luźne części w spójną całość, zaczynamy rozumieć wewnętrzną logikę dramatu, jego achronologię, luźność, umowność. Ma to swój głęboki sens: przeszłość jawi nam się we wspomnieniu jako chaos, dopiero przyszłość i perspektywa wieczności nadaje im porządek i znaczenie. Porządkująca i sensotwórcza funkcja podmiotu myślącego, w tym wypadku reżysera — poety została w przedstawieniu stonowana. Akt trzeci wydaje się być najbardziej zwarty i jednocześnie najważniejszy w całości. W dużej mierze dzięki Teresie Kaczynskiej jako Emilce Webb. Ta wszechstronnie utalentowana aktorka (ostatnio niezbyt szczęśliwie obsadzana) udowodniła raz jeszcze wartość doskonałego rzemiosła aktorskiego, którego nie jest w stanie zastąpić najautentyczniejsza niedoświadczona w aktorskim fachu młodość. Jej Emilka posiada prawdę i szczerość przeżyć, zwłaszcza Emilka umiera z III aktu, gdzie do kobiecego wdzięku i liryzmu dodaje Kaczynska pełen skupienia dramatyzm. Scena powrotu Emilki na ziemię i jej dialog z umarłymi są przejmujące, bo udaje się jej przebić mur obojętności i dystansu między sceną a widownią. ■

p.s. Leon Górecki jest autorem pantomimy, a nie jak podaje mylnie program „pantomimy”.

T. Wilder Nasze miasto. TV Warszawa, 17. VII 1972 (powtórzenie z roku 1969). Reż. Jerzy Gruza, scen. Marek Lewandowski, oprac. muz. Andrzej Trybula, reż. TV Anna Minkiewicz.

T. Wilder, Nasze miasto, przekład Julia Ryłska, premiera 26. VIII 1972. Reżyseria — Lech Hellwig-Górzyski, scenografia — Ali Bunch, pantomima — Leon Górecki, opracowanie muzyczne — Jerzy Michalak.

Mirosław Komendecki

POSEZONOWE
REFLEKSJE

Wybrzeże — z racji atrakcyjności klimatu, pięknego położenia Trójmiasta, zabytków Gdańska — jest terenem nawiedzonym w okresie letnim, tzw. „sezonie”, tłumnie. Rok kalendarzowy da się więc podzielić na dwa wyraźne okresy — sezon letni i całą pozostałą resztę. Jak byśmy nie oceniali tego zjawiska, jest ono bezspornym faktem i trzeba się z nim liczyć. Także w planowaniu i organizacji działalności kulturalnej, a więc i wystawiennictwa plastycznego. Nie znaczy to naturalnie, że trzeba (jak to się niestety w niektórych dziedzinach życia dzieje) realizować hasło „frontem do turystów” zwracać się odwrotną stroną do „turyści”, lekceważąc i pomijając ich potrzeby. Po prostu najlepsze wystawy plastyczne, najciekawsze imprezy z tej dziedziny powinny mieć miejsce w pełni sezonu ze względu na możliwość znacznie szerszego oddziaływania, poszerzenia funkcji „upowszechniowych” galerii, zainteresowania współczesną sztuką znacznie szerszego grona ludzi, niż w innych okresach roku. Słuszna ta tendencja znajduje na ogół odbicie w planach całorocznej pracy instytucji parających się na naszym terenie wystawiennictwem plastycznym, w zamierzeniach przedsezonowych umiejscowienia „głównego programu” właśnie w pełni lata. Powtarzam — taki układ programu jest celowy,

zamierzenia słuszne. Czy jednak zawsze najlepiej są one realizowane?

Czasami, jak mi się wydaje dochodzi nawet przy tym do pewnej przesady: brak sensownej koordynacji poczynają różnych instytucji, organizujących ekspozycje plastyczne powoduje, iż w początku lipca mamy w Trójmieście jeden wernisaż po drugim, często nawet kilka jednego dnia; potem przez czas dłuższy czynne są te same wystawy, nic się nie zmienia w galeriach. To jednak nie jest dużym minusem, chyba że dla tubylców. Za to przybywający w różnych okresach turyści mogą najciekawiej ekspozycje roku doświadczyć i w spokoju obejrzeć. Gorzej, że bezpośrednio po sezonie następuje w naszym wystawiennictwie okres zastoju, nie właściwie ciekawego nie dzieje się przez dłuższy czas. Taki odpoczynek, sen posezonowy naszych „upowszechniawców”, plastyki obserwowaliśmy we wrześniu tego roku. Należałoby moim zdaniem, przy zachowaniu priorytetu miesiąca letniego, bardziej równomiernie rozkładać imprezy w czasie, tak, aby nie dopuścić do powstawania w żadnym terminie okresów martwych.

Od dwudziestu pięciu już lat główną imprezą roku na Wybrzeżu w wystawiennictwie plastycznym jest organizowany tradycyjnie w lipcu-sierpniu przez sopockie BWA Festiwal Sztuk Plastycznych. Na tegoroczny, jubileuszowy festiwal złożyły się dwie ekspozycje: ogólnopolska — młodego malarstwa, rzeźby i grafiki i okręgowa — dwudziestopięcioletnia malarstwa na Wybrzeżu gdańskim. Pierwsza z nich to impreza organizowana tradycyjnie co dwa lata na zmianę z „Porównaniami”, druga — stanowiła nowość i miłe zaskoczenie, wysoko przewyższając poziomem przeciętne „wystawy okręgowe” i dla mnie osobliście była ciekawsza od ogólnopolskiej wystawy

młodych. Myślę, że właśnie tego typu wystawy prezentujące dorobek środowiska, naturalnie oparte o przemyślaną scenariusz, podporządkowane jakiejś wiodącej koncepcji i dość ostro selekcjonowane powinny stanowić najważniejsze, czołowe imprezy przyszłych FSP. Ambicja organizowania w Sopocie jednej większej wystawy ogólnopolskiej jest wprawdzie zrozumiała, myślę jednak, że przy zachowaniu tego typu ekspozycji w programie festiwalu słuszniej byłaby jednak ambicja zaprezentowania dorobku twórczego gdańskich artystów tak, aby ta właśnie „okręgowa” wystawa nabrała rangi i rozgłosu wydarzenia w skali ogólnopolskiej. Chyba właśnie sezon letni jest najlepszą okazją propagandy twórczości naszych artystów na szerokim forum. A jest co propagować i jest się czym pochwalić — także przed gośćmi z zagranicy. Udowodniła to raz jeszcze tegoroczna wystawa 25-lecia.

Taki układ programu FSP — jedna wystawa ogólnopolska i jedna zbiorowa ekspozycja twórców Wybrzeża — uważam za najwłaściwszy na przyszłość, lepszy niż często poprzednio stosowany zestaw: jedna wystawa zbiorowa i szereg indywidualnych, prezentujących twórczość artystów zarówno gdańskich, jak i z innych rejonów. Tego typu ekspozycje powinny moim zdaniem zostać przesunięte na pozostałe miesiące. Sezon jest w naszych warunkach klimatycznych krótki i trzeba ten okres naprawdę jak najlepiej wykorzystywać zarówno dla upowszechnienia dorobku współczesnej sztuki wśród szerokiej publiczności jak i dla propagandy dorobku naszego środowiska wśród gości z zewnątrz.

Niestety z formami tego upowszechnienia nie było w tym roku najlepiej. Ogromna większość wystaw była organizowana w sposób tradycyjny, bez rozgłosu i reklamy, co

plastyka

najwyżej otwarcie ich połączone było z tradycyjnym wernisażem. Nawet o tak interesujących ekspozycjach, jak pokaz grafiki Marca Chagalla w Muzeum Pomorskim, czy wystawa gobelinów Spółdzielni „Artes” w Ratuszu Głównomijskim wiele osób po prostu nie wiedziało. O mniejszych wystawach, organizowanych przez GTPS, ZFAP czy też różne kluby jeszcze trudniej było się dowiedzieć; w natłoku różnorodnych imprez pełni sezonu nieefektywne informacje prasowe po prostu ginęły. Poza bardzo udaną uliczną wystawą w Gdyni, prezentującą plon kolejnego pleneru morskigo, brak było tak ze strony organizatorów wystaw, jak i samych artystów, jakichkolwiek prób poszukiwania nowych form dotarcia do publiczności, śmielszego i bardziej zwracającego uwagę wychodzenia widzom naprzeciw. Zrezygnowano w tym roku nawet z tych nielicznych imprez, przyciągających widzów do współczesnej sztuki, które organizowane były w latach poprzednich. W ramach XXV-tego jubileuszowego Festiwalu Sztuk Plastycznych nie odbyła się ani jedna z imprez towarzyszących. Zaprzestano również organizować sympozja poświęcone sztuce GTPS. Nie wykorzystano w pełni możliwości nowych form propagandy sztuki, jakie dawał Jarmark Dominikański — poza studentami PWSSP tylko bardzo niewielu malarzy wyszło ze swymi pracami na przedproża ulicy Mariackiej.

O tym, że nieschematyczna, nowa forma propagandy plastyki może przyciągnąć publiczność, że mimo

narzekają na brak zainteresowania współczesną plastyką w społeczeństwie istnieją jednak duże grupy ludzi, chętnych do kontaktów ze sztuką, trzeba tylko umieć do nich trafić. Świadczy o tym niedawny przykład Gdańskich Targów Plastyki. Dobrze zorganizowane i reklamowane, wspo-

magane troskliwą opieką władz kulturalnych i politycznych zakończyły się one sukcesem mimo niezbyt korzystnego terminu (na przyszłość należałoby chyba organizować tę imprezę na przełomie sierpnia i września). Pisząc o sukcesie targów mam na myśli nie tyle nawet niespodzie-

wanie duże zakupy (obroty przekroczyły znacznie pół miliona), ile raczej zaskakująco wysoką frekwencję widzów, zwabionych odmiennością tej imprezy. Można więc upoważnić sztukę nieschematycznie i ciekawie. Ale nie wystarczy do tego samo rozwieszenie obrazów na

ścianach galerii, a widzów nie przyciągnie do sal wystawowych samo narzekanie na ich brak... Oby wszyscy organizatorzy ekspozycji plastycznych w przyszłym sezonie potrafili wyciągnąć właściwe wnioski z sukcesu propagandowego tegorocznych targów.

Miłosława Bukowska

DEBIUT KSIĄŻKOWY MICHAŁA HERMANA

Wśród licznych dziś utworów poetyckich, którym brakuje autentyczności odczuwania, opierających się na manierycznych językowych operacjach i formułach komunikatów, interesującą propozycją wydaje się być wiersze Michała Hermana. Nie są one sztuką łatwą w odbiorze, gdyż specyficzny sposób obrazowania poetyckiego jest jakby programowym zaprzeczeniem dotychczasowego konwencjonalizmu poznawczego i artystycznego.

Świat tu prezentowany jest światem rozbitych wrażeń, nie dających się uchwycić w opisie naśladowniczym, rzeczywistość nie jest tu nazywana, lecz przetwarzana przez silnie subiektywizowane spojrzenie podmiotu. Realistyczne pozostają konkrety, które na skutek umieszczenia ich w kontekście odległych

skojarzeń, przenoszą się w wymiar irrealnych wizji: „I dziś przekrwi się morze/ na plecach zrosnione w cios/ z uchem w chmurach/ z kopyta na wzgórze przeskoczy/ a my w tancie przewlekły ruszymy”. W większości wierszy dominuje tego typu surrealistyczny porządek i wizja świata. Niewątpliwie tradycja nadrealistycznego sposobu wypowiedzi stała się jedną z tendencji we współczesnej poezji, którą przy nieco odmienniejszej argumentacji nazywa się ekspresjonizmem.

Występująca u Hermana trudna i skondensowana metafora wskazuje na antynomie między rzeczywistością obiektywną a odbitą w psychice. Konsekwencją tego nie jest jednak tworzenie własnego mistycznego świata. Bardzo wyraźnie bowiem daje się odczytać, że poza warstwą irrealnych wizji kryją się obsesje codziennosci. Są to niepokojące ideowe (np. „Mówmy o dzisiaj” i jeden z najlepszych wierszy „Mam coś dla ciebie”), artystyczne („Debiutanci”) oraz moralne. Część wierszy można by zaliczyć do erotyków, gdzie miłość nacechowana jest przecuciem o unicestwieniu życia.

Nie jest to poezja rzeczy, przedmiotów, wiele miejsca zajmują czynności, a raczej pytania o wynik działań, z czasu teraźniejszego wynika niepokój o czas przyszły. Obrazy opisujące zatrzymany moment wybiegają w chwilę, która ma nastąpić, a podmiot obdarza je sceptycznymi lub ironicznymi uwagami.

Trudno mówić o całkowitej jednolitości poetyki wierszy zebranych w tym tomiku. W surrealistyczną metaforę wplątane są konkretne, brutalne obrazy („Siedząc na łące zielonej raz do roku”, „Swinia konkretna”). W niektórych wierszach wyraźnie zarysowuje się wpływ drugiego rodzaju twórczości uprawianej przez autora — prozy. Wpływ ten tłumaczy zarzut, jaki można by postawić konstrukcji niektórych wierszy — brak skoncentrowanej obserwacji i dominant integrujących strukturę wiersza.

Przykładem zależności z prozą jest tytułowy wiersz tomiku „Wielkie naczynie krwionośne w rozpędzie” o zdalozgłoszonej konstrukcji. W innych utworach przejawia się to w zwrotach do ukrytego interlokutora, we wplatających potocznych fraz. Gdyby zbiorek zawierał jesz-

książki

cze wiersze „Równocześnie” (druk: „Nowy Wyraz” 1972, nr 1), byłby bardziej reprezentatywny dla poetyckiej twórczości Hermana.

Od debiutu poety w „Literach” minęły cztery lata. Omawiany tomik jest książkowym debiutem autora. Niestety piękna bibliofilska seria „Generacje”, ukazująca się w wyjątkowo niskim nakładzie (221 egz.), jest niedostępna na rynku księgarskim. Obecnie Herman przygotowuje wybór opowiadań, wiele z nich drukowanych było na łamach „Liter”. Utwory jego ukazują się również w „Nurcie”, „Poezji”, „Nowym Medyku” i „Nowym Wyrazie”.

*) Michał Herman, *Wielkie naczynie krwionośne w rozpędzie*. Warszawa 1972. Generacje, Seria II.

Bohdan Kubicki

UCHODŹCY

Kraje skandynawskie w różny sposób odczuły skutki II wojny światowej. Szwecja korzystała z dobrodziejstw neutralności, natomiast Dania i Norwegia nie uniknęły losu krajów podbitych. W Norwegii kolaborujący z okupantem rząd Videkuna Quislinga nie cieszył się sympatią rodaków, mocno przywiązanych do uzyskanej dopiero w XX wieku niezależności państwowej. Może dlatego też rozwinął się w niej silny ruch oporu, wsparty doskonałymi dla takiej działalności warunkami naturalnymi. Stąd też pewnie wojenne doświadczenia Norwegów są także bliskie naszej własnej historii, chociaż okupacja niemiecka była u nas o wiele bardziej okrutna i uciążliwa.

Jedną z pierwszych książek, które w Norwegii podjęły temat wojny, była powieść Sigurda Evensmo „Uchodźcy”, przedstawiająca losy kilku Norwegów, którzy muszą kryć się przed ścigającym ich gestapo. Najpewniejsza wydaje się im ucieczka do Anglii, ale kuter, którym rozpoczynają swoją podróż, zostaje schwytany przez Niemców. Uciekinierzy dostają się do wiewiórki, gdzie oczekują wyroku.

Powieść Evensmo nie jest jednak książką o zewnętrznym, fizycznym okrucieństwie wojny, ani o bestialstwie faszystów, chociaż kończy się tragicznie. Evensmo nie chce pokazywać Niemców znęcających się nad bezbronnymi ofiarami, okrutnych i sadystycznych. Scen takich oczywiście nie może zupełnie uniknąć, skoro bohaterów przesłuchuje się i pragnie wymusić od nich zeznania. Lecz

o torturach pisze Evensmo niewiele. Wiadomo, że są one częścią niemieckiego systemu, że jeńcy nie unikną ich, ale sam Harald Silju, bohater i narrator powieści, nie powie ani słowa o tym, jak się nad nim znęcano. Są to najczęściej zapowiedzi w rodzaju: „Znowu krzyki... Biją. A teraz idą po mnie”. Godne uwagi jest, że utwór Evensmo ukazał się w roku zakończenia wojny, gdy dystans do niedawno przeżytych lat był niewielki i prowokujący do opisów oskarżających silnie i niezawodnie.

„Uchodźcy” są zatem przede wszystkim książką o dojrzewaniu człowieka. Harald Silju sprawdza się dzień po dniu w nowej sytuacji, konfrontuje problemy tak zwyczajne w jego położeniu, jak własne szczęście i odpowiedzialność za los najbliższych — żony i dziecka — ze sprawami ogólniejszymi, dotyczącymi narodu, czy człowieka w ogóle. W tym sensie powieść Evensmo jest optymistyczna, konfrontacja ta przyniesie zwycięstwo idei i poczucia wspólnoty nad egoizmem i strachem.

Silju ma wątpliwości, ponieważ chce żyć. Jest złączony ze światem wieloma mocnymi pragnieniami. Chodzić po ulicach miasta, brać w ramiona żonę i nychylać się nad śpiącym dzieckiem — oto co wystarczałoby mu na lata, do czego tęskni w więzieniu i co chce odzyskać. Ale powoli pojmuję też, że w warunkach okupacji jest to możliwe za cenę odwrócenia się od świata, zamknięcia oczu na zło i w gruncie rzeczy poprzez podpisanie się pod zdaniem: „A co mnie to wszystko obchodzi, ja mam swoje sprawy”.

Optymizm „Uchodźców” nie może być jednak pełny, gdyż Harald i jego towarzyszy rozstrzelano. Pochwała walki i hymn na cześć wiecznie trwającego życia nie równoważą owej zbiorowej śmierci. Bohater próbuje co prawda znaleźć argumenty, które czyniłyby tę śmierć lżejszą, choćby przez to, że nasze gesty i pragnienia podejmują inni żyjący, ale kontynuacja nie jest przecież wystarczającą, rozważanie

zaś w podobnym stylu — najbardziej pomysłowe.

W powieści Evensmo nie doszukamy się zresztą szczególnie ciekawych czy oryginalnych przemyśleń filozoficznych, mimo że utwór — jak wszystkie dobre lektury mówiące o wojnie — robi wrażenie. Wynika to już z samego tematu i choć autor potraktował go z dużą powściągliwością, nie osłabił przez to wcale poruszającej nas wciąż od nowa jego siły oddziaływania.

Świat mniej zagrożony przedstawia nam książka Duńczyka Petera Seeberga pt. „Ptaki niebieskie” (**). Bohatera tego utworu również interesuje problem wolności, choć nie jest to wolność polityczna, lecz osobista, wolność nie wśród ludzi, lecz od ludzi. Tom bowiem chciałby się tak ustawić w społeczeństwie, aby nie być od niego zależnym, jednocześnie nie dając nic temu społeczeństwu w zamian. Życie nie obchodzi go na tyle, by pragnął na gromadzić zapasy, odkładać pieniądze i planować. Na dobrą sprawę nie dąży do niczego, co wymagałoby jakiegokolwiek wysiłku — wszystko to napemnia go wstrętem i niechęcią: powieść, którą ma napisać, zarobienie paru groszy na życie; porządkowanie osobistych spraw. Nienawidzi wszelkiej organizacji, ponieważ sam jest niezorganizowany aż do absurdu.

Nawet wówczas, gdy jego przyjaciel Hiffs obiecuje mu dziesięć tysięcy koron za napisanie czegoś autentycznego, choćby składało się to z kilku zdań, Tom martwi się na zapas, skoro posiadanie pieniędzy postawiłoby go przed różnymi obowiązkami. „Dziesięć tysięcy koron — myśl — to bardzo dużo pieniędzy... lecz na co ma je wydać? Będą go zmuszać do tego, aby skończył budowę domu i kreślił się w nim jak swój własny więzień, żeby wkuwał dobre maniery, zmuszał się do pracy i może będą domagać się dziecka, którego on nie mógł spłodzić”.

Książkę Seeberga można by nazwać esejem o człowieku, który ży-

je sobą i w sobie, nie dostrzegając innej rzeczywistości poza tą, jaką stanowi on sam. Tom, jak to określił w ostatniej rozmowie jego przyjaciół, nie ma tego „co zatrzymuje i zachowuje” — stąd w gruncie rzeczy nie może on być wrażliwy na świat. Rzeczywistość dotyka go czasami: w osobie kierowcy autobusu czy zniecierpliwionych sklepikarzy, którym winien jest zresztą nieco koron, ale to po nim spływa. Stąd w pewnym momencie Tom przestaje być ciekawy, gdy już wiemy, że nie stać go na nic godnego uwagi. Może się jeszcze parę razy skompromitować, może popełnić kilka drobnych oszustw i kłamstw, ale cóż więcej?

Obserwujemy patologię postawy życiowej, a nie jest to postawa wynikająca ze świadomości i programu, lecz z charakteru. Bohater jest po prostu skrajnie lekkomyślny, skrajnie obojętny i skrajnie odporny. Nie wywołuje on naszego sprzeciwu i protestu, bo nic tu nie ma do tłumaczenia czy polemizowania. W ten sposób utwór Seeberga zbliża się do granicy literackiej jałowości, ciagle ocieramy się o nią podczas lektury, choć dopiero na końcu mamy jej pewniejsze poczucie. Broni przed nią książkę z pewnością obecność realiów, świat przedmiotów, pośród których widzimy Toma. Może w zamierzeniu powinny one tym dobitniej ukazać jego absurdalność, ale zdaje się, że bohater nie jest wart takiego zabiegu, jego obcość zaś wobec świata, na którym żyje, staje się równoznaczna z obojętnością, jaką może czuć wobec Toma czytelnik.

*) Sigurd Evensmo, *Uchodźcy*. Wydawnictwo Poznańskie 1972. Thum. Zofia Gadzińska. Obwoluta projektowała Ewa Frysztak. Str. 239, cena 20 zł.

**) Peter Seeberg, *Ptaki niebieskie*. Wydawnictwo Poznańskie 1972. Thum. Maria Bero. Obwoluta projektował Tadeusz Piskorski. Str. 104, cena 15 zł.

Marian Śliwiński

KRAINA STO PIĄTEJ TAJEMNICY

Zbigniew Zakiewicz wolny jest od antynomii, determinujących w tak charakterystyczny sposób nowożytny stosunek do dzieciństwa. Autor „Krainy Sto Piątej Tajemnicy”) ani przez moment nie traktuje dzieciństwa, jako pola re-

alizacji utopijnych pragnień. Trudno oprzeć się przekonaniu, że książka ta powinna być rozpatrywana w perspektywie dotychczasowej twórczości autora, przede wszystkim zaś skonfrontowana z powieścią „Białe karzele”, zarysowuje się wówczas jako kontynuacja i dopełnienie tamtych wątków. W poprzedniej powieści Zakiewicz przedstawił wivisekcję osobowości nie mogącej dokonać aktu autoidentyfikacji, nie potrafiącej się odnaleźć w uniwersalnym planie rzeczywistości, i jako swego odległego i słynnego protoplastę wskazywał Sępa-Szarzyńskiego parafrazując dwuwiersz: „Cóż będę

czynił w tak straszliwym boju, wiaty, niebaczny, rozdwojony w sobie?” Ten „straszliwy bój” toczy u Sępa jednostka postawiona w obliczu kryzysu klasycznej wizji świata. Problem zakotwiczenia w Transcendencji, w „Białym karle” podjęty w odniesieniu do osobowości, w „Krainie Sto Piątej Tajemnicy” dotyczy świata po prostu. Opisana w tej ostatniej książce wyprawa do „dziwnej krainy” stanowi rodzaj eksperymentu intelektualnego, którego ostateczny rezultat dowodzi prawdziwości, jedyności, uniwersalności świata, niwecząc jednocześnie pokusę relatywizmu i apostazji; wizja „dziwnej

krainy” to świetna karykatura utopii. W obydwu książkach problematykę tę organizuje pisarz poprzez motywy: rozdwojenia jaźni, odbicia lustrzanego, echa, rozszczepienia „świata” na jasność i ciemność, itp. „Kraina Sto Piątej Tajemnicy” jest wszakże książką pisaną w konwencji literatury dla dzieci i do najmłodszych czytelników adresowaną. Proponuje swym najmłodszym odbiorcom atrakcyjną wyprawę — wraz z narratorem, jego córeczką Asią, jannikiem Jeremiaszem i krukiem Ksawerem Kłajstutem — do tajemniczej krainy, obfitującej w „Bardzo Dziwne Zwierzęta, Bardzo

Dziwne Rzeczy i Bardzo Dziwne Zdarzenia". Barwność stylu tej książki podkreślają znakomicie ilustracje Józefa Wilkonia.

Wymarzona kraina nie okazuje się wcale krainą „cudowną”, lecz dziwną, w najzwyklejszym tego słowa znaczeniu. W krainie tej, która jest światem „odbitym”, „przenicowanym” — lewa strona jest stroną prawą, a po wschodnim zachodzie słońca następuje zachodni wschód.

Dziwne i w rezultacie nieznośne są ptaki, zjadające się kolorami. Jak łatwo się domyślić, Kraina Sto Piętej Tajemnicy nie grzeszy równowagą w dziedzinie kolorów. Dziwność niezwykłej krainy uświadamia wędrowcom tę prostą prawdę, że ich własny świat jest z gruntu racjonalny, pełen ładu — i godny zasadniczej akceptacji. Wcale więc ich nie przekonuje sztywna krytyka bociana Bonifacego, zielonego i od-

żywiającego się mamiągą z niebieskimi migdałami: „Widziałem w naszej krainie bociany białe jak gęś, które kładły do zioba, a potem umieszczały w brzuchu wstrętne zabki. Widziałem bardzo dużo ludzi, którzy trzymali w ustach białe dymiące patyczki i którym się dymiło z ust, gdyż widocznie paliło się im w brzuchu. Widziałem słońce, które wschodziło na wschodzie, a zachodziło na zachodzie. Strasznie śmiesz-

na i strasznie dziwna kraina”.

Uodpornieni na tę krytykę wędrowcy szczęśliwie powracają do swojego świata.

*) Zbigniew Zakiewicz, *Kraina Sto Piętej Tajemnicy*. „Czytelnik”, Warszawa 1972, opracowanie graficzne Józefa Wilkonia, s. 194, cena 27 zł.

KOMUNIKATY MAZURSKO-WARMIŃSKIE

Olsztyńskie „Komunikaty Mazursko-Warmińskie” należą niewątpliwie do najpoważniejszych czasopism naukowych w Polsce północnej i chociaż mocno są osadzone w problematyce północnych regionów, stanowią poniekąd czasopismo ponadregionalne w tym znaczeniu, że z jednej strony reprezentują wysoki poziom naukowy, z drugiej zaś strony podejmują problematykę, bez której historiografia polska i powszechna byłaby niepełna, a wiele procesów historycznych nie można by było obiektywnie wyjaśnić. Penetrowane przez czasopismo rewiry tematyczne tyl-

ko pozornie mogą być uważane za hermetycznie regionalne, w istocie stanowią ważne spoiwo w konstruowaniu syntezy dzieł Polski i powstających. Zresztą nie tylko syntezy, ale i monografii, i wszelkich innych opracowań.

Przypatrzmy się krótko treści najnowszego numeru kwartalnika, który ostatnio zwiastuje, w swoim stałym dziale *Copernicana*, przynosi nowe wyniki badań, rzeczowe omówienia wydawnictw i co szczególnie ważne — publikacje dokumentów. W dziale tym opublikowano nast. artykuły i materiały: Bolesław Górnika — „Obserwacje Księżyca dokonane przez Mikołaja Kopernika”, Teresa Borawska — „Bernard Scultet jako rzecznik interesów warmińskich w Rzymie na przełomie XV i XVI wieku”, Jerzy Sikorski — „Nowe Copernicana” (omówienie pracy M. Biskupa „Nowe materiały do działalności publicznej Mikołaja Kopernika”), Marian Biskup — „Sprawa Mikołaja Kopernika i Anny Schilling

w świecie listów Feliksa Reicha do biskupa Jana Dantyska z 1539 roku” (w aneksie źródłowym — dwa listy w oryginale i w przekładzie), Stanisław Flis — „W sprawie przyczyn śmierci Mikołaja Kopernika”, Eugeniusz Rybka — „Myśl kopernikowska w Polsce do końca XVIII wieku” (omówienie pracy B. Bieńkowskiej „Kopernik i heliocentryzm w polskiej kulturze umysłowej”).

Inne artykuły i materiały opublikowane w numerze, stanowiące jego zasadniczy trzon, to Jacka Herfela „Czy Wojciech to Adalbert? Problem zamiennej używalności tych imion w Polsce średniowiecznej”, ks. Władysława Szulista „Ważniejsze ładowe szlaki handlowo-komunikacyjne Warmii i Mazur w XVI-XVIII wieku” i Jadwigi Betlejewskiej „Badania nad zbrodniczą działalnością władz okupacyjnych w powiecie nowomiejskim (1939-1945)”. Poza tym polemika Maksymiliana Grzegorza pt. „W sprawie polskich gwarantów

traktatów z Zakonem Krzyżackim w XIV-XV wieku”, artykuły recenzyjne Jana Powierskiego („O słowniku historyczno-geograficznym ziem chełmińskich”), Andrzej Wojtkowski („Nowe wydanie źródeł dotyczących procesu polsko-krzyżackiego z lat 1320-1321”) oraz Barbary Jamiszewskiej — Mincer i Franciszka Minceira („Monografie miast i powiatów Warmii i Mazur”). Liczne recenzje oraz nekrolog Marzeny Pollakówny, skreślony przez Jerzego Kłoczowskiego. (T.B.)

*) *Komunikaty Mazursko-Warmińskie*. Stacja Naukowa Polskiego Towarzystwa Historycznego (Instytut Mazurski), Ośrodek Badań Naukowych im. Wojciecha Kętrzyńskiego w Olsztynie. Olsztyn 1972, nr 2-3, s. 267-488, ilustr. + tabl. ilustr. + mapka na wkładce, cena 40 zł. Przewodniczący Komitetu Redakcyjnego: Janusz Jasiński.

ASTRONOMIA W MIEŚCIE KOPERNIKA



Biblioteka Kopernikańska Towarzystwa Naukowego w Toruniu wzbogaciła się o nowy tom poświęcony w całości historii powstania i rozwoju ośrodka astronomicznego w mieście Kopernika, czyli w Toruniu. Jest to praca zbiorowa (siedmiu autorów) pod redakcją Cecylii Iwaniszewskiej.*) Już pierwszy rozdział — „Warsztat współczesnej astronomii” — objaśnia, że praca wykracza poza historię ośrodka, prezentując czytelnikowi wszystkie ważniejsze problemy współczesnej astronomii, począwszy od wyjaśnienia, jak wygląda praca astronoma, jakimi zagadnieniami zajmują się poszczególne działy astronomii itp. Można powiedzieć, że na przykładzie ośrodka toruńskiego, posiadającego nowoczesne obserwatorium w Piwnicach (12 km od miasta), postanowiono zaznajomić laika z tą dziedziną nauki w sposób rzetelny i przystępny. Być może niejedną zwiastuje z młodych czytelników tej książki wybierze sobie w przyszłości właśnie astronomiczny kierunek studiów i to w Toruniu.

Na kartach książki z zainteresowaniem śledzimy dzieje toruńskiego ośrodka astronomicznego od samego początku, tj. od 1945 roku. Na budowę Obserwatorium Astronomicznego wybrano majątek Piwnice, jako że „Obserwacje nieba przez teleskopy i radioteleskopy nie są... możliwe w dużym mieście, dlatego też

obserwatoria muszą się znajdować z dala od miejskiego pyłu, światła, od różnorodnych zakłóceń w odbiorze promieniowania”. Od czego zaczęto? Pracownicy uniwersyteccy przybyli z Wilna, pierwszy teleskop wypożyczono w 1947 roku od prof. Harlowa Shapleya, dyrektora Harvard College Observatory w Cambridge w Stanach Zjednoczonych. Był to wysłuszony astrograf Drapera o średnicy obiektywu 20 cm, z pryzmatami obiektywowymi. Odpowiadając w 1964 roku obserwatorium w Piwnicach, prof. Shapley miał dowcipnie powiedzieć: „Po pierwszej wojnie światowej pożyczylem jeden teleskop 20-centymetrowy obserwatorium krakowskiemu, po drugiej wojnie — drugi taki teleskop obserwatorium toruńskiemu. Trzeciej wojny nie będzie, bo nie mamy w Harvard więcej teleskopów 20-centymetrowych!”. Takie były początki obserwatorium, którego pierwszym dyrektorem był prof. dr Władysław Dziwulski, któremu w książce poświęcono sporo należnego miejsca.

W dalszym ciągu autorzy omawiają studia astronomiczne w Toruniu, dalszy rozwój obserwatorium, wspólne prace z zagranicą. Osobne rozdziały poświęcono omówieniu pracy naukowej, przy czym obszernie przedstawiono wyposażenie optyczne obserwatorium, badania w poszczególnych dziedzinach, jak astrofizyka i astronomia gwiazdowa, radioastrono-

mia i mechanika nieba. Na końcu omówiona została popularyzacja astronomii w ośrodku toruńskim oraz zestawiono prace naukowe i popularnonaukowe opublikowane drukiem. Jest to imponujący wykaz, świadczący o wielostronnych zainteresowaniach toruńskich astronomów i przede wszystkim o podejmowaniu niezwykle ważnych badań naukowych.

W sumie otrzymaliśmy bardzo ciekawy wykład o toruńskim ośrodku astronomicznym i sporą garść wiedzy o tej dyscyplinie nauki. Uważam, że tę książeczkę — jak zresztą wszystkie poprzednie z tej serii — trzeba koniecznie przeczytać, aby chociaż trochę zorientować się w problemach współczesnej astronomii, w całej tej badawczej aparaturze, no i przy okazji prześledzić losy tej dyscypliny nauki w Polsce Ludowej w jednym co prawda, ale wiele znaczącym w nauce ośrodku badawczo-naukowym. (T.B.)

*) *Astronomia w Toruniu — miasto Kopernika* pod redakcją Cecylii Iwaniszewskiej. Opracowali: A. Burnicki, S. Gąska, S. Gorgolewski, S. Grudzińska, C. Iwaniszewska, W. Iwanowska, A. Woźniak. Towarzystwo Naukowe w Toruniu, Biblioteka Kopernikańska Nr 10. Państwowe Wydawnictwo Naukowe, Toruń 1972, s. 90, ilustr., cena 14 zł.

Władysław Zajewski

SŁOWNIK FILOZOFICZNY MATURZYSTY

Jeżeli zajmuje się „Małym słownikiem filozofii” A. Vergeza i D. Huismana, to nie po to, aby tworzyć konkurencję i wchodzić w pokrewną historię, ale i odrębną dyscyplinę naukową. Chodzi mi głównie o zasygnalizowanie niedostatku wiedzy humanistycznej u naszych maturzystów, co fatalnie odbija się w sposób oczywisty na poziomie młodzieży studiującej na kierunkach humanistycznych. Mam na myśli nie tylko realną rzeczywistość, istniejącą z niedostatkiem programu, przydzielanie propedeutyki filozofii osobom przypadkowym, jako zajęcie „mniej ważnych”. Nie mniej ważny jest brak odpowiednich wydawnictw dostosowanych do poziomu młodzieży licealnej, zreda-

gowanych żywo, poprawnych merytorycznie.

Omawiany tutaj „Mały słownik filozofii” jest — moim zdaniem — przykładem wydawnictwa udanego, udaną pomocą naukową dla maturzysty. Sygnalizuje też o rzeczywiste wysoki poziom klas humanistycznych liceów francuskich. Uświadomienie tego faktu jest niezbędne. „Życie Warszawy” informowało niedawno o tym, że nasze licea ożywiają wymianę bezdewizową ze szkołami francuskimi. Te kontakty będą się nasilały i pogłębiały, bo taki jest trend rozwojowy obecnych zmian i przeobrażeń. Co z tego wynika? Nasza młodzież nie może popierać socjalistycznego humanizmu sloganami, lecz autentyczną kulturą humanistyczną. Humanizm socjalistyczny jest bowiem dziedzicem najlepszych treści i prądów kultury humanistycznej. Francuscy wydawcy „Małego słownika filozofii” akcentują racjonalizm i humanizm. Szeroko reprezentowane są wielkie prądy ideowo-filozoficzne: humanizm, renesans, marksizm, pragmatyzm, pozytywizm, idealizm itp. Dla przykładu podam definicję humanizmu: *w sensie wąskim, stanowiło myśliciel epoki renesansu, którzy w*

kontakcie z arcydziełami literatury grecko-lacińskiej, zrehabilitowali, w świecie chrześcijańskim, poczucie piękności ciała ludzkiego w świadomości świeckiej, moralność naturalną, prostotę ludzką. W sensie ogólniejszym, to każda filozofia, która człowieka uważa za najwyższą wartość. Protagoras w V wieku przed n.e. był humanistą, skoro napisał: „człowiek jest miarą wszystkich rzeczy” (s. 65). Nie zamierzam z autorami spierać się o definicję humanizmu w epoce renesansu. Mniejsza o szczegóły, autorzy dobrze wprowadzają maturzystę w istotę rzeczy.

Szeroko stosunkowo potraktowane są kierunki materialistyczne oraz najwybitniejsi reprezentanci. Są nazwiska Ludwiga Feuerbacha, Fryderyka Engelsa, Karola Marksa, Włodzimierza I. Lenina. Występują terminy i pojęcia z pogranicza psychologii, medycyny, socjologii. Szeroko uwzględnieni reprezentanci nauki wieku XX. Tylko dla przykładu: Bertrand Russell, Claude Lévi-Strauss, Herbert Marcuse, Marshall McLuhan. Naturalnie można mieć te czy inne zastrzeżenia do poglądów tego lub innego filozofa, czy socjologa. Nie o to jednak w tym wypadku chodzi. Dobrane są nazwiska

ludzi, którzy odgrywają istotną rolę w nauce współczesnej, ludzi, których nazwiska się liczą i są znane.

Wystarczy tylko przypomnieć choćby u nas niedawno wydaną interesującą rozprawę E. i Fr. Ryszków o poglądach kanadyjskiego socjologa McLuhana na rolę „gorących” i „zimnych” środków masowego przekazu i ich wpływie na życie współczesnego człowieka, na poziom kultury i proces kształcenia. Chyba niewiele mają do powiedzenia w tej materii nasi maturzyści. Niewiedza nie powinna nas cieszyć lub napawać błogostanem. Nauki humanistyczne rozwijają się dziś w ogromnym tempie, a tak wielu ludzi utożsamia kulturę socjalistyczną li tylko z odmianą werbalnych hasel przez przypadek. To nie wystarczy. Potrzebna też jest solidna, ugruntowana wiedza. Tylko na takim fundamencie może kwitnąć socjalistyczny humanizm.

*) André Vergez, Denis Huisman, *Petit Dictionnaire de la Philosophie*. ABC du Bac, Fernand Nathan, Paris 1971, s. 160.

*) E. i Fr. Ryszkowie, *Młody utopia a zwątpieniem*. Warszawa 1970.

Marian Biskup

DZIEJE ZAMKU
MALBORSKIEGO

Obszerna rozprawa młodego badacza getyńskiego, poświęcona dziejom zamku malborskiego w XIX- do pierwszej połowy XX wieku jako „politycznego pomnika”, zastępującego nasze najżywsze zainteresowanie. O wyrastaniu Malborka w tym okresie na symbol niemieckiej „misji” na Wschodzie pisało już wprawdzie wcześniej, kładąc jednak główny nacisk na ukazanie procesu odbudowy i jej zmieniających się koncepcji (B. Schmid). Boockmann podszedł do zagadnienia od innej strony: wyrastania i przemian ideologii politycznej, która towarzyszyła odbudowie i użytkowaniu zamku aż do r. 1945, a która to ideologia jednocześnie doprowadziła do przyswojenia tradycji Zakonu Krzyżackiego w państwie pruskim Hohenzollernów, w republice weimarskiej oraz w Niemczech hitlerowskich. Temat swój autor opracował nie tylko w opracowaniu o materiałach drukowanych, ale także o spuściznę rękopiśmienną Teodora von Schöna (z Staatliches Archivlager w Getyndzie), głównego sprawcy odbudowy Malborka w I połowie XIX w. Uwzględnił też archiwalia krzyżackie w Wiedniu: wyrywkowo tylko korzystał z archiwaliów zamku malborskiego XIX-XX w., znajdujących się dziś w Wojewódzkim Archiwum Państwowym w Gdańsku, co niewątpliwie stwarza szanse dal-

szego pogłębienia tematu w przyszłości.

Ale już obraz, zarysowany na wymienionej podstawie źródłowej, jest bardzo interesujący i przekonujący. Autor w sposób wolny od nacjonalistycznej emocji spróbował „na chłodno” ukazać złożony problem Malborka i odnowienia tradycji państwa krzyżackiego w społeczeństwie państwa pruskiego czy niemieckiego.

Główny nacisk położony został na genezę odbudowy zamku i pierwszy jej okres z lat 1815-połowa XIX w., na który przemożny wpływ wywarł Teodor von Schön. Boockmann — wychodząc poza ustalenia B. Schmid — pogłębia znajomość roli Schöna, wskazując na dążenie jego do odbudowy zamku z okresu krzyżackiego, co nakazywało także przybliżenie tradycji Zakonu, odrzucając dotąd przez władze pruskie i historiografię epoki Oświecenia. Dla Schöna, wyznawcy Hegłowskiej „idei”, Zakon stał się poprzednikiem w historii Prus hohenzollernowskich. Zasadniczy cel Schöna, przyswajający mu przy odbudowie zamku — przeznaczenie go na zbranie stanów prowincji pruskiej — nie został zrealizowany, natomiast odnowienie tradycji krzyżackiej stało się rzeczywistością („rycerze zakonnici wstali z krypty”). Schön zrealizował więc swoje propagandowe cele, utwierdzając przy pomocy J. Voigta pogląd o roli Malborka jako fundamentu państwa prusko-brandenburskiego. Okazuje się też, że dla Schöna nawet reformacja była czynnikiem łączącym państwo krzyżackie i pruskie, co pozwalało przyswajać Lutera — który wszak nie był poddany pruski — tradycji państwa Hohenzollernów.

Sporo nowego przynosi omówienie drugiego etapu odbudowy Malborka po r. 1882, kierowanej przez Konrada Steinbrechta w epoce wilhelmskiej, która wycisnęła swoje piętno na wewnętrznym urządzeniu zamku — rezydencji cesarskiej. Malbork, który był w r. 1902 widowiskiem pojednania się austriackich władz krzyżackich z wilhelmskimi (o czym autor obszerniej pisał już na innym miejscu), stał się wówczas zdecydowanie antypolskim symbolem i ideologicznym narzędziem dla podbudowania wschodniej polityki. Sam zaś XIV-wieczny Zakon traktowany był tylko jako związek osadniczy i poprzednik pruskiej polityki osadniczej schyłku XIX stulecia.

Szczytową rolę Malborka jako politycznego symbolu Boockmann słusznie upatruje w okresie międzywojennym, gdy zamek malborski, położony nad granicą Prus Wschodnich, stał się już ogólnoniemieckim symbolem walki przeciw porządkowi powojennemu. Zdaniem autora, rola Malborka przybrała wtedy (do r. 1933) najbardziej „agresywno-legendarne rysy”, o zdecydowanie antypolskim, czy antysłowiańskim nastawieniu, co znajdowało swój wyraz w powstaniu szeregu utworów literatury pięknej (sztuki teatralne, romanse). Hitleryzm przejął po r. 1933 opiekę nad Malborkiem, a sam Józef Goebbels został protektorem „Marienburg Bund”. Zamek został od r. 1937 ogłoszony „Zamkiem Niemieckiej Młodzieży”. Boockmann wyraża jednak pogląd, iż tradycje Zakonu Krzyżackiego zostały tylko częściowo przyswojone przez brunatnych władców (kolonizacja wschodnia i elitarna struktura Zakonu), a także, iż sam zamek nie został jednak zaadaptowany jako siedziba jednej

z narodowosocjalistycznych organizacji, mimo wysuwanych okresowo projektów. Zainteresowania SS szły głównie w kierunku saskich zabytków (jak Quedlinburg), a Himmler uważał się za reinkarnację Henryka I saskiego i Henryka Lwa, nie zaś jakiegokolwiek wielkiego mistrza. Są to stwierdzenia słuszne, jednak zaznaczyć wypada, że w codziennym praktyce lokalnych władz, czy prasy pomorskiej (w tzw. Gau Danzig Westpreussen), nawiązywanie do tradycji krzyżackiej było znacznie intensywniejsze, niż przez czynniki i publicystów berlińskich.

Malbork XIX i XX w. w opinii Boockmanna jest pomnikiem odkrycia, zbudowania i znaczenia historii Zakonu, który po pierwotnych koncepcjach Schöna stał się pomnikiem politycznym przeciw Wschodowi, będąc zarazem stale obiektem kultu sztuki i miejscem narodzin ochrony zabytków, neogotyku (sc. w Prusach) oraz obiektem wiedzy, a przy tym dziełem sztuki.

Wartościowy artykuł Boockmanna, którego tezy zastępują na próbę, uzupełnia 25 dobrych reprodukcji fotograficznych oraz plan zamku i jego otoczenia, sporządzony w r. 1844 przez A. Gersdorffa (dotychczas nie publikowany).

*) Hartmut Boockmann, *Das ehemalige Deutschordensschloss Marienburg 1772-1945. Die Geschichte eines politischen Denkmals*. Odbitka z: *Geschichtswissenschaft und Vereinswesen* t. 19. Jahrhundert Beiträge zur Geschichte historischer Forschung in Deutschland, Göttingen 1972, s. 99-162, 25 ilustracji + 1 plan.

Marzena Burczycka

DOROŚLI
O MŁODZIEŻY

Nowa książka Anny Glińskiej „Dom na Celnej” jest kolejną pozycją z cyklu powieściowego tej autorki poświęconego młodzieży w tematyce. Fakt szybkiego znikania tych powieści z półek księgarskich skłania do zastanowienia się nad zjawiskiem stosunkowo dużej popularności literatury dla młodzieży. W tym wypadku zachodzi szczególna relacja między książką a czytelnikiem. Młody czytelnik w książce adresowanej do niego będzie szukał, obok płynących z lektury wzruszeń, czy przeżyć, również potrzebnych mu wzorców postępowania i osobowości. Będzie wymagał jednocześnie prawdy i schematu, „samego” życia i jego wzorców. Z podłoża dobrej literatury i serdecznie wyważonego dydaktyz-

mu wyrasta zagadka oczekiwanej książki mądrej i dobrej.

To nie tylko zaufanie do autora każe sięgnąć młodemu odbiorcy po kolejną powieść. To przede wszystkim zaufanie do słowa drukowanego wyzwało ową gorącą poszukiwania ukrytego gdzieś ziarna prawdy, jest przyczyną popularności każdej „zaczynanej” książki młodzieżowej.

W jakim stopniu „Dom na Celnej” spełnia oczekiwania czytelników? Młoda bohaterkę Małgorzatę poznajemy w jej sytuacji codziennej oraz w sytuacji konfliktowej. Nośność pierwszego życiowego doświadczenia dziewczyny jest niemała. Wybór dokonany na rzecz wartości autentycznych będzie etapem na drodze samoutwierdzenia się we własnej, wobec świata i innych odrębności na drodze osiągnięcia dojrzałości. Warstwa ideowo-etyczna powieści mieści się całkowicie w normach wykształconych przez współczesną literaturę dla młodzieży. I nie ona przeszkadza w pełnej akceptacji „Domu na Celnej”.

Zbyt mało zindywidualizowana realizacja przytoczonych wyżej założeń ideowych — oto zasadniczy

mankament książki. Nad współczesną literaturą dla młodzieży zacząłby schemat. Podać mu się, to przegrywać z oryginalnością.

U Glińskiej nie jest oryginalny sposób uproszczonego szkicowania sylwetek bohaterów. Maniera ta doprowadza do pojawienia się w powieści galerii postaci nie ożywionych, nie wypełnionych psychologicznie, za to, jakże świetnie młodzi czytelnicy się w schemacie, którego dopracowała się już młodzieżowa literatura. W typ „tej imię” wcielona jest Małgorzata. Wyniesiona jako indywidualność ponad rówieśników, im przeciwstawiona. Lecz na jakiej zasadzie? Jaki reprezentuje model wrażliwości? Co proponuje poza dziecięcym egoizmem? Co wiemy o trudnym młodzieńczym napięciu między bohaterką a światem? Postacie dobrego ojca i dobrej matki, pełnej kompleksów siostry oraz inteligentnego, ale zmanierowanego brata składają się na obraz rodziny Małgorzaty. I oto kolejna obsesja nekająca współczesną literaturę młodzieżową — obsesja rodziny. Rozładowuje się ona w dwóch wariantach: w modelu rodziny rozbiegającej i niszczącej oraz w jej sielankowym

przeciwstawieniu. Rodzin zwyczajnych nie ma.

Mielizny powieści wynikające ze zbytnej uległości wobec schematów nie przesłaniają przecież jej rzeczywistych wartości. Zadziwia zmysł obserwacji autorki, jej orientacja w młodzieżowym świecie. Umożliwia to precyzyjny dobór szczegółów, umiejętność stwarzania nastroju pełnego obietnic. Szkoda, że nie zrealizowanych. „I nagle uderzyło go coś, czego dotąd nie zauważył: czyjeś wielkie oczy, młode, tryskające życiem. Na ścianie wisiała fotografia dziewczyny — jaka otwarta, jaka promienna twarz z cieniutko wyciętymi chrapkami, ze smugami światła na policzkach, na zębach, aż czuło się biel tego uśmiechu. Jastar zapytał: Kto...”

Ta ładnie wprowadzona sytuacja zawiązuje intrygę. Czy warto ją poznać? Tak, jeśli zadowolimy się rozrywką, jeśli nie będzie nas interesowało szukanie odpowiedzi na pewne pytania.

Anna Glińska „Dom na Celnej”. Wydawnictwo Morskie Gdańsk 1972 r. str. 180, cena zł 15.

Władysław Zajewski

NARODZINY NOWOŻYTNEJ
HISTORIOGRAFII

Nazwisko wybitnego historyka francuskiego, profesora Georges Lefebvre'a (1876-1959), jest dobrze znane w Polsce. Lefebvre, znakomity znawca dzieł wielkiej rewolucji francuskiej i epoki napoleońskiej, stanowi odrębny rozdział w dziejach francuskiej historiografii. W okresie 1945-1946 wykladał na Sorbonie studentom historii historiografię, czyli to co Anglicy nazywają *history of historical writing*, a Niemcy *Geschichtswissenschaft*. Te wykłady prof. Lefebvre'a, sprzed blisko 30 lat, zostały obecnie wydane drukiem przez profesorów Fernanda Braudela i Alberta Soboula*). Nie od dziś stwierdzono, że wartość publikacji historycznych w ogromnej mierze zależy od poziomu osobowości historyka. Od kultury ogólnohumanistycznej badacza zależy umiejętność stawiania pytań pod adresem źródeł historycznych, interpretacji i formułowania

odpowiedzi. Czyli cała bardzo skomplikowana struktura umysłowa i kulturalna historyka odgrywa decydującą rolę w badaniach. Historiografia daje nie tylko lepszą znajomość strony technicznej warsztatu historyka, ale wnosi i pogłębia jego nieodzowną ogólną humanistyczną. Lepiej pozwala historykowi zrozumieć fakt ciągłości badań historycznych, bo historia rozwija się stale i równolegle do przeobrażeń i rozwoju społeczeństwa. Autor przedmowy, znany teoretyk historii Guy Palmade, uważa dzieło zmarłego historyka za najinteligentniejszy i najbardziej humanistyczny, ludzki przewodnik po nieznanym kontynencie historii historiografii. Wiąże się to z głęboko humanistycznym nastawieniem do historii G. Lefebvre'a, mimo że w swoich badaniach tak wiele miejsca i uwagi poświęcił procesom i zjawiskom społeczno-gospodarczym. Historia, zdaniem Lefebvre'a, daje człowiekowi świadomość, poczucie tożsamości, miejsca w czasie oraz uczucie ciągłości. Wychowany w duchu pozytywistycznym, Lefebvre nie jest zwolennikiem „transportowania” do historii gotowych koncepcji filozoficznych lub socjologicznych. Uważa historię za dyscyplinę odrębną, niezależną i suwerenną. Krytykuje też przegięty „pragmatyzm”; to znaczy

nadużywanie historii do celów różnych, pozanaukowych. W średniowieczu historia służyła do uzasadniania roli opatrności i kościoła (np. Bossuet). Voltaire posługiwał się historią, aby monarchę wychować na „oświeconego despotę”. Vico, Herder, Hegel, Comte usiłowali historię podporządkować gotowym koncepcjom „antyhistorycznym”. Z drugiej strony G. Lefebvre rozumie, że idealnie „czyste” historii nie ma; historyk jest bowiem członkiem określonego społeczeństwa, żyje w określonym czasie i w określonym kraju. Można tylko zabiegać o redukcję celów „historii pragmatycznej”.

Uprawianie autentycznej historii polega, jego zdaniem, nie tylko na znajomości źródeł, ale także na pogłębieniu ogólnej kultury historyka, tak, aby dana przez niego interpretacja wydarzeń była najbardziej zgodna z prawdą. Lefebvre przytacza z aprobatą sąd historyka K. Andlera: *Uprawiać historię, to odzwierciedlać na nowo fakty utracone w dokumentach przez interpretację, bez której nie byłoby one zrozumiałe dla nas* (s. 23). Dla Lefebvre'a „prawo” w historii oznacza tylko pewną stałość, czy prawidłowość. W pewnym miejscu Lefebvre powołuje się na sąd Karola Seignobos: *Historia to nauka o rzeczach, które*

zdarzają się tylko raz. Konsekwencją tego stanowiska było twierdzenie, że historia nie jest nauką w ścisłym tego słowa znaczeniu, lecz tylko pewnym stanem wiedzy, określona świadomością (*la connaissance*). Pogląd to dyskusyjny, ale przypomina, są to wykłady wybitnego historyka, opracowane tuż po wojnie i siłą rzeczy nie wszystkie opinie tam wyrażone, dadzą się dziś obronić.

Aby w pełni zrozumieć wykład G. Lefebvre'a trzeba być świadomym faktu, że autor tych notatek posługiwał się pewnymi słowami-kluczami (*les mots-clés*), np. wiedza, świadomość, nauka, racjonalizm, renesans, pozytywizm. Są to terminy, które u wielu historyków nabierają odmiennego znaczenia.

Lefebvre był pod silnym urokiem angielskiego racjonalizmu burżuazyjnego, odwołującego się do zmyśłów i doświadczenia (Fr. Bacon, I. Newton, John Locke; we Francji Condillac). Dzięki bezkrytemu sukcesowi burżuazji angielskiej, racjonalizm w Anglii miał charakter bardziej filozoficzny, niż polityczny. W swych wykładach Lefebvre wiele miejsca poświęca osiągnięciom historii w epoce Oświecenia. Najwyżej ocenia Voltaire'a i jego znakomite dzieło: *Le Siècle de Louis XIV*. Voltaire był polemista, pamphletia-

rzem, dziennikarzem i historykiem. Ale umiał już wybornie postąpić się krytyką historyczną, dokumentem.

Najlepsze partie książki G. Lefebvre'a są poświęcone osiągnięciom mieszczańskiej historiografii francuskiej XIX wieku. Na plan pierwszy wysuwają się tacy historycy, jak François Guizot, Augustin Thierry, Adolphe Thiers, Jules Michelet, Fustel de Coulanges i Alexis Tocqueville. Zachwycia się Lefebvre dziełem A. Tocqueville'a pt. *L'Ancien Régime et la Révolution*. W rozprawie tej, niestety nie doprowadzonej do roku 1789, Tocqueville wyraża takie mnóstwo poglądów i idei, że jego dzieło jest najpiękniejszym komentarzem filozoficznym, jaki napisano o rewolucji (s. 212).

Wymowne to wyznanie dla historyka, który programowo tak scę-

tycznie nastawiony był do filozofii. Tocqueville trafnie bowiem dostrzegł w przeszłości korzenie wielu zjawisk, które z całą siłą wystąpiły i nasiliły się po rewolucji 1789 r. Np. uważa się, że centralizacja była dziełem rewolucji i epoki napoleońskiej. Faktycznie, to stara tradycja jeszcze z epoki *Ancien Régime*, który usiłował podkopać i ograniczyć suwerenność arystokracji. Drobną własność rolna nie była tworem rewolucji, istniała we Francji na długo przed rewolucją. Tocqueville akcentował przede wszystkim w historii zjawisko ciągłości i ewolucji. Pochwalał postęp osiągnięty na drodze ewolucji i taki postęp uważał za najtrwalszy, najbardziej godny szacunku. To w jego książce G. Lefebvre znalazł cenne wskazówki, które umożliwiły mu opracowanie głośno później jego dzie-

ła: *Les Paysans du Nord pendant la Révolution* (1924 r.).

Jaka jest funkcja i rola historii? Zdaniem Lefebvre'a historia zajmuje istotne miejsce w wykształceniu nowoczesnego człowieka i obywatela. Historia kształtuje umysł subtelny, finezyjny (*l'esprit de finesse*), otwarty na problemy humanistyczne. Nauki ścisłe kształtują umysł geometryczny, ale ludzkość nie może opierać się tylko na umysłach geometrycznych. Jaka forma zatriumfuje w historii?

Głównym nurtem będzie forma najstarsza: opowiadanie o przeszłości, oparte na krytycznej analizie dokumentów. Jednak dobra historia jest też dziełem artystycznym. To stara tradycja szkoły francuskiej głosząca, że *l'historie est cependant aussi un art*. Choć wiele barw z wykla-

dów G. Lefebvre'a z wpływem czasu straciło urok świeżości, Guy Palmade nie pomylił się twierdząc, że to najinteligentniejszy przewodnik po kontynencie historii historiografii.

Dodam od siebie, że znajomość zagadnień historii historiografii u naszych studentów też nie prezentuje się najlepiej. W tym kontekście podręcznik znakomitego historyka francuskiego może być cennym uzupełnieniem, przydatnie rozszerzającym horyzonty intelektualne adeptów humanistyki.

*) Georges Lefebvre, *La naissance de l'historiographie moderne*. Paris 1971, Flammarion: „Nouvelle Bibliothèque Scientifique”, dirigée par Fernand Braudel, s. 348.



ZAPISKI WYDAWNICZE

MARIAN BISKUP: Nicolaus Copernicus im öffentlichen Leben Polens. Towarzystwo Naukowe w Toruniu. Biblioteczka Kopernikańska, przekłady nr 3. Toruń 1972, s. 104, ilustr., cena 15 zł.

Jest to niemiecka wersja wydanej w ubiegłym roku pracy pt. „Działalność publiczna Mikołaja Kopernika”, w której autor wnikliwie omawia publiczne angażowanie się Kopernika na terenie Prus Królewskich i Warmii w początku XVI wieku. Astronom działał w wielu dziedzinach życia społecznego i politycznego, najpierw u boku wuja Łukasza Watzenrodego, potem samodzielnie, sprawując różne funkcje urzędniczo-obywatelskie. Tak np. Marian Biskup omawia udział Kopernika w walce Polski z Zakonem Krzyżackim, w obronie Olsztyna, w realizacji reformy monety pruskiej... Dobrze się stało, że książka Biskupa ukazała się w wersji niemieckiej, gdyż w ten sposób dotrze ona do czytelnika poza granicami naszego kraju i objaśni mu wiele spornych lub kontrowersyjnych spraw, u nas w kraju przynajmniej po części już wyjaśnionych.

STANISŁAW GRZYBOWSKI: Mikołaj Kopernik. Biblioteczka Popularnonaukowa „Światowid”. Książka i Wiedza, Warszawa 1972, s. 336+tabl. ilustr., cena 15 zł.

Bardzo ładnie wydana biografia Kopernika, napisana przystępnie, barwnym językiem. Na szerokim tle epoki autor chronologicznie kreśli dzieje życia i pracy naszego astronoma, począwszy od refleksji na temat pochodzenia rodziny Koperników. Książka bardzo cenna i potrzebna, szkoda tylko, że ukazała się w nakładzie jedynie 30 tys. egzemplarzy, które już się rozszły. Liczne, bardzo dobrze wykonane ilustracje, estetyczna oprawa graficzna.

JERZY TOPOLSKI: Świat bez historii. Wiedza Powszechna, Warszawa 1972, s. 244, cena 22 zł.

Wykład z zakresu niektórych problemów metodologii historii, przeznaczony dla szerszego czytelnika. Autor podnosi głównie problem roli myślenia historycznego, a więc roli nauki historycznej w życiu społeczeństwa. Siłą faktów ukazuje warsztat historyka. Tytuły poszczegól-

nych rozdziałów: Co to jest historia, Świat bez historii, Za Rubikonem historycznego myślenia, Między historią i antyhistorią, Świat z „niedostatkiem” historii, Trzy rzeczywistości świata z historią, Życie w gąszczu języka. Książka bardzo wartościowa.

WSPÓŁCZESNI PISARZE WOJEWÓDZTWA OLSZTYŃSKIEGO. Ośrodek Badań Naukowych im. Wojciecha Kętrzyńskiego w Olsztynie. Biblioteka Olsztyńska Nr 6. Pojezierze, Olsztyn 1972, s. 188, ilustr., cena 35 zł.

Świetnie opracowany słownik biograficzny i bibliograficzny wszystkich współczesnych pisarzy, krytyków i teoretyków literatury zamieszkałych na terenie województwa olsztyńskiego. Biogramy opatrzone podobiznami pisarzy ułożono alfabetycznie. W bibliografii każdego autora uwzględniono recenzje poszczególnych prac, osobno umieszczono też wykaz prac o danym autorze.

JULIUSZ GARZTECKI: Mistrz zapomniany. O Michale Greimie z Kamienia. Wydawnictwo Literackie, Kraków 1972, s. 408, 184 ilustr., cena 40 zł.

Esej monograficzny o znakomitym polskim fotografiku zmarłym w 1911 roku. Greim związany był głównie z Kamieniem Podolskim i zajmował się nie tylko fotografią, lecz głównie etnografią oraz numizmatyką. Wartość książki Garzteckiego podnoszą liczne reprodukcje fotografie Greima, świadczące o znakomitych obserwacjach życia, zwłaszcza zaś folkloru. Różne typy ludzi prezentowane na fotografiach są niepowtarzalnym dokumentem minionych czasów.

ZAPISKI HISTORYCZNE poświęcone historii Pomorza i krajów bałtyckich. Towarzystwo Naukowe w Toruniu, Wydawnictwo Nauk Historycznych. T. XXXVII, 1972, z. 2. Państwowe Wydawnictwo Naukowe, Warszawa — Poznań 1972, s. 212, cena 30 zł. Redaktor: Marian Biskup.

W zeszycie opublikowano nstp. artykuły i materiały: J. Powierski — „Hugo Butyr. Fragment stosunków polsko-niderlandzkich w XII w.”, Władysław Czapiński — „Pokój szczeciński 1570 r. na tle sytuacji politycznej w basenie Morza Bałtyckiego”, Maria Bogucka — „Obcy kupcy osiadli w Gdańsku w pierwszej połowie XVII w.”, Zenon No-

wak — „Przyczynę do wyjazdów toruńczyków na studia do Francji w połowie XVI w.”. W dziale *Dyskusje i polemiki* piszą: Czesław Bernat, Maria Bogucka, Stanisław Potocki i Wojciech Wrzesiński. Poza tym *Recenzje i omówienia*, *Kronika naukowa* oraz nekrolog Józefa Mossakowskiego, skreślony przez Jerzego Sercyka. Jako dodatek opublikowane „Bibliografię historii Pomorza Wschodniego i Zachodniego oraz krajów regionu Bałtyku za rok 1970 wraz z uzupełnieniami od roku 1958”. Bibliografię opracował Henryk Baranowski.

WŁADYSŁAW ZAJEWSKI: Józef Wybicki — współtwórca i obrońca autonomii Królestwa Polskiego. „Przegląd Humanistyczny” 1972, nr 4, s. 17–41. Cena numeru 25 zł.

Artykuł naukowy gdańskiego historyka poświęcony działalności Wybickiego w okresie Królestwa Polskiego, a więc po upadku Napoleona. Zajewski zbija fałszywe mniemania, jakoby Wybicki był teraz „podłym Zajączką służalcem”, a więc zdradził swoje dotychczasowe ideały. Uzasadnia, że był po prostu dojrzałym politykiem wiedzającym, że „napoleońska karta” została przegrana. Losy narodu polskiego były mu droższe, niż rozgrywki, których naród ten był tylko przedmiotem. Sledzimy w artykule Zajewskiego publiczne angażowanie się Wybickiego na różnych stanowiskach w Królestwie Polskim; ze swoich obowiązków wywiązywał się bez zarzutu. Na ten okres przypada też jego bogata działalność pisarska. Artykuł Zajewskiego jest dalszym krokiem w obiektywnym rozpoznaniu życia i działalności generała rodem z Będmina.

PRZEGLĄD ZACHODNIOPOMORSKI. Instytut Zachodniopomorski, R. XVI, Szczecin 1972, z. 2, s. 244, ilustr., cena 30 zł. Redaktor: Henryk Lesiński.

W zeszycie opublikowano m.in. nstp. artykuły: W. Filipowiak — „Z badań nad początkami miasta Wolin”, K. Chojnacka — „Polsko-pomorskie zabiegi dyplomatyczne o wolną żeglugę na Warcie i Odrze w drugiej połowie XVI wieku”, J. Węgiel — „Polemika księdza Piotra Skargi z Danielem Cramerem ze Szczecina”, A. Kwilecki — „Socjologia a procesy społeczne na Ziemiach Zachodnich 1945–1970”, R. Woźniak — „Modele kulturowe młodzieży robotniczej”, I. Chrzanowski

— „Żegluga morska krajów skandynawskich”. Poza tym w zeszycie umieszczono recenzje, przeglądy aktualnych wydarzeń i kronikę naukową.

PRZEGLĄD HISTORYCZNY wydawany przez Towarzystwo Miłośników Historii w Warszawie. T. LXIII, Warszawa 1972, z. 3, s. 389–584, cena 25 zł. Redaktor: Stefan Kieniewicz.

W dziale *Rozprawy* umieszczono nstp. artykuły: E. Rostkowski — „Podbój Śląska przez Prusy a pierwszy rozbiór Polski”, M.H. Serejski — „Upadek Polski a idea «odrodzenia» narodu w historiografii polskiej końca XIX wieku”, J. Michalski — „Historiografia polska wobec problematyki pierwszego rozbioru”, W. Zajewski — „Konfiskata własności pruskiej w Gdańsku napoleońskim”, Z. Landau — „Dwusektorowy układ gospodarki Polski międzywojennej i jego konsekwencje (na przykładzie lat 1930–35)”. Poza tym m.in. publikacje S. Kieniewicza, H. Samsonowicza, L. Zytkowicza i J. Kancewicza. (T.B.)

KSIAŻKI NADEŚLANE

ZAKŁAD NARODOWY IM. OSSOLIŃSKICH

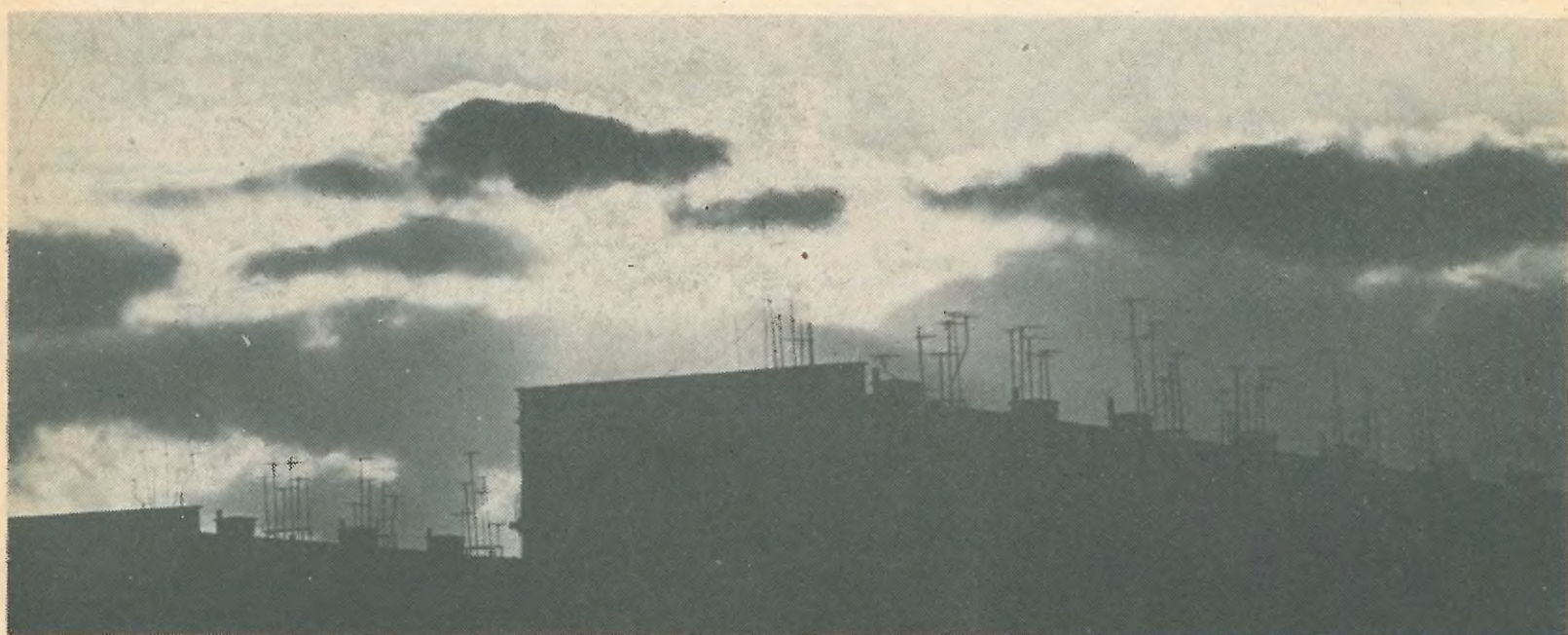
Listy Adama Asnyka do rodziców (1860–1867) i do Stanisława Krzemieńskiego (1873–1897). Archiwum Literackie, t. XVII (s. 316, cena 50). Edmund Wnuk-Lipiński, *Praca i wypoczynek w budzie czasu* (s. 248, cena 35). Kazimierz Siemczyński, *Zróżnicowanie społeczno-zawodowe i jego korelaty. Z badań nad ludnością miejską w latach 1964–1967* (s. 278, cena 40).

POJEZIERZE

Juliusz Grodziński, *Adasiu ja cię wypatruję* (s. 156, cena 15). Opowiadania.

WYDAWNICTWO POZNAŃSKIE

Ryszard Liskowacki, *My z Marymon-tem* (s. 226, cena 27). Powieść. Wojciech Natanson, *Moje przygody literackie* (s. 335, cena 25). Szkice literackie i sylwetki pisarzy. Wacław Kubacki, *Tragedia Achilleasa* oraz inne próby dramatyczne (s. 340, cena 35). Dramaty. Tage Skou-Hansen, *Nagie drzewa* (s. 195, cena 22). Powieść.



(FOT. A. J. PROKOFIEW)

EUGENIUSZ DAMIĘCKI (WYBÓR)

MYŚLI O MAŁŻEŃSTWIE

Małżeństwo jest książką, której pierwszy rozdział jest poezją, pozostałe prozą.

(BEVERLY NICHOLS)

*

...wybierz za żonę kobietę, którą byś wybrał za przyjaciela, gdyby była mężczyzną.

(J. JUBERTT)

*

Zróbcie jak ja, wyjdźcie za mąż za archeologa. To jedyny człowiek, który będzie na was patrzeć z coraz większym zainteresowaniem w miarę, jak się będziecie starzeć.

(A. CHRISTIE)

*

Szczęśliwy człowiek, dla którego dom rodzinny jest największą radością.

(W. SZEKSPIR)

*

Wszystkie szczęśliwe rodziny są do siebie podobne, każda nieszczęśliwa rodzina jest nieszczęśliwa na swój sposób.

(L. TOLSTOJ)

*

Gdy jesteś szczęśliwy w małżeństwie, możesz śmiało powiedzieć, że miałeś szczęście w nieszczęściu.

(J. PETAN)

*

Przywary żony trzeba albo tępić, albo znosić. W pierwszym przypadku twoja żona stanie się lepsza, w drugim — ty sam.

(WARRON)

*

Małżeństwo jest pamiątką po miłości.

(H. ROWNALD)

*

Tam, gdzie jest małżeństwo z miłości, tam będzie miłość bez małżeństwa.

(B. FRANKLIN)

*

W miłości tracisz rozsądek, w małżeństwie zauważasz tę zgubę.

(SAFIR)

*

Iluż to głupców, po stwierdzeniu, że dziewczyna ma ładne oczy i nogi, poślubia całą resztę.

(B. SHAW)

*

Obserwujemy się 4 tygodnie, kochamy się 4 miesiące, kłócimy się 4 lata, tolerujemy się 40 lat, a dzieci zaczynają od początku.

(H. TAINÉ)

*

Mężczyźni żenią się, bo są znużeni, kobiety — przez ciekawość. I obie strony doznają rozczarowań.

(O. WILDE)

*

Małżeństwo jest przyjemne tylko przed ślubem.

(G. SAND)

*

Małżeństwo jak kalestwo należy znosić cierpliwie.

(K. BUNSCH)

*

Małżeństwo jest jak pogoda — wszystko w nim zmienne i niczego nie można przewidzieć.

(W. WOLFE)

*

Małżeństwo jest złem — ale jest to zło konieczne.

(MENANDER)

*

Żeńcie się mimo wszystko. Jeśli dostaniesz dobrą żonę — będziesz wyjątkiem, jeśli złą — zostaniesz filozofem.

(SOKRATES)

*

I małżeństwo, i celibat mają strony ujemne; z dwojga złego należy wybierać to, które jest bez ratunku.

(CHAMFORT)

Ewa Maleczyńska

W październiku zmarła we Wrocławiu, w wyniku wypadku samochodowego, prof. dr Ewa Maleczyńska (ur. 1900 we Lwowie), należąca do grona wybitnych polskich historyków. Zmarła położyła duże zasługi w rozwoju nauk historycznych na Uniwersytecie Wrocławskim, szczególnie w dziedzinie badań nad historią Polski i Czech w XV wieku.

Prof. dr Ewa Maleczyńska jest autorką kilkunastu prac naukowych, w tym takich jak „Społeczeństwo polskie pierwszej połowy XV wieku wobec zagadnień zachodnich” (1947) i „Ruch husycki w Czechach i w Polsce” (1959), a także podręczników. Była do ostatnich chwil życia redaktorem śląskiego kwartalnika naukowego „Sobótka”. (b)

Konstanty Maciejewicz

W październiku zmarł w Szczecinie w wieku 82 lat kapitan żegluga wielkiej Konstanty Maciejewicz — wychowawca wielu pokoleń marynarzy i oficerów naszej floty handlowej. Konstanty Maciejewicz służył początkowo w marynarce rosyjskiej, m.in. na krążowniku „Aurora”. Po odzyskaniu niepodległości (po I wojnie światowej) był współorganizatorem pierwszej polskiej Szkoły Morskiej w Tczewie. Przez wiele lat dowodził „Darem Pomorza”. Po II wojnie światowej został dyrektorem pierwszej w Szczecinie polskiej uczelni morskiej, potem pracował w Polskim Rejestrze Morskim. Kpt. Maciejewicz odznaczony był m.in. Srebrnym i Złotym Krzyżem Zasługi, Krzyżem Oficerskim Orderu Odrodzenia Polski i Medalem Komisji Edukacji Narodowej. (b)

Bogumiła Wika-Czarnowska

W październiku zmarła w wieku 83 lat Bogumiła Wika-Czarnowska — zasłużona działaczka b. Polonii gdańskiej. Działalność społeczną w Gdańsku rozpoczęła Bogumiła Wika-Czarnowska w 1914 r. w Towarzystwie Ludowym „Jedność”. Pracując aktywnie w Gminie Polskiej, wiele energii poświęcała organizowaniu polskiego szkolnictwa, polskich przedszkoli i świetlic. Była członkiem zarządu Towarzystwa Kobiet Polek i prezesem Koła Polskich Kobiet. La-

ta okupacji spędziła w obozie koncentracyjnym Ravensbrück, w którym zginęła jej córka, mąż zaś został rozstrzelany w Stutthofie, zięć zginął w Oświęcimiu. Po zakończeniu działań wojennych Bogumiła Wika-Czarnowska powróciła do Gdańska i natychmiast przystąpiła do pracy w organizacjach społecznych, najpierw w Polskim Związku Zachodnim, następnie w Zrzeszeniu Kaszubskim i wreszcie w Towarzystwie Rozwoju Ziemi Zachodnich. Odznaczona była dwukrotnie Srebrnym Krzyżem Zasługi, Złotym Krzyżem Zasługi, Krzyżem Kawalerskim Orderu Odrodzenia Polski i innymi odznaczeniami. (b)

Zagłowce Staniszewskiego

Staraniem gdańskiego Oddziału Zrzeszenia Kaszubsko-Pomorskiego ukazała się teka grafik pt. „Zagłowce w grafice Leona Staniszewskiego”, zawierająca jedenaście plansz prezentujących barwne grafiki zagłowców z kilku sfer żeglugowych. Tekst napisał doc. dr Stanisław Gierszewski, redakcja spoczywała w ręku Wojciecha Kiedrowskiego. Teka w formacie A-3 ukazała się w nakładzie 80 egzemplarzy sygnowanych przez autora, w cenie 300 zł. (b)

Poezja w teatrze

W dniach 8–14 X 72 r. w Klubie „Rudy Kot” w Gdańsku odbywały się eliminacje VII Ogólnopolskiego Festiwalu Teatrów Jednego Aktora. Jak wiadomo, finał tego festiwalu odbywa się we Wrocławiu.

Imprezę inaugurował laureat ubiegłorocznego festiwalu Kazimierz Borowiec pięknym spektaklem wg powieści Tadeusza Nowaka „A jak królem, a jak katem będziesz?”. W ramach eliminacji odbyło się 9 przedstawień. Spośród nich jury eliminacji (w składzie: Marek Okopiński — przewodniczący, Stanisław Hebanowski, Jerzy Afanasjew, Stanisław Srokowski, Wiesław Paczkowski i Ewa Moskalówna) najwyższą ocenę spektakl poety i aktora Bogusława Kierca, z Teatru Współczesnego im. Edmunda Wiercińskiego z Wrocławia, „Śmieszni z gniewu a z bólu tak bliscy”, wg utworów poetyckich Juliana Przybosa. II miejsce zajął Lech Gwit z Teatru Ziemi Pomorskiej w Grudziądzu z programem „Na przykład” wg tek-

stów Tadeusza Peipera. Oprócz tych, bardzo wysoko ocenionych spektakli, do finału zakwalifikowano również Zbigniewa Witkowskiego z Państwowych Teatrów Dramatycznych w Szczecinie, ze spektaklem „Edward i Bóg” wg Milana Kundery. (EHM)

Conrad po krakowsku

Z inspiracji działaczy Międzynarodowego Instytutu Kultury Morskiej (ICMAR), Komitet Neofilologiczny PAN zorganizował we wrześniu konferencję conradowską, której obrady toczyły się w Warszawie, Gdańsku, a także w mieście szczególnie związanym z młodą Józefą Konradem Korzeniowskim w Krakowie. Uczestnikom sesji — wybitnym edytorom i naukowcom z Holandii, Kanady, Szwajcarii, USA, Wielkiej Brytanii i Włoch niezwykle miłą niespodzianką sprawiła Biblioteka Jagiellońska. W jednej z sal zebrano dokumenty i pamiątki, jakie zachowały się w Krakowie po autorze „Lorda Jima” z okresu jego pobytu i nauki w tym mieście (lata 1869/70).

Wśród eksponatów znalazły się materiały związane z życiem i twórczością Apollona Korzeniowskiego (ojca Conrada), zapomnianego poety, tłumacza i działacza kon-

spiracyjnego. Obok listów, m.in. do Józefa I. Kraszewskiego z prośbą o biogostawienie dla syna Konrada, znalazła się też na wystawie kopia wiersza zatytułowanego „Synowi urodzonemu w 85 roku niewoli moskiewskiej”. Na pozostałych fotografiach, wiernie oddających klimat starego Krakowa, zachował się dom, w którym mieszkał i zmarł ojciec pisarza. Jest też świadectwo z 1870 r. ustanawiające Teofilę Bobrowską opiekunką jej wnuka Konrada. Najleż Korzeniowskiego, w którym to dokumencie sąd miejski „oznajmia Opiekunce iż obowiązkiem jej będzie małoletniego dobrze wychować, do cnoty i bogobojności nakłaniać i bronić”.

Ogromne zainteresowanie budziły na wystawie listy Conrada, m.in. pisanego z Krakowa do Galsworthy'ego, oraz liczne autografy, a wśród nich własnoręczne podpisy Conrada i jego syna Borysa w „Księdze gości” Biblioteki Jagiellońskiej z r. 1914. Nie mniejszym powodzeniem cieszyły się wśród zwiedzających papiery osobiste wielkiego pisarza, przesłane do kraju przez wdowę Jassie Conrad za pośrednictwem Ambasady Rzeczypospolitej Polskiej w Londynie w 1931 roku.

Uzupełnienie bogatej dokumentacji dzieł i opracowań o autorze stanowił egzemplarz korektowy przygotowanego przez Bibliotekę Narodową „Wyboru opowiadań”. Tę całość ekspozycji zatytułowano „W

ojczyźnie Conrada” była polska książka marynistyczna i literatura związana z problematyką morską. Obok dzieł Marcina Borzymowskiego, Norwida, Żaruskiego, Sienkiewicza i innych pisarzy znalazły się też poemat Hieronima Derdowskiego „O Panu Czorlińskim co do Pucka po secę jachol”.

Krakowska wystawa została wysoko oceniona przez członków wrześniowej konferencji, wśród których nie zabrakło starszego syna pisarza, Borysa Conrada.

Szczególne uznanie należy się Władysławowi Berbelickiemu, który udostępnił wiele własnych materiałów i całość ekspozycji opracował.

JERZY SAMP

Jubileuszowy numer „Poglądów”

Dziesięć lat temu, 1 listopada 1962 r. ukazał się pierwszy numer nowego pisma społeczno-kulturalnego „Poglądy”, nawiązującego do tradycji katowickiej „Odry”, a następnie „Przemian”. Na jubileuszową okazję wydano „Poglądy” powiększone do 34 stron, w nowo opracowanej szacie graficznej. W numerze zamieszczono sylwetki tegorocznych laureatów Plakiety „Poglądów”: Ed-

munda Osmańczyka, Bolesława Woytowicza i Jana Zaremby. Poszerzony dział reportażu przynosi rozważania Józefa Musioła, mówiące o problemach i konfliktach duchowych sędzię współczesnego, w którego praktykę wkraczają nagle doświadczenia ludzi, którzy przeżyli straszliwe okrucieństwo obozów zagłady. Marian Sarama, przypominając przedwojennego Bezrobotnego Froncka, zastanawia się nad problemem bezrobocia, a raczej brakiem rąk do pracy w naszym województwie.

Zainicjowano nowy cykl encyklopedyczny, poświęcony ludziom kultury, nauki i sztuki. Otwiera go leksykon muzealników. Prozę reprezentuje w tym numerze Bogusław Kogut, a poezję — Tadeusz Kłjonka. Jan Zaremba przypomniał sylwetkę mało dotąd znanego pisarza cieszyńskiego z XVII w. Ludwika Heimba. W artykule tym zamieszczono pierwodruk odnalezionego poematu Heimba. Fragment z dzieł polskiej prasy na Śląsku przynosi artykuł Henryka Michnola o „Oświe”, czasopiśmie satyryczno-humorystycznym, wychodzącym we Fryszacie w roku 1907.

Ponadto czytelnik znajdzie w numerze stałe rubryki, jak np. raptularz muzyczny, recenzje książek, portret plastyka (tym razem prof. Aleksandra Raka), kronikę wydarzeń kulturalnych oraz opinie i komentarze do wydarzeń kulturalnych w kraju.

G R Y F Y

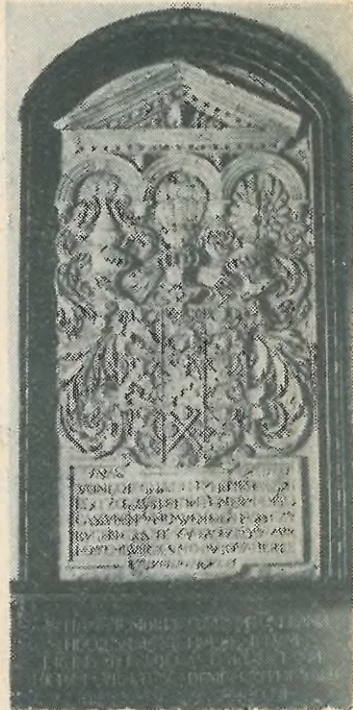
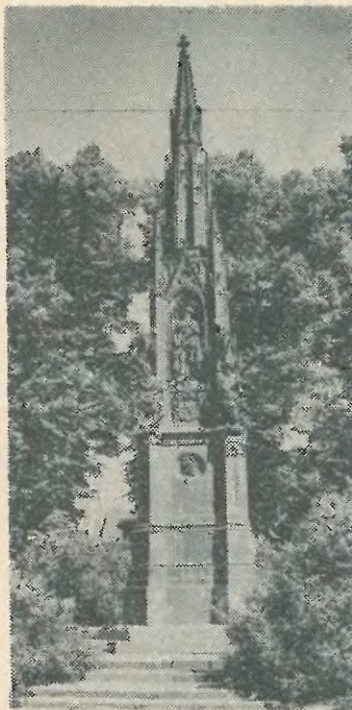
W Gryfii (Greifswald) w Niemieckiej Republice Demokratycznej niemal na każdym kroku spotykamy się z gryfami, które zdobią uroczą kamieniczkę i budowlę zajmowaną przez instytucję publiczną. Zresztą gryf znajduje się w herbie miasta — okazja do jego prezentowania jest więc tym większa.

Zdjęcia, które prezentujemy, przedstawiają: główny budynek Uniwersytetu im. Ernsta Moritza Arndta; na frontonie widać tarczę herbową książąt pomorskich, która znajduje się również od strony dziedzińca, w odmiennie tylko ornamentyce. W głównym hallu budynku umieszczono tablicę pamiątkową ku

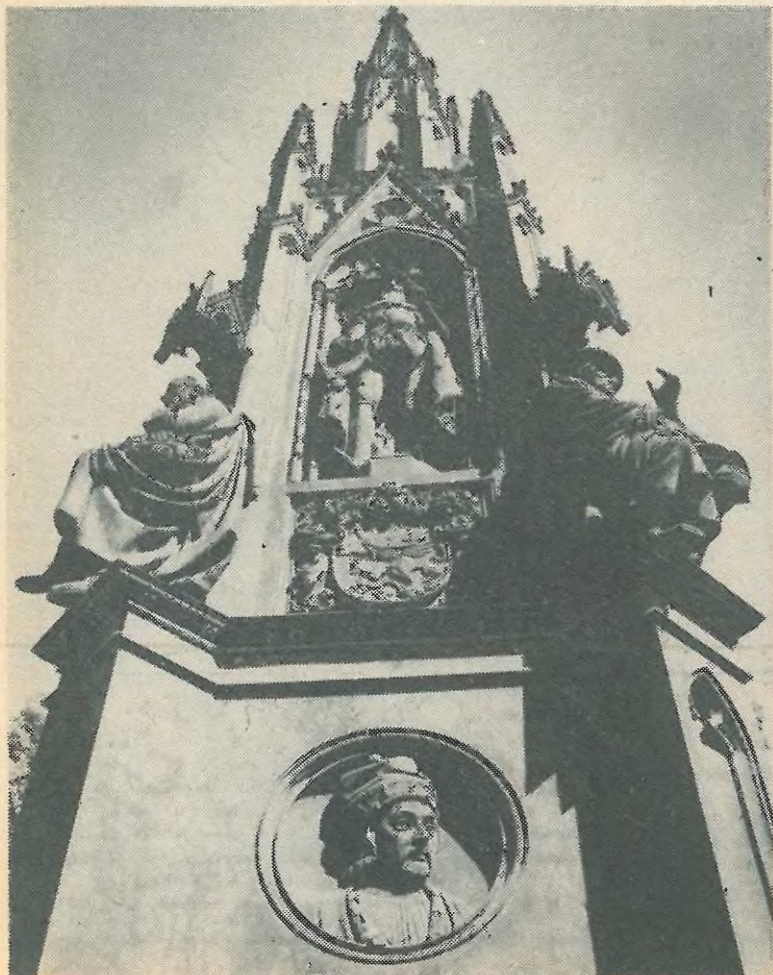
czci księcia pomorskiego Filipa I, pochodzącego z zamku w Wołogoszczy. Na tablicy dziewięćcioletnia tarcza herbowa książąt pomorskich z widocznymi gryfami.

Po przeciwnej stronie ulicy uniwersyteckiej znajduje się pomnik burmistrza Gryfii i organizatora uniwersytetu, Heinricha Rubenowa (w środku); po bokach Rubenowa siedzą: Ernst Moritz Arndt (z lewej) i Johann Bugenhagen (z prawej). Poniżej Rubenowa umieszczono herb miasta Gryfii — gryf na konarze drzewa, zwrócony w lewo, bez korony (wyraźnie widoczny na fragmencie pomnika).

Warto odnotować, że w niektórych kościołach Gryfii znajdują się liczne tablice pamiątkowe i malowidła ozdobione gryfami; gryfy można też spotkać na nagrobkach starego cmentarza. (b)



(ZDJĘCIA: KRZYSZTOF KAMIŃSKI)





Zapis Mściwoja

W 1982 roku przypada 700-lecie ukladu w Kępnie, zawartego między księciem gdańsko-pomorskim Mściwojem II i księciem wielkopolskim Przemysławem II. Był to poważny krok w kierunku zjednoczenia ziem polskich po rozbiu dzielnicowym. Pragnąc właściwie uczcić tą ważną rocznicę, Zarząd Główny Zrzeszenia Kaszubsko-Pomorskiego powołał zespół roboczy, który pod p.n. ZAPIS MŚCIWOJA już rozpoczął pracę. Opracowano i w szerszym gronie przedyskutowano szczegółowy plan pracy, przygotowano regulamin konkursu poetyckiego, opracowano i wydano staraniem ZG Zrzeszenia Kaszubsko-Pomorskiego „Komunikat bibliograficzny”, obejmujący kilkadziesiąt pozycji naukowych i popularnych odnoszących się do historii Pomorza XII-XIV wieku, w tym głównie do genezy i konsekwencji umowy kępińskiej. Komu-

nikat ten, opracowany przez Tadeusza Bolduana, przeznaczony jest dla wszystkich zainteresowanych, głównie dla szkół, placówek kulturalno-oświatowych, bibliotek. Warto zaznaczyć, że dzięki staraniom redaktora wydawnictw Zrzeszenia Kaszubsko-Pomorskiego, Wojciecha Kiedrowskiego, wydany on został bardzo starannie, co jest też zasługą gdyńskiej drukarni Zakładów Graficznych w Gdańsku. Komunikat można zamawiać (cena 3 zł) w ZG Zrzeszenia Kaszubsko-Pomorskiego (Gdańsk, Długi Targ 8/10).

Mamy nadzieję, że zespół nawiąże współpracę z wszystkimi zainteresowanymi rocznicą osobami i instytucjami i wzorowo przyczyni się do upowszechnienia wiedzy o przeszłości Pomorza w całym kraju. Czasu jest wiele, dobrze się jednak stało, że o tej rocznicy pomyślano przedwcześnie i że rezultaty wstępnej niejako pracy już są widoczne. (g)

Pomerania

Nowy numer Biuletynu Zarządu Głównego Zrzeszenia Kaszubsko-Pomorskiego „Pomerania” (1972, nr 3) zawiera zbiór artykułów na bardzo różne tematy, z których na uwagę zasługuje przede wszystkim artykuł Wiktora Frackowiaka „Krzewienie oświaty elementarnej przez towarzystwa polskie w regionie kaszubsko-pomorskim na początku XX wieku”. Drobniejsze artykuły na tematy współczesne opublikowali: Barbara Kalita, Józef Ceynowa, Alfons Wysocki, Janusz Kowalski i Stefan Rafiński. Umieszczono też w tym dziale „publicystycznym” przemówienie pła Franciszka Liedtke, wygłoszone w bieżącym roku na posiedzeniu komisji sejmowych. Poseł Liedtke jest prezesem Koła Zrzeszenia Kaszubsko-Pomorskiego w Szmudzie.

Najcenniejszą pozycją w biuletynie jest niewątpliwie publikacja ciągła Konrada Ciechanowskiego „Kartki z archiwum pomorskiego ruchu oporu w latach 1939-1945 (dokumenty niemieckie)”, w której autor omawia i publikuje nieznane dokumenty w wersji oryginalnej i w tłumaczeniu. Tym razem Ciechanowski umieścił bardzo wartościowy dla badaczy dokument — informację gestapo w Bydgoszczy o rozbiu i likwidacji konspiracyjnej organizacji Polska Armia Powstania.

W dziale literackim umieszczono wiersze Antoniego Peplińskiego, felietony Krebana i Milachowa, Józefa Bruskiego, Zygmunta Narskiego i Stacha z Laboerka. Omówiono dwie książki: Tadeusza Bolduana „Gryf — godło Pomorza” (J.B.) i Marka Arpada Kowalskiego „Śladami świątków” (Jan Zbrzyca). Poza tym informacje z życia Zrzeszenia Kaszubsko-Pomorskiego i Poczta „Pomeranii”. (b)

Informacje wyżej wymienione co najmniej w dwóch wypadkach delikatnie mówiąc rozciągają się z prawdą, a to szczególnie w ocenie ośrodka poznańskiego. Cóż bowiem znaczą określenie „bardzo zasłużony” i „przechodzący obecnie okres stagnacji”. Prawda ma się mianowicie właśnie na odwrót.

Nigdy bowiem przedtem Zakład Poznański nie miał takich osiągnięć naukowych, dydaktycznych i popularyzatorskich, jak właśnie w ostatnim okresie, tzn. od chwili wyodrębnienia Zakładu Skandynawistyki w ramach nowo powstałego Instytutu Filologii Germańskiej (1969).

Pozwólmy jednak przemówić faktom. W Zakładzie Skandynawistyki UAM pracuje obecnie trzech adiunktów: dr Sława Awedykowa, dr Ryszard Nitschke, dr Genowefa Sadalska, którzy ukończyli doktoraty przeważnie po uprzednim długoterminowym stażu w Skandynawii w ścisłej specjalizacji skandynawistycznej, bądź to w dziedzinie literaturoznawstwa (dr R. Nitschke), bądź językoznawstwa szwedzkiego (dr G. Sadalska), względnie norweskiego (dr S. Awedykowa). Niezależnie od tego od dziesięciu niemal lat Zakład ten wzmocniony jest przez dwóch lektorów zagranicznych, w chwili obecnej mgr Martę Lynge z Norwegii i mgr Gunnara Frost-Olesena z Danii. Lektorat szwedzki prowadzony jest niezależnie od lektoratu szwedzkiego dla anglistów, którym kieruje dr Mieczysław Kobylanski z tamtejszego Instytutu. Struktura programu studiów filologii germańskiej zobowiązuje każdego studenta do zaliczenia jednego lektoratu języków skandynawskich. Tak więc aktualnie lektorzy IFG uczą języków skandynawskich około 300 studentów.

Obok efektywnej pracy dydaktycznej Zakład Skandynawistyki przy IFG rozwinął szeroką działalność naukową. Tylko w ciągu ostatnich dwóch lat ukazały się drukiem dwie książki: Ryszard Nitschke „Studien zur retrospektiven Technik bei Henrik Ibsen” (Poznań 1971); Sława Awedykowa „Konfrontative Studien zu phonetisch-phonologischen Strukturen der polnischen und norwegischen Sprache” (Poznań 1972); trzecia zaś: Genowefa Sadalska „Der Einfluss der Verstärkung-Lieferung auf die Entwicklung des Schwedischen und anderer skandinavischer Sprachen”, jest obecnie w druku.

Niezależnie od pozycji książkowych pracownicy i współpracownicy są autorami wielu cenionych prac dla edycji krajowych i zagranicznych, np. dr Nitschke jest autorem „Zarysu historii literatury staroskandynawskiej, norweskiej i szwedzkiej” dla przygotowanego obecnie przez PWN pomnikowego wydania dzieł literatur europejskich. Zaś ściśle współpracujący z Zakładem Skandynawistyki pracownik IFG dr Stefan Kaszyński napisał do tego wydania „Zarys historii literatury duńskiej”. Wymieniony współpracownik jest również autorem rozlicznych artykułów krytyczno-literackich z zakresu skandynawistyki, publikowanych m. in. i na łamach „Liter”.

W planie naukowym Zakładu Skandynawistyki na najbliższe lata znajdują się trzy obecnie już zaawansowane habilitacje, dwie w dziedzinie językoznawstwa i jedna w zakresie literatury. Niezależnie od tego na ukończeniu jest doktorat ze współczesnej literatury duńskiej współpracującej stale z Zakładem naszej absolwentki mgr Marii Krysztofiak. Z językoznawstwa duńskiego doktorat pisze mgr Eugeniusz Rajnik. W ciągu ostatnich kilku lat w IFG obroniono również szereg prac magisterskich z zakresu literatury i języków skandynawskich.

Tak wyglądają fakty. Jeśli świadczyć one mają o stagnacji, prosiłbyśmy bardzo pana Zenona Ciesielskiego o pokazanie nam drugiego zakładu w Polsce, który by choć w połowie mógł się wykazać takimi osiągnięciami. Prócz cenzurek stawianych przez autora „Skandynawistyki na świecie” z artykułu tego można się również dowiedzieć nieco o szansach poszczególnych zakładów skandynawistycznych w Polsce. Argumentami tych szans są jedynie pobożne życzenia pana Ciesielskiego, popierane takimi absurdami, jak położenie geograficzne.

Mówiąc już o rozwoju skandynawistyki w Poznaniu, nie wolno zapominać bogatej działalności wydawniczej Wydawnictwa Poznańskiego, które systematycznie współpracuje z Zakładem IFG. Wydawana na światowym poziomie seria Dzieł Pisarzy Skandynawskich redagowana jest przez dwie absolwentki IFG, red. Adelę Skretną i red. Marię Krysztofiak. Wielu absolwentów poznańskiej germanistyki tłumaczy również literaturę skandynawską na język polski.

W ramach Uniwersytetu historia państw skandynawskich zajmuje się prof. Gerard Labuda oraz dr hab. Bernard Piotrowski. W Instytucie Zachodnim problematyką skandynawską para się dr Ryszard Ławńczak. Poza Uniwersytetem i Instytutem Zachodnim książki i artykuły o historii i literaturze skandynawskiej piszą m. in. znani krytycy: doc. dr hab. Aleksander Rogalski oraz Egon Naganowski.

Z przytoczonych wyżej faktów wynika niedwuznacznie, że skandynawistyka na UAM ma rzetelne podstawy kadrowe i naukowe oraz poparcie środowisk intelektualnych i czynników administracyjnych i państwowych.

Okazuje się zatem, że artykuł Zenona Ciesielskiego wprowadza czytelników „Liter” w błąd, dlatego też prosimy redakcję o udostępnienie swoim czytelnikom prawdziwego obrazu sytuacji w skandynawistyce poznańskiej.

PROF. DR HAB. JAN CHODERA
Dyrektor Instytutu Filologii Germańskiej

Artykuł mój z nr 8 „Liter” poświęcony był stanowi nauczania języków skandynawskich oraz literatur tego regionu Europy na całym świecie, a sytuacją polską zająłem się w nim jedynie marginesowo. Jako zainteresowany pracami skandynawistycznymi w Polsce z dużym zacieka- wieniem i zadowoleniem przeczytałem informacje p. prof. dr hab. Jana Chodery. Uważam, że potrzeby w tej dziedzinie są u nas tak duże, że jedynie działalność w możliwie największej ilości ośrodków może przynieść poprawę sytuacji. Żałować jedynie można, że dorobek poznańskiego ośrodka germanistycznego nie został odpowiednio rozpowszechniony i roz- propagowany. Wydana przez Instytut Szwedzki w Sztokholmie publikacja pt. „Svenskundervisning i utlandet”, na której — jak podałem — opar- łem swój artykuł, o pracy Instytutu Filologii Germańskiej UAM nie wspomina ani jednym słowem.

ZENON CIESIELSKI

O skandynawistycę w Poznaniu inaczej

W numerze 8 miesięcznika kulturalno-społecznego „Liter” ukazał się artykuł Zenona Ciesielskiego „Skandynawistyka na świecie”. Fakt publikowania tego rodzaju materiałów należałoby przyjąć z pełną satysfakcją, gdyby nie pewne nieścisłości oraz niczym nie uzasadnione inwektywy. Z lektury wymienionego artykułu wnioskować by można, że jego auto- rowi bardziej znana jest sytuacja skandynawistyki w Nowej Zelandii czy Australii, niż w Polsce. W każdym razie jego ocena skandynawistyki polskiej jest co najmniej problematyczna. Ponieważ jest to już druga tego rodzaju publikacja w „Literach”, czujemy się w obowiązku spro- stować szereg błędnych ocen i dezinformacji.

Dezinformujące są szczególnie fragmenty dotyczące rozwoju i ocen w Zakładzie Skandynawistyki przy Instytucie Filologii Germańskiej Uniwer- sytetu im. A. Mickiewicza w Poznaniu. Na stronie 16 wspomnianego artykułu czytamy: „W ramach uniwersyteckich Instytutów Filologii Ger- mańskiej działają placówki skandynawistyczne w Krakowie, Wrocławiu i Poznaniu, choć ten ostatni — bardzo zasłużony ośrodek — cechuje ostatnio pewna stagnacja (np. lektorat języka szwedzkiego jest na UAM prowadzony przez Instytut Filologii Angielskiej)”.



REDAGUJE ZESPÓŁ: EDGAR MILEWSKI (redaktor naczelny),
TADEUSZ BOLDUAN (zastępca red. naczelnego, sekretariat, dział
nauki), BOLESŁAW FAC (poezja), STANISŁAW FLESZAROWA-
MUSKAT (proza), EWA MOSKALÓWNA (dział krytyki), STANISŁAW
PESTKA (dział społeczno-kulturalny), RYSZARD STRYJCZAK (dział gra-
ficzny), TADEUSZ WOŹNIAK (publicysta).

REDAKCJA I ADMINISTRACJA: Gdańsk, Targ Drzewny 3/7 tele-
fon 31-18-25. Warunki prenumeraty: kwartalnie zł 15, półrocznie zł 30,
rocznie zł 60. Zamówienia indywidualne przyjmują placówki pocztowe
oraz listonosze do 10 każdego miesiąca na następny okres pre-
numeraty. Wszelkich informacji w sprawie warunków prenumeraty
udzielają placówki „Ruchu” i urzędy pocztowe. NIE ZAMÓWIONYCH
RĘKOPISÓW REDAKCJA NIE ZWRACA.

WYDAWCA: Gdańskie Wydawnictwo Prasowe, RSW „Prasa”

Zakłady Graficzne w Gdańsku. Zam. 3752. W-1.





Fot. Włodzimierz Nieżywiński